III, I, 18, 25
30

BIBLIOTEKA ★ LAUREATÓW ★ NOBLA

BIBLJOTEKA
LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ
DRA STANISŁAWA LAMA

TOM 4

BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON
SYNNÖWE SOLBAKKEN

LWÓW—POZNAŃ 1925
NAKŁADEM WYDAWNICWA POLSKIEGO

BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON

SYNNÖWE SOLBAKKEN

PRZEŁOŻYŁ
F. MIRANDOLA

LWÓW—POZNAŃ 1925
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

Printed in Poland

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM
DRUKARNIA CONCORDIA SP. AKC., POZNAŃ

SYNNÖWE SOLBAKKEN.

I.

Pośród leśistych dolin Norwegji natrafić można tu i owdzie na odkryte, odosobnione i z wszystkich stron bezdrzewne wzgórza, oświecone słońcem od samego wschodu, aż póki nie zajdzie. Ludzie, przemieszkujący bliżej stoku wysokich gór, siedzib, do których słońce rzadziej zaziera, zowią one pagórki „słonecznemi wzgórzami" — Solbakke, na pamiątkę słynnego reformatora z lat 1771 do 1824, twórcy nowej sekty religijnej, Haugena, któremu nadano ten przydomek. Ta, o której opowiadać właśnie zamierzam, mieszkała na jednem z takich wzgórz słonecznych i osiedle jej rodziców stąd otrzymało nazwę Solbakken. Tam w jesieni spadał śnieg najpóźniej, zaś z wiosną topniał najwcześniej.

Właściciel osiedla był Haugianinem i zwano go „czytelnikiem," jak zresztą wszystkich sekciarzy, a to z powodu, że gorliwiej od innych rozczytywali się w Biblji. Miał on imię Guttorm, żona zaś nosiła imię Karren. Urodził im

się syn, ale zaraz umarł i w ciągu trzech lat nie zbliżali się do tego kąta kościoła, gdzie stała chrzcielnica. Po tym czasie przyszła na świat córeczka, której, na pamiątkę pierworodnego syna, nadali imię podobne. Zwał się on Zywert, więc otrzymała na chrzcie imię Synnöw. Nie mogli oboje wymyśleć nic innego. Ale matka zwała córkę — Synnöwe, gdyż w czasie kiedy była niemowlęciem, tak do niej przemawiała. Twierdziła, że łatwiej mówić; — moja Synnöwe, — niż: moja Synnöw. Ostatecznie, gdy dziecko wyrosło, wszyscy za matką zwali ją — Synnöwe i ogólnem było przekonaniem, że jak daleko sięgnąć mogą pamięcią najstarsi, nie było w całej okolicy piękniejszej dziewczyny od Synnöwe z Solbakken.

Była jeszcze maleńka, a już brali ją rodzice ze sobą do kościoła, w każdą niedzielę, gdy tylko proboszcz miewał kazanie. Zrazu, coprawda, nie rozumiała nic. Słyszała tylko, że proboszcz pomstuje na znanego urwipołcia Benta, siedzącego pod samą kazalnicą. Ale ojciec chciał, by się, jak mówił, „przyzwyczajała," matka zaś życzyła sobie tego samego, aby „jej się wiodło." Ile razy bowiem zachorzało u nich jagnię, koza, czy prosię, ile razy zwierzęta nie darzyły się, lub gdy coś stało się krowie — zawszę tę sztukę bydła da-

wano małej „na własność” i matka twierdziła stanowczo, że od tego dnia wszystko się zmieniało na lepsze. Ojciec nie dawał temu wiary, ale było mu wszystko jedno, czyje były bydlęta, byle tylko nie chorowały.

W drugim końcu doliny, u samego podnóża wysokiej góry, leżało osiedle, zwane Grunlinden, czyli — ubocz jodłowa — tak nazwane od sporego lasu jodłowego, który je otaczał. Był to jedyny tego rodzaju las w całej okolicy. Pradziad obecnych właścicieli był swego czasu wojakiem i przez czas jakiś przebywał w Holsztynie, zagrożonym przez Rosjan. Z tej wyprawy przyniósł sobie w tornistrze różnego rodzaju nasiona zagraniczne i posiał je w pobliżu swej posiadłości. Z biegiem jednak czasu wszystkie zmarniały, z wyjątkiem kilku szyszek jedliny, zabranych przypadkowo. Z tych to właśnie szyszek, które się zakorzeniły, powstał las, ocieniający budynki ze wszystkich stron...

Wojak ów na pamiątkę dziada otrzymał na chrzcie imię Torbjörn, zaś najstarszemu swemu synowi dał imię Sämund — jak się zwał ojciec. W rodzinie panował od niepamiętnych czasów zwyczaj, że najstarsi synowie zwali się — naprzemian — Torbjörn i Sämund. Taka już była tradycja. Podobno — jak mówiła o tem legenda,

— w Grunlinden szczęście sprzyjało tylko — każdemu drugiemu właścicielowi, i właśnie nie temu, który nosił imię Torbjörna. Gdy się ostatniemu właścicielowi, Sämundowi, narodził syn, zaczął on głęboko przemyśliwać co uczynić. Ale po długiem dumaniu przyszedł do przekonania, że niepodobna zrywać z tradycją rodzinną i dał mu imię Torbjörna. Potem jednak zaczął ponownie dumać, czy jednakże nie możnaby wychować chłopca — w ten sposób, by go uchronić od niepowodzenia, które mu niosła tradycja i ludzka gadanina. Nie był pewny, czy mu się to uda, ale zauważywszy w chłopcu skłonność do krnąbrności, powiedział matce: — To muszę zeń wykorzenić! — Brał tedy od czasu do czasu do ręki potężną rózgę i zmuszał trzyletniego malca do układania porozrzucanych ze złości polan drzewa, podnoszenia naczyń, które cisnął o ziemię, lub głaskania kota, którego wytargał za ogon. Matka, spostrzegłszy, iż męża napada taki nastrój, wydalała się zazwyczaj z domu.

Dziwiło to niepomału Sämunda, że, w miarę jak chłopcu przybywało lat, coraz więcej miał w nim wad do wykorzenienia, mimo iż postępował z nim coraz to surowiej. Zawczasu zasadził go do abecadła, a także zabierał go ze sobą w pole, by go nie tracić z oczu. Matka zajęta

gospodarstwem i drobnemi dziećmi, poprzestawała na gładzeniu syna po policzkach i udzielaniu rad zbawiennych co rano przy ubieraniu. Pozatem wstawiała się za nim do ojca, ile razy w niedzielę i święta siedzieli oboje w domu na poufnej gawędce. Torbjörn, który za byleco zawsze dostawał w skórę, nawet za to, że **a b** nie brzmiało, jak mówił, — **ba**, ale **ab**, lub za to, że chciał wybić małą Ingrid, tak samo, jak jego bił ojciec — rozmyślał nad dziwną zagadką, dlaczego jemu jest tak źle, a jego siostrom i braciom tak dobrze na świecie.

Obcował ciągle z ojcem, a nie śmiał z nim dużo rozmawiać, przeto stał się małomówny, ale zato dużo myślał. Pewnego dnia, kiedy byli zajęci przewracaniem suszącego się siana, wyrwało mu się pytanie:

— Czemu to w Solbakken siano dawno już suche i zwiezione, a u nas mokre?

— Bo tam więcej słońca, niż u nas! Torbjörn po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że znajduje się poza sferą słoneczną, poza owem błogosławionem, oblanem jasnością osiedlem, które tak często pociągało jego oczy. Od tego dnia coraz częściej spoglądał ku Solbakken.

— Czemuż się znowu gapisz? — pytał ojciec, dając mu szturchańca. Tutaj, w Grunlinden mu-

simy pracować wszyscy jak jesteśmy, by nie zejść na psy.

Gdy Torbjörn miał lat siedm, czy ośm, odprawił Sämund parobczaka i przyjął innego, imieniem Aslak, który dużo zwiedził pono świata, mimo iż był zaledwo wyrostkiem. Tego wieczoru, kiedy Asłak przybył, Torbjörn już leżał w łóżku. Nazajutrz siedział przy stole i uczył się. Nagle ktoś otwarł drzwi z takim hałasem, jakiego Torbjörn w życiu nie słyszał i ukazał się w nich Aslak. Niósł olbrzymią narącz drzewa opałowego i rzucił ją z taką siłą na podłogę, że polana rozleciały się na wszystkie strony. Podskakiwał też sam wysoko i tupał, by otrząsnąć śnieg z obuwia, a przy każdym skoku powtarzał:

— Oj zimno! — mówiła narzeczona krasnoludka, siedząc po pas w lodzie!

Ojca nie było w domu. Matka zmiotła śnieg i nic nie mówiąc, wyniosła go z izby.

— Cóż tak wytrzeszczasz ślepia? — powiedział Aslak.

— Nie wytrzeszczam! — odrzekł Torbjörn ze strachem.

— Czy widziałeś koguta, którego masz tam wymalowanego w książce? — spytał Aslak.

— Tak! — odparł Torbjötn.

— Gdy zamkniesz książkę, zlatuje się do niego mnóstwo kur! Czyś to widział?

— Nie!

— To zobacz!

Chłopak otwarł książkę.

— Osioł jesteś! — krzyknął Aslak z pogardą.

Od tej chwili miał nad Torbjörnem wpływ ogromny.

— Nic nie wiesz! Nic nie umiesz! — oświadczył raz Torbjörnowi, który dreptał za nim ciągle, chcąc wiedzieć co robi.

— Umiem katechizm, aż do czwartego rozdziału! — odparł dumnie.

— Ba! To głupstwo! Ale nie znasz historji o krasnoludku, który tańczył z dziewczyną od świtu do zachodu słońca, a potem pękł, jak cielę, które napiło się kwaśnego mleka.

Torbjörn w życiu nie słyszał tyle mądrych rzeczy naraz.

— Gdzież to było? — spytał.

— Gdzie?... Ano... to było... tak... tak to się stało tam, naprzeciwko, w Solbakken.

Torbjörn wytrzeszczył oczy.

— A czy słyszałeś o człowieku, który się zaprzedał djabłu za parę starych butów?

Torbjörn oniemiał ze zdziwienia.

— Pewnie chcesz wiedzieć, gdzie się to stało? — pytał Aslak — Ano także w Solbakken, ot, tam nad strumieniem, który stąd widać. Boże bądź miłościw! — dodał po chwili — Ładny z ciebie widzę chrześcijanin! Założę się, że nie wiesz nic o Kari, co miała drewnianą spódnicę?

Nie słyszał o niej rzeczywiście nic.

Aslak pracował żwawo i rozpowiadał przytem wesoło o Kari z drewnianą spódnicą, o młynie, mielącym sól na dnie morza, o djable w sabotach, o krasnoludku, któremu brodę przyciął rozłupany pień drzewa, o siedmiu zielonych pannach, które wyrywały śpiącemu Piotrkowi-kłusownikowi włosy z łydek, a mimo to nie mogły go zbudzić... słowem gadał różne cudactwa, a wszystko to miało się stać tam... w Solbakken.

— Cóż się, na miły Bóg, stało chłopcu? — dziwiła się na drugi dzień matka — Od samego rana klęczy na ławce i wpatruje się w Solbakken.

— Rzeczywiście gapi się jak cielę na malowane wrota! — powiedział ojciec. Leżał na łóżku i odpoczywał całe poobiedzie, albowiem była to niedziela.

— Ludzie powiadają, — zauważył od niechcenia Aslak — że jest zaręczony z Synnöwe

Solbakken! — i dodał — Ale ludzie gadają często głupstwa!

Torbjörn nie zrozumiał dobrze co mówi Aslak, ale mimo to zarumienił się po uszy.

Usłyszawszy tę uwagę, zeszedł z ławki, wziął katechizm i zaczął się uczyć.

— Dobrze robisz! — powiedział Aslak — Pocieszaj się słowem bożem, bo i tak jej nigdy nie dostaniesz!

Minęło z pół tygodnia i Torbjörn sądził, że ta niedzielna sprawa poszła w zapomnienie. Pewnego dnia spytał matki pocichu... wstydził się bowiem:

— Mamo! Kto to jest ta Synnöwe Solbakken?

— To mała dziewczynka, która kiedyś będzie właścicielką Solbakken.

— Czy ona ma drewnianą spódnicę? — spytał już śmielej.

Matka spojrzała nań zdumiona.

— Co to znaczy? — spytała.

Uczuł, że powiedział głupstwo i zamilkł.

— Niema chyba na świecie — mówiła matka — piękniejszego dziecka. To jest nagroda Pana Boga za to, że zawsze jest dobra, grzeczna i pilnie się uczy.

Nareszcie dowiedział się.

Pewnego dnia pracował Sämund z Aslakiem w polu. Za powrotem do domu, rzekł do syna:

— Zabraniam ci od dnia dzisiejszego wdawać się z Aslakiem.

Ale Torbjörn nie zważał na ten zakaz. Po jakimś tedy czasie odezwał się ojciec:

— Jeśli cię kiedy jeszcze zobaczę z tym nicponiem, to popamiętasz!

Od tego czasu włóczył się za Aslakiem potajemnie, tak by ojciec nie widział. Pewnego jednak dnia przyłapał ich na pogawędce. Torbjörn dostal w skórę i został odesłany do domu. Odtąd spotykali się wówczas jeno, kiedy ojca w domu nie było.

Pewnej niedzieli, kiedy ojciec był w kościele, dokazywali Torbjörn z Aslakiem. Rzucali na siebie śniegiem.

— Nie!... — zaprotestował w końcu Torbjörn, dostawszy parę kul w twarz i głowę — Mam tego dosyć! Rzucajmy w coś innego.

Aslak się zgodził i zaczęli rzucać w sporą jodłę, stojącą obok lamusa, potem w drzwi, a nakoniec w okno budynku.

— Nie rzucaj w szybę! — ostrzegl Aslak — tylko w ramę!

Ale Torbjörn rozbił szybę i pobladł.

— Ba! Któż się o tem dowie? — pocieszał go przyjaciel — Rzucaj dalej!

Torbjörn rzucił znów i rozbił drugą.

— Nie będę już rzucał! — oświadczył.

W tej chwili ukazała się w drzwiach najstarsza siostra Torbjörna, mała Ingrid.

— Rzucaj w nią! — powiedział Aslak.

Torbjörn był podniecony i usłuchał. Dziewczynka zaczęła płakać, a na ten głos wyszła matka i zabroniła mu tej zabawy.

— Rzucaj dalej! — podmawiał go Aslak.

I Torbjörn rzucił jeszcze raz.

— Oszalałeś chłopcze? — zawołała matka i skoczyła ku niemu. Zaczął uciekać, matka za nim i tak gonili się wokoło podwórza. Aslak śmiał się, a matka miotała pogróżki. Nakoniec dopadła go w jakiejś zaspie i zabierała się wyłoić mu skórę.

— Niech mnie mama nie bije, — krzyknął — bo oddam! Taki tu jest zwyczaj!

Przerażona matka opuściła rękę i powiedziała:

— Tego cię nauczył Aslak! — Wzięła go spokojnie za rękę i zaprowadziła do domu. Nie odezwała się doń ni słowem, zajęła się młodszemi dziećmi i powiedziała im, że niedługo ojciec wróci z kościoła. W izbie zrobiło się nagle jakoś

gorąco. Aslak poprosił o pozwolenie odwiedzenia krewniaka i otrzymał je natychmiast. Gdy wyszedł, odwaga do reszty opuściła Torbjörna. Zaczęło mu burczeć w żołądku i całe ciało oblało się potem. O, żeby to matka nic nie mówiła ojcu!... myślał, ale nie mógł się przezwyciężyć, by ją o to poprosić. Kręciło mu się w głowie wszystko, tańczyło mu przed oczyma, a zegar tykał wyraźnie: Bicie! Bicie! Bicie! Nie mógł wytrzymać, wylazł na ławę i spojrzał ku Solbakken. Było ciche, przysypane śniegiem, połyskiwało w słońcu wszystkiemi szybami. O, tam nie brakło napewno ani jednej! Dym wznosił się raźno w górę. Zapewne gotowano posiłek dla tych, którzy mieli wrócić z kościoła. A Synnöwe? Czeka zapewne na ojca... ale nie dostanie w skórę... o nie... gdy wróci do domu. Nie wiedział, co ze sobą zrobić i nagle uczuł wielką serdeczność dla małej Ingrid. Posunął się aż do tego, że podarował jej najpiękniejszy, połyskujący guzik, otrzymany w podarunku od Aslaka! Objęli się za szyję.

— Droga Ingrid! — pytał — czy gniewasz się jeszcze na mnie?

— Nie, Torbjörnie! — odparła uszczęśliwiona — Pozwalam ci nawet rzucać śniegiem we mnie, jak długo ci się podoba!

Naraz usłyszał tupanie w sieni. Ktoś otrzepywał śnieg z nóg... Tak, to ojciec. Wszedł. Miał minę łagodną i wesołą... a to było jeszcze gorsze!

— No i cóż? — spytał, rozglądając się wokoło. Torbjörn dziwił się bardzo, że zegar nie spadł w tej chwili ze ściany.

Matka zastawiła ojcu jedzenie.

— No, cóż słychać w domu? — spytał ojciec, zasiadając przy stole i biorąc łyżkę.

— O o o... wszystko dobrze! — odparła matka, przeciągając to... o o... niezmiernie długo. Czuł dobrze, że chce powiedzieć coś więcej. Ale dodała tylko: — Pozwoliłam wyjść Aslakowi.

— Teraz się zacznie! — pomyślał Torbjörn i zaczął bawić się z Ingrid, z takim zapałem, jakby go pozatem nic w świecie nie obchodziło.

Nigdy nie zużył jeszcze ojciec tyle czasu na jedzenie. Torbjörn rachował kęsy, gdy zaś doszedł do czwartego, zapragnął przekonać się, do ilu doliczyć potrafi pomiędzy czwartym a piątym... i stracił w ten sposób rachubę. Nakoniec ojciec wstał i wyszedł na dwór.

— Szyby... szyby... szyby...! — tętniło w uszach chłopca i mimowoli rozejrzał się po izbie, czy i tu jakiejś nie brak. Ale nie, wszy-

stkie były całe. Po chwili wyszła matka. Torbjörn wziął małą Ingrid na kolana i powiedział do niej tak czule, że aż zdziwiona spojrzała mu w oczy:

— Chcesz, byśmy zabawili się w królewnę na łące?

Dziewczynka zgodziła się z pośpiechem, a Torbjörn zaśpiewał, czując, że nogi drżą pod nim:

— Kwiateczku mały,
Śliczny kwiateczku,
Czy chcesz być moim kochankiem?
Dostaniesz płaszczyk nowy,
Czerwony, atłasowy.
Złotem przybrany,
Perłami haftowany,
Tralala... tralala... tralala.
Królewny słuchać trza!

A Ingrid odpowiedziała:

— Królewno mała,
Śliczna królewno,
Nie chcę być twoim kochankiem,
Nie pragnę płaszcz mieć nowy,
Czerwony, atłasowy,
Złotem przybrany,
Perłami haftowany.
Tralala... tralala... tralala...
Nie chcę, królewno ma!

Właśnie w najpiękniejszem miejscu zabawy wszedł ojciec i spojrzał twardym, tępym wzrokiem na syna. Torbjörn przycisnął do siebie mocniej Ingrid i... o dziwo... nie spadł z krzesła.

Ojciec odwrócił się od niego bez słowa. Minęło pół godziny, a ojciec milczał i Torbjörn uczuł ulgę, ale nie śmiał jeszcze wierzyć, że mu to ujdzie na sucho. Nie wiedział, co ma myśleć o tem wszystkiem i gdy ojciec sam pomagał rozbierać go do snu, zaczął drżeć całem ciałem. Ojciec pogładził go czule po włosach i policzkach. Nie zdarzyło się to nigdy jeszcze, jak mógł sięgnąć pamięcią, toteż ciepło objęło jego serce i całe ciało, trwoga przeminęła i stopniała jak lód w słońcu. Sam nie wiedział, jak się dostał do łóżka, a ponieważ radości swej nie mógł objawić ani śpiewem, ani okrzykami, przeto złożył ręce i pocichuteńku odmówił Ojcze nasz, sześć razy naprzód i sześć razy wstecz, a zasypiając, czuł, że na całym bożym świecie niema człowieka, któryby dłań był tem, czem ojciec.

Nazajutrz zbudził się z okropnym strachem. Nie mógł krzyczeć, ale wiedział, że teraz oto spadną nań cięgi. Otwarł oczy i przekonał się z ogromną ulgą, iż to był jeno sen. Niebawem zauważył, że w skórę dostanie ktoś inny, mianowicie Aslak. Sämund spacerował tam i z powrotem po izbie, a... ten krok znał Torbjörn doskonale. Krępy, trochę za niski, ale silny chłop, spozierał raz po raz z pod krzaczastych brwi na Aslaka i nie ulegało wątpliwości, że groźna burza wisi w powie-

trzu. Aslak siedział na wielkiej beczce i kiwał nogami, czasem podwijając jedną pod siebie. Ręce, jak zazwyczaj, trzymał w kieszeniach od spodni, a czapkę nasunął na czoło i oczy tak, że włosy sterczały mu po obu stronach, a oczu widać nie było. Skrzywione zazwyczaj grymasem usta były dzisiaj jeszcze bardziej krzywe.

Po długiem milczeniu zaczął pierwszy Aslak:

— Wasz syn, gospodarzu, zwarjował! Ale jeszcze gorsza rzecz, że ktoś na waszego siwka rzucił czary.

— Ty łajdaku bezwstydny! — wrzasnął Sämund, aż zadudniło w izbie. Aslak przekrzywił głowę na bok, a Sämund chodził dalej tam i z powrotem.

— Naprawdę koń jest zepsuty przez czary... — zaczął znów Aslak, badając, jakie wrażenie te właśnie słowa wywołają.

— Czary... naturalnie że czary! — wrzasnął Sämund — A któż to zrobił jak nie ty, drabie jeden? Ścinałeś w lesie drzewo i spuściłeś je przez konia... oto powód, dlaczego teraz nie chce ciągnąć!

Aslak słuchał spokojnie czas jakiś, a potem rzekł:

— Wierzcie sobie w to. Wiara nikogo nie hańbi. Ale wątpię, czy przez to koń przyjdzie do siebie!

Aslak posunął się jednocześnie na beczce i osłonił twarz ręką.

Sämund przystąpił doń blisko i powiedział głosem przyciszonym, zwiastującym wściekłość:

— Jesteś ostatniego rzędu...

— Sämund! — rozległo się wołanie żony Ingeborgi. Uspakajała męża i jednocześnie niemowlę przy piersi, które, przerażone, zabierało się do płaczu. Dziecko uspokoiło się i Sämund także. Podsunął tylko pod nos Aslaka pięść — może nieco za małą w stosunku do rozmiarów ciała — i, pochylony nad nim, wiercił go na wylot płomiennem spojrzeniem. Potem rozpoczął na nowo wędrówkę po izbie, rzucając od czasu do czasu okiem na Aslaka, który pobladł. Ale nie przeszkadzało mu to, że stronę twarzy zwróconą do Torbjörna wykrzywił drwiącym grymasem, podczas gdy druga strona, zwrócona do Sämunda, pozostała spokojną.

— Boże, daj mi cierpliwość! — westchnął po chwili Aslak z szyderstwem, ale w tejże chwili podniósł w górę łokieć, dla odbicia spodziewanego ciosu.

Sämund stanął. Tupnął tak, że beczka wraz z Aslakiem podskoczyła w górę, i krzyknął co sił w piersiach:

— Nie wymieniaj J e g o imienia...

Ingeborga przybiegła wraz z dzieckiem i chwyciła męża za rękę. Nie spojrzał na nią, ale opuścił ramię. Ona siadła, a on znowu zaczął przemierzać izbę krokami. Przez dłuższy czas trwało milczenie, a Aslak nie mogąc wytrzymać, ozwał się:

— O tak... On miałby tu dużo do roboty w Grunlinden... ho... ho!

— Sämund! Sämund! — krzyknęła Ingeborga, ale zanim posłyszał jej głos, rzucił się na Aslaka. Aslak podstawił mu nogę, ale Sämund kopnął ją na bok, chwycił chłopaka za kołnierz, za jedną nogę podniósł w górę i cisnął z taką siłą w zamknięte drzwi, że kwatery drzewa wypadły z osady, a za niemi wyleciał do sieni sam Aslak. Matka, Torbjörn i wszystkie dzieci krzyczały i błagały o zmiłowanie dla Aslaka, cały dom rozbrzmiewał wrzaskami, ale Sämund nie słuchał, wybiegł za chłopakiem, podjął go z ziemi, wyniósł na podwórze, podniósł w górę i grzmotnął nim powtórnie o ziemię. Ale spostrzegłszy, że w miejscu, gdzie leży, jest za dużo śniegu, by się mógł porządnie potłuc, przycisnął mu kolanem piersi i walił przez chwilę po twarzy, potem niby wilk niosący zdobycz, podjął go ponownie i cisnął na ziemię twardą. Tutaj przyparł go znów kolanem i zaczął okładać. Kto wie jakby się to

skończyło, gdyby nie Ingeborga, która z niemowlęciem na rękach oddzieliła męża od nieszczęsnej ofiary.

— Sprowadzisz nieszczęście na nas wszystkich! — krzyknęła i to otrzeźwiło Sämunda.

W chwilę potem Ingeborga siedziała w izbie. Torbjörn ubierał się, ojciec chodził znowu tam i z powrotem, popijając od czasu do czasu wodę. Ale ręce tak mu się trzęsły, że woda rozbryzgiwała się po ziemi. Aslak się nie pokazywał, więc Ingeborga chciała zobaczyć co z nim słychać.

— Zostań! — powiedział Sämund głucho, jakby mówił do kogoś obcego.

Po chwili jednak wyszedł sam i nie wrócił rychło. Torbjörn wziął książkę i uczył się pilnie, bez ustanku, nie podnosząc oczu, mimo że nie rozumiał ani jednego słowa z tego, co czytał.

Potem powrócił znów dawny ład, wszyscy się uspokoili, ale nikt nie mógł się oprzeć wrażeniu, że przed godziną był w domu ktoś obcy i straszny. Torbjörn ośmielił się wreszcie wychylić za próg i natknął się na Aslaka, który pakował wszystkie swe manatki na sanie, będące zresztą własnością Torbjörna. Chłopiec patrzał przerażony, bo Aslak strasznie wyglądał. Cała twarz i znaczna część odzieży pokryta była krwią. Kaszlał i obmacywał sobie piersi. Spoglądał

przez chwilę na Torbjörna w milczeniu, a potem krzyknął:

— Wynoś się, nie mogę patrzeć na ciebie! — Siadł na sanki, jak na konia i zjechał ze spadzistego wzgórza.

— Długo możesz czekać na swoje sanki! — wrzasnął jeszcze w oddali, odwracając się i pokazując mu język. Takie było pożegnanie Aslaka.

Coś w tydzień zjawił się w Grunlinden policjant. Potem ojca często nie bywało w domu. Matka płakała, a potem i ona często była nieobecną.

— Co to znaczy? — pytał raz Torbjörn matki.

— To wszystko przez Aslaka! — odparła.

Pewnego dnia przyłapano małą Ingrid, jak śpiewała:

Już mi życie się zmierziło,
Wszystko się tu przewróciło!
Córka skacze jak szalona,
Syn się gapi niby wrona,
Siedzi w oknie, istny kołek,
Jest to warjat i matołek!
Matka w jadło miast słoniny,
Leje wodę bez przyczyny
Ojciec leń na łóżku leży,
Tyle, że w swą Biblię wierzy!
Kot, najmędrszy w całym domu,
Spija mleko pokryjomu!

Oczywiście zarządzono śledztwo, skąd się nauczyła tych wierszy. Wyznała, że słyszała je od Torbjörna. On zaś, przerażony, oświadczył, że nauczył go tej piosenki Aslak.

— Jeśli będziesz to śpiewał, lub uczył innych, — powiedział ojciec — dostaniesz lanie!

Niedługo potem zaczęła mała Ingrid kląć. Torbjörn został wzięty na spytki i Sämund zawyrokował, że najlepiej mu zaraz wygarbować skórę. Ale chłopiec wypraszał się i czynił tak piękne obietnice, że uniknął tym razem kary.

Następnej niedzieli, powiedział doń ojciec:

— Nie będziesz dzisiaj wyprawiał zbytków w domu! Zbieraj się do kościoła!

II.

Kościół, to dla chłopa sprawa wagi ogromnej. Świątynia stoi samotna, czcigodna, otacza ją cisza cmentarza, wewnątrz zaś wre życie i odbywa się służba boża. Jedyny to budynek w całej dolinie, porządnie zbudowany i bogato przyozdobiony, a wieża wznosi się wysoko w górę. Dzwony ślą zdala pozdrowienie każdemu, kto w niedzielę zdąża na nabożeństwo tak, że na ten odglos wypada zdjąć czapkę i odpowiedzieć uprzejmie: T a k f o r s i d e t.*) Pomiędzy kościołem, a chłopem norweskim istnieje przymierze nierozerwalne.

Stawał on już dzieckiem będąc w otwartych drzwiach i słuchał dzwonów, podczas gdy ulicami płynęły ciche tłumy wiernych. Ojciec przyłączał się do nich, on jednak był za mały jeszcze. Łączył niejedno wyobrażenie z temi silnemi, dźwięcznemi tonami, których echa, odbite

*) T a k f o r s i d e t, zwykłe pozdrowienie chłopów norweskich, które znaczy mniejwięcej: Wspominam z wdzięcznością nasze ostatnie miłe spotkanie.

od skał, kilka godzin jeszcze grzmiały pośród gór. Trzy jednakowoż myśli wiązały się nierozłącznie z wesołem dzwonieniem... czyste, nowe ubranie; odświętnie przybrane kobiety i wyczyszczone konie w lśniącej uprzęży.

Gdy zaś nadejdzie niedziela, której dzwony zabrzmią jego własnem szczęściem, gdy w nowiutkiej, za obszernej może nieco odzieży, po raz pierwszy kroczy dumnie u boku ojca do kościoła... o, ileż radości w tych dźwiękach! Otwierają mu one bramy tego wszystkiego, co mu dostrzec jest przeznaczone! A gdy w drodze powrotnej dźwięki te płyną nad jego głową, ciężką jeszcze i oszołomioną śpiewami, nabożeństwem, kazaniem... z czem się mieszają wrażenia wzrokowe, a więc widok ołtarza, strojów tłumu ludzi... sklepią one dach nad wszystkiemi wrażeniami i mały kościółek, jaki nosi odtąd w sercu swojem, zostaje poświęcony.

Gdy podrośnie, musi paść po halach bydło. Siedzi na skale rankiem niedzielnym, wszystko okrywa rosa, nisko pod nim trzoda jego, dzwony kościelne przygłuszają jej pobrzęki, a wówczas ogarnia go wzruszenie. Bo tony te niosą myśli radosne, miłe, wabne... wspomnienia znajomych, napotykanych pod kościołem, wrażenie nabożeństwa, przyjemniejsze może jeszcze wrażenie, że

się na niem było, nadzieja dobrego jadła w domu, myśl o rodzicach, rodzeństwie, wesołych zabawach na zielonej łące w niedzielne wieczory... W takiej chwili młodociane serce stuka buntowniczo w piersi. Ale ciągle wraca świadomość, że to grają dzwony. Zaczyna dumać i odnajduje w pamięci fragment hymnu kościelnego. Nuci go, składa ręce, długo patrzy w dolinę, odmawia krótką modlitwę, potem zaś zrywa się rozradowany i dmie w swą lurę*), a echa zawracają od skał dalekich.

Tutaj pośród cichych dolin górskich, kościół przemawia jeszcze do każdego wieku swoiście, ma swoją własną postać, dostrzegalną wszystkim. Dużo rzeczy stoi może pomiędzy kościołem a mężem dojrzałym, ale nic mu go nie zdoła zasłonić. W pełni doskonałości stoi on tu przed młodym konfirmandem, napoły grożąc, napoły wabiąc, przed młodzianem, który dokonał wyboru... silny i rozłożysty słoni sobą troski męża, rozlewny i łagodny czuwa nad starcem. Podczas nabożeństwa przynoszą i chrzczą dzieci, a dobrze wiadomo, że w takich chwilach skupienie modlitewne bywa największe.

Dlatego to nie sposób pisać o norweskich chłopach... złych czy dobrych... nie potrącając

*) Długi róg drewniany.

w jakiś sposób o kościół. Wyda się to może jednostajne, ale owa jednostajność nie jest najgorszą. Zaznaczam to raz na zawsze, ale bez bezpośredniego związku, z zamieszczoną tu opowieścią.

Torbjörn uradował się bardzo rozkazem ojca. Nie posiadał się z zachwytu, że ujrzy tyle nowych rzeczy. Gdy przybył przed kościół, olśniła go wprost barwność obrazu, jaki przedstawiało zgromadzenie licznych wiernych. Wewnątrz kościoła przygnębiła go cisza, kładąca się nad wszystkiem. Zaczęło się nabożeństwo. Torbjörn nie pochylił zrazu głowy, gdy pastor zaczął modlitwę, ale uczynił to na widok, że wszyscy kornie się pochylają. Potem rozpoczął się śpiew. Cała gmina rozpoczęła nagle hymn, który przejął go niemal drżeniem. Uczuł instynktownie jego potęgę. Zapadł w otępienie takie, że drgnął, gdy nagle otworzono ławkę, w której siedzieli, i ktoś wszedł. Gdy śpiew się skończył, ojciec podał rękę przybyszowi i spytał:

— Cóż tam nowego w Solbakken?

Torbjörn otworzył szeroko oczy. Ale chociaż długo przyglądał się przybyłemu, nie mógł w żaden sposób dopatrzyć się w nim niczego, coby miało coś wspólnego z czarami. Był to mężczyzna dobroduszny, uśmiechnięty, jasnowłosy, o dużych, niebieskich oczach i wysokiem czole. Gdy doń

mówiono, uśmiechał się i na wszystko co mówił Sämund, odpowiadał tak... tak... tak. Był widocznie małomówny z natury.

— Popatrz — rzekł ojciec — tam siedzi Synnöwe! — pochylił się, posadził go sobie na kolanach i wskazał na przeciwległą ławkę, przeznaczoną dla kobiet.

Klęczała tam na siedzeniu mała dziewczynka oparta o pulpit, rozglądała się po kościele. Miała włosy bardzo jasne, konopiaste, dużo jaśniejsze niż ów jegomość, siedzący obok ojca. Z małego czepeczka powiewały czerwone wstążki. Śmiała się doń wesoło, tak że przez dobrą chwilę, nie mógł odwrócić uwagi od jej drobnych, białych ząbków. W jednej ręce trzymała pięknie oprawny śpiewnik, w drugiej złożoną jasno-czerwoną, jedwabną chusteczkę i uderzała nią po książce. To była jej zabawa.

Im dłużej patrzył, tem mu było weselej. Po chwili ukląkł na ławce tak jak ona. Wówczas kiwnęła mu głową. Przez moment patrzył z powagą, potem skinął również głową. Roześmiała się i odpowiedziała tem samem. I tak kiwali głowami. Po chwili Synnöwe zaprzestała tej zabawy, a dopiero potem, gdy już zapomniał, rozpoczęła ją na nowo.

— Teraz ja chcę zobaczyć!

Torbjörn posłyszał jakiś głos za sobą i uczul, że go ktoś ściąga za nogi. Omal, że nie zleciał z ławki. Sprawcą był niewielki, silny wyrostek, który teraz mężnie wdrapywał się na jego miejsce. Miał również jasne, zmierzwione włosy i krótki, perkaty nos. Aslak nauczył Torbjörna, jak traktować należy złych malców zarówno w szkole, jak i kościele, gdy przyjdzie do konfliktu. Przeto Torbjörn uszczypał straszliwie intruza w pośladek. Omal nie wrzasnął, ale przezwyciężył ból, pospiesznie zlazł z ławki i chwycił Torbjörna za uszy. Torbjörn wbił obie ręce w jego włosy i cisnął go o ziemię. Malec nie krzyknął, tylko milczkiem ugryzł go w łydkę. Torbjörn cofnął nogę i z całej siły przydusił twarz przeciwnika do podłogi. W tej chwili jednak uczul, że go ojciec chwyta za kołnierz i podnosi w górę, niby siennik. Po chwili siedział znów na jego kolanach.

— Gdyby nie to, że jesteśmy w kościele — powiedział doń — dostałbyś lanie! Jednocześnie ścisnął mu tak rękę, że Torbjörn omal nie krzyknął z bólu.

Przypomniał sobie o Synnöwe i spojrzał. Klęczała jeszcze, ale była przerażona i zdrętwiała, Teraz uczul, że musiał uczynić coś bardzo brzydkiego. Gdy zauważyła, że na nią patrzy, zeszła z ławki i nie pokazała się wcale.

Nagle zjawił się zakrystjan, potem pastor. Torbjörn przypatrywał im się uważnie. I znowu poszedł zakrystjan, a za nim pastor... On siedział na kolanach ojca i myślał:

— Czy ona się jeszcze pokaże?

Malec, który go ściągnął z ławki, siedział na małym stołeczku na drugim końcu stali i ile razy chciał wstać, dostawał w plecy kułakiem od starego jegomości, który drzemał smacznie, ale budził się zawsze w porę, by zapobiec nowej walce.

— Czy ona się wnet pokaże? — dumał Torbjörn.

Każda czerwona wstążka, jaką ujrzał w pobliżu, przywodziła mu na myśl tę, która ją nosiła, a każdy pięknie malowany obraz wydał mu się podobnym do niej, tylko postacie były nieco mniejsze od Synnöwe.

— Ach! — zauważył z radością. Oto wystawia główkę!

Ale zaledwo go spostrzegła, przybrała surową minę i schowała się.

Znowu ukazali się zakrystjan i pastor, dzwony zaczęły dzwonić, a wierni powstali z miejsc.

Ojciec powiedział coś zcicha do jegomości o jasnych włosach i obaj poszli do ławki przeciwległej, z której kobiety również powstały.

Pierwsza wyszła kobieta jasnowłosa. Uśmiechała się podobnie, jak ten jegomość, tylko mniej wesolo. Była mała, blada. Prowadziła za rękę Synnöwe. Torbjörn zbliżył się zaraz do niej, ale odsunęła się żwawo i skryła w fałdach matczynej spódnicy.

— Idź sobie! — powiedziała.

— Ten chłopczyna — ozwała się kobieta — nie był dotąd jeszcze w kościele — i położyła mu dłoń na głowie.

— Jest dziś po raz pierwszy — odparł Sämund i dlatego rozpoczął bijatykę.

Torbjörn spojrzał zawstydzony na ową kobietę, a potem na Synnöwe, która wydała mu się teraz jeszcze poważniejszą.

Wyszli razem. Rodzice zatopili się w rozmowie, a Torbjörn szedł zaraz za Synnöwe, która za każdem zbliżeniem czepiała się trwożliwie sukni matki. Tamtego chłopca stracił zupełnie z oczu. Przed kościołem starsi rozgadali się na dobre. Torbjörn usłyszał parę razy imię Aslaka, a bojąc się, by przy tej sposobności nie wspomniano także i o nim, odsunął się na bok.

— To nie dla ciebie! — powiedziała matka do Synnöwe. — Odejdź trochę od nas, moje dziecko... mówię ci, oddal się...

Synnöwe odeszła z wahaniem kilka kroków.

Torbjörn zbliżył się teraz do niej. Stali przez chwilę naprzeciw siebie i oglądali się wzajem. Nakoniec powiedziała Synnöwe:

— Pfuj!

— Czemuż mówisz pfuj? — zdziwił się.

— Pfuj! — powtórzyła z uporem — Pfuj! Wstydź się!

— Cóż takiego zrobiłem? — spytał.

— Biłeś się w kościele i to podczas modlitwy... pfuj!

— Tak... ale to już bardzo dawno!

— To ją przekonało i spytała po chwili:

— Czy ty nazywasz się Torbjörn Grunlinden?

— Tak! A ty Synnöwe Solbakken?

— Tak. Słyszałam zawsze, że jesteś taki grzeczny!

— Nie! To nieprawda! — odparł — Jestem najgorszy z wszystkich w całym domu!

— Ach! Któż tak mówi! Tego jeszcze nie słyszałam! — zawołała Synnöwe, uderzając zdumiona chustką w książkę — Mamo! mamo!... on powiada...

— Dajże mi spokój i odejdź... — odrzekła matka.

Zatrzymała się, a potem idąc wstecz, wróciła do Torbjörna, nie spuszczając z matki wielkich, niebieskich oczu.

— Słyszałem — ozwał się Torbjörn — że ty jesteś zawsze grzeczna!

— Tak... czasem... Tak mówią, gdy się pilnie uczę! — odparła.

— Czy to prawda, że u was pełno krasnoludków, czarownic i innych złych duchów? — zapytał, biorąc się pod boki. Wysunął jedną nogę i przybrał minę wyzywającą, zupełnie, jak Aslak.

— Mamo... mamo! Wiesz, co on mówi! On powiada...

— Daj mi spokój... rozumiesz? I nie zbliżaj się, aż cię zawołam.

Musiała znowu cofnąć się. Szła zwolna wstecz, gryząc chusteczkę i szarpiąc ją w zębach.

— Czy to prawda, że u was, w krzakach, nad stawem co noc słychać muzykę? — pytał Torbjörn.

— Nieprawda!

— Czyś nigdy nie widziała krasnoludka?

— Nie!

— Ależ na miłość boską!...

— Pfuj! Nie mów tego!

— O... cóż to szkodzi! — zawołał i splunął daleko przez zęby, chcąc jej pokazać, jak daleko pluć potrafi.

— Tak... tak... strzeż się! — zauważyła — Inaczej pójdziesz prosto do piekła!

— Tak myślisz? — rzekł pokorniejszym głosem. Zawsze sądził, że co najwyżej może za to dostać bicie, a w tej chwili ojciec stał dosyć daleko.

— Kto jest u was w domu najsilniejszy? — spytał i nasunął czapkę na jedno ucho.

— Nie wiem... — odrzekła Synnöwe z zakłopotaniem.

— U nas najmocniejszy jest ojciec. Jest tak silny, że sprał nawet Aslaka, a Aslak jest silny... zaręczam ci!

— Tak?

— Oo, naturalnie! Pewnego razu podniósł w jednej ręce konia!

— Konia?

— Tak... to prawda! Sam mówił.

Oczywiście uwierzyła i ona natychmiast.

— Któż to jest Aslak? — spytała.

— To zły chłopak! Powiadam ci, ojciec tak go sprał, jak dotąd nie zbito jeszcze nikogo na całym świecie!

— Więc wy się ciągle bijecie?

— Czasem... A wy nie bijecie się nigdy w Solbakken?

— Nie, nigdy!

— A cóż robicie w takim razie? — spytał zdziwiony.

— Matka gotuje, robi pończochy i szyje. To samo czyni Karin, ale nie tak dobrze jak mama, bo jest leniwa. Randi zajmuje się kuchnią, ojciec i parobcy pracują w polu, albo także w domu.

Torbjörn był zupełnie zadowolony z tego, co usłyszał.

— A wieczorami — mówiła dalej — czytamy i śpiewamy. To samo robimy każdej niedzieli.

— Wszyscy razem?

— Tak!

— To musi być bardzo nudne!... zauważył.

— Nudne?... Mamo... on powiada...

Ale przypomniała sobie, że nie wolno przeszkadzać matce.

— Mam bardzo dużo owiec! — powiedziała, zwracając się doń.

— Bardzo dużo? — zdziwił się.

— Tak! A trzy z nich tej zimy są ciężarne. Jedna nawet, pewna jestem, będzie miała dwojaczki.

— Masz więc owce?

— Tak! I krowy i prosięta! A ty, nie masz?

— Nie!

— Przyjdź do mnie! Dam ci owieczkę. A z niej potem dochowasz się bardzo dużo owiec.

— To byłoby bardzo dobrze! — zauważył.

Milczeli przez chwilę. Potem on spytał:

— Czy Ingrid mogłaby także dostać owcę?

— Któż to jest Ingrid?

— Ingrid! Mała Ingrid.

Nie znała jej!

— Czy ona mniejsza od ciebie?

— Naturalnie! Taka jest jak ty!

— O, to przyprowadź ją ze sobą! Słyszysz?

Zapewnił, że to uczyni niewątpliwie.

— Dobrze! — powiedziała — Ale ty dostaniesz owcę, a ona prosię!

Wydało mu się to również najmądrzejszym planem. Potem zaczęli sobie opowiadać o znajomych, których zresztą mieli niewielu. Rodzice skończyli tymczasem rozmowę i musiano wracać do domu.

Tej nocy śnił Torbjörn o Solbakken. Widział mnóstwo białych owiec, a pośród nich dziewczynkę z czerwonemi wstążkami na głowie. Wraz z Ingrid rozprawiali teraz po całych dniach o spodziewanych odwiedzinach i marzyli o owcach i prosiętach, których namnożyło się tyle, że nie wiedzieli co z niemi począć. Czasem dziwowali się, że nie mogli ruszyć zaraz do Solbakken.

— Jakto? Macie iść dlatego, że ta mała was zaprosiła? Czy kto słyszał coś podobnego?

— Czekaj! Czekaj do niedzieli! — pocieszał Torbjörn siostrę. — Ja to już urządzę!

I nadeszła niedziela.

— Podobno straszny z ciebie pyszałek, kłamca i klniesz co drugie słowo! — powiedziała mu Synnöwe — Nie będziesz mógł dostać pozwolenia na przyjście, zanim się tego odzwyczaisz!

— Któż to powiedział? spytał zdumiony.

— Mama!

Ingrid wyczekiwała jego powrotu z niecierpliwością. Gdy jej, oraz matce opowiedział co zaszło, rzekła matka:

— A widzisz!

Ingrid nie ozwała się słowem, ale od tej chwili wraz z matką pilnowały go obie, by się nie chwalił i nie klął. Pewnego dnia doszło między nim, a siostrą do starcia, z powodu kwestji, czy wyrażenie: Psiakość! jest klątwą, czy nie! Ingrid dostała w skórę, a on przez cały dzień powtarzał:

— Psiakość... psiakość...

Usłyszał to wieczorem ojciec.

— Masz psiakość! krzyknął i kopnął go, tak że padł na ziemię.

Torbjörn zawstydził się bardzo, gdyż stało się to w obecności siostry. Ale po chwili Ingrid zbliżyła się i pogłaskała go po twarzy.

Dopiero po kilku miesiącach udali się oboje do Solbakken. Potem przyszła do nich Synnöwe, a oni oddali jej wizytę i tak odwiedzali się ciągle wzajemnie, aż wyrośli. Torbjörn i Synnöwe rywalizowali ze sobą w nauce. Uczęszczali do tej samej szkoły, a Torbjörn czynil takie postępy, że zajął się nim sam pastor. Ingrid nie mogła nadążyć i brat wraz ze Synnöwe musieli jej pomagać. Nie rozłączały się obie, tak, że zwano je „turkaweczkami," bo zawsze były razem i miały takie same jasne włosy.

Od czasu do czasu gniewała się Synnöwe na Torbjörna z powodu jego skłonności do bijatyki. Ale Ingrid obejmowała rolę pośredniczki i godziła ich, tak, że na nowo stawali się dobrymi przyjaciółmi. Ale gdy matka Synnöwe dowiedziała się o takiej bójce, ostro zabraniala mu przybywać do Solbakken przez cały tydzień, a następnego z wielkim jeno trudem mógł uzyskać przebaczenie.

Sämundowi nie wolno bylo nawet wspominać o przekroczeniu syna.

— Obchodzi on się z chłopcem zbyt surowo! — biadała matka i nakazywała wszystkim milczenie.

Wyrośli wszystko troje i byli piękni i dorodni, każde w swoim rodzaju. Synnöwe była

śmigła, wysoka i gibka. Miała zawsze jasne włosy, śliczną buzię i niebieskie oczy. Uśmiechała się w rozmowie do każdego, a ludzie mówili, że uśmiech jej to prawdziwe błogosławieństwo boże. Ingrid była niższa i bardziej przysadkowata, buzię miała miłą o rysach miękkich i jasne, faliste włosy. Torbjörn był średniego wzrostu, silny i piękny. Włosy miał ciemne i ciemno szafirowe oczy, ostro zarysowaną twarz i silne członki. Ile razy wpadł w złość, twierdził, że umie tyle co nauczyciel i nie boi się żadnego człowieka w całej dolinie... z wyjątkiem ojca — dodawał w myśli, ale nie mówił tego głośno.

Torbjörn chciał przystąpić wcześnie do pierwszej komunji, ale to spełzło na niczem.

— Dopóki jeszcze jesteś uczniakiem i smarkaczem — rzekł ojciec — prędzej sobie mogę z tobą dać rady!

Stało się tedy, że Torbjörn udał się do pastora razem z Synnöwe i Ingrid. Synnöwe także długo czekała — zaczęła bowiem szesnasty rok życia.

— Nie można nigdy być dość dobrze przygotowaną do należytego złożenia wyznania swej wiary! — powiedziała matka, a Guttorm Solbakken dał na to swe zatwierdzenie.

To też sprawa przeciągała się tak długo, że

już zjawili się konkurenci. Jeden syn pewnego dostojnika, drugi bogaty sąsiad.

— To za wcześnie! — twierdziła matka. — Wszakże nie jest jeszcze konfirmowana!

— No, to chodźmy do pastora! — oświadczył Guttorm.

Ale Synnöwe sama nie wiedziała nic o konkurach. Kobiety z plebanji bardzo ją lubiły i zapraszały często na pogadankę. Torbjörn i Ingrid nie byli tam dopuszczani i gdy pewnego razu któryś z wyrostków zauważył:

— Czemu się nie bierzesz do rzeczy? Inny ci ją porwie z przed nosa! — niefortunny doradca miał za chwilę podbite oko. Weszło w zwyczaj, że prześladowano Torbjörna wzmiankami o Synnöwe i to doprowadzało go zawsze do szalonej pasji.

Skutkiem tych przycinków doszło raz do wielkiej, z góry ułożonej bijatyki w lasku przylegającym do plebanji. Liczba tych, z którymi miał walczyć Torbjörn, wzrastała ciągle, tak że w końcu miał całą falangę przeciwko sobie. Dziewczęta, któreby były mogły interwenjować, wyruszyły z domu tak, że z Torbjörnem było źle. Nie chciał się poddać, przeciwnicy nastawali coraz to ostrzej, bronił się przeto i wówczas padł niejeden cios, świadczący potem długo o tem, co zaszło. Roz-

niosła się też wieść o tem, co dało powód do utarczki, i w całej dolinie zawrzało.

Następnej niedzieli nie chciał iść Torbjörn do kościoła, a gdy miano znowu iść do pastora, udał że jest chory. Ingrid poszła sama. Gdy wróciła, spytał Torbjörn, co mówiła Synnöwe.

— Nic! — odrzekła Ingrid.

Gdy znowu poszedł z siostrą, wydawało mu się, że wszyscy nań patrzą, a konfirmanci śmieją się zeń pocichu. Synnöwe przybyła tego dnia później i długo przebywała na plebanji. Obawiał się usłyszeć wyrzuty od pastora, zauważył jednak niebawem, że pastor i ojciec jego byli jedynymi w całej dolinie, którzy nic o bijatyce nie wiedzieli. Tedy sprawy stały dobrze, łamał sobie tylko nad tem głowę, jak zdoła porozumieć się z Synnöwe. Po raz pierwszy nie śmiał prosić Ingrid o pośrednictwo. Po skończeniu nauki udała się Synnöwe z powrotem na plebanję. Czekał póki byli w podwórzu inni, ale wreszcie musiał iść. Ingrid odeszła już dawno do domu.

Następnego dnia Synnöwe przyszła pierwsza i przechadzała się z jedną z młodych panien z plebanji i jakimś pankiem po ogrodzie. Panna wykopała z ziemi kilka kwiatków i dała je Synnöwe, a młodzieniec pomagał, zaś Torbjörn stał po-

śród innych i słuchał. Tłumaczono Synnöwe tak głośno, że słyszał każde słowo, jak należy zasadzić owe kwiaty, a Synnöwe przyobiecała, że uczyni to sama, jak najdokładniej, podług przepisu.

— Sama nie potrafisz! — zauważył młodzieniec, a Torbjörn zapamiętał to sobie.

Gdy Synnöwe znów połączyła się z resztą zebranych, wszyscy okazywali jej jeszcze więcej względów, niż zazwyczaj. Ale ona zbliżyła się do Ingrid, wzięła ją na bok, usiadły na ławce i zaczęły rozmawiać. Dawno już nie nagadały się ze sobą porządnie. Torbjörn stał zdala i patrzył na piękne, zagraniczne kwiaty Synnöwe.

Tego dnia wracała ona razem z innymi do domu.

— Czy mogę ci odnieść kwiatki? — spytał Torbjörn.

— Dobrze, proszę! — odparła życzliwie, nie patrząc nań jednak.

Wzięła Ingrid za rękę i poszły przodem. W pobliżu Solbakken przystanęła i zaczęła się żegnać z Ingrid.

— Ten mały kawałek, jaki mam do domu, zaniosę sobie sama! — powiedziała, biorąc koszyk, który postawił Torbjörn.

Przez całą drogę zamierzał prosić, by mu pozwoliła zasadzić kwiaty. Ale nie mógł wydusić

słowa, a tymczasem ona obróciła się szybko i odeszła. Nie mógł teraz o niczem innem myśleć, jak tylko o owem sadzeniu kwiatów.

— O czem rozmawiałyście? — spytał siostry, gdy wrócili do domu.

— O niczem ważnem! — odparła.

Gdy już wszyscy spali, ubrał się Torbjörn z powrotem i wyśliznął pocichu z domu. Była piękna, cicha, ciepła noc. Chmury na niebie były fantastycznie spiętrzone, a w przerwach między niemi widniał ciemny granat usiany gwiazdami. Wydawało się, że przez one przerwy spogląda ktoś na ziemię, jakby przez okna.

Wokoło było pusto, ani jednego nie widział człowieka. Tylko koniki polne ćwierkały. Odezwała się czasem z prawej strony przepiórka, odpowiedziała jej druga z lewej strony drogi i znowu rozbrzmiewały koniki. Torbjörnowi wydawało się, że kroczy za nim jakaś świta śpiewaków, chociaż nie było nikogo. Las rysował się siną linją, ciemniejącą im bardziej w górę się wspinał, a czuby drzew tonęły w białej mgle. Z głębi lasu dochodził bulgot zapamiętałego cietrzewia, kłócącego się ze sobą samym i przeraźny powrzask sowy. Lomotał też gdzieś w dali wodospad i dzisiaj właśnie roztętnił się głośniej, niż zawsze. Zdawało się, że zbudził się, by pod-

patrywać, co Torbjörn robi tutaj po nocy. Chłopak zboczył ze zwyczajnej drogi, ruszył na przełaj przez pola i znalazł się niebawem w małym ogródku Synnöwe, tuż pod oknem piwnicznem. Nad owem oknem znajdowało się okno sypialni Synnöwe. Stanął, rozejrzał się wokoło i zaczął nadsłuchiwać. Ale pusto i cicho było wokół. Potem wyszukał narzędzia ogrodnicze, rydel i grabie, których potrzebował. Jedna grządka była przekopana, ale ukończono ledwo mały kawałek. Tkwiły w tym kawałku dwa kwiatki. Widocznie Synnöwe spróbowała, jak będą wyglądały.

— Biedactwo, zmęczyła się — pomyślał — i zaprzestała roboty! Do tego potrzeba mężczyzny!

Wziął się energicznie do pracy. Nie czuł najmniejszej chęci do snu i nigdy żadna praca nie wydała mu się tak łatwą. Przypomniał sobie najdokładniej przepis, jak kwiatki mają być sadzone, przed oczyma stanął mu ogród plebański i wszystko zrobił, jak tam było.

Noc mijała szybko, ale nie spostrzegł tego wcale. Nie odpoczywając niemal, przekopał całą grządkę, zasadził kwiatki jeden po drugim, zmieniając ich rozmieszczenie, jeśli mu się wydawało, że tak piękniej będzie. Od czasu do czasu

rzucał spojrzenie w okno, chcąc wiedzieć, czy ktoś nań patrzy. Ale nigdzie nikogo nie było, nie zaszczekał nawet pies. Cisza panowała zupełna, aż do chwili, kiedy zaczęły piać koguty i ptaki zrywały się w lesie, pozdrawiając go wesoło.

Stał, poprawiając jeszcze i przyklepując ziemię, i w tej chwili przyszły mu na myśl bajki Aslaka, który gadał, że w Solbakken żyją krasnoludki i czarownice.

Spojrzał w okno i uśmiechnął się. Co też powie Synnöwe, gdy wstanie i spojrzy na owe kwiatki? Zrobiło się już całkiem jasno, ptaki darły się w niebogłosy, przesadził tedy płot i pospieszył do domu. Nikt nie będzie wiedział, że był w Solbakken i pracował przez noc. Ta tajemnica sprawiała mu radość niewymowną.

III.

Niebawem rozniosły się po całej dolinie głuche wieści, ale nikt nie wiedział jak jest w istocie. Nie widziano teraz Torbjörna nigdy w Solbakken, od kiedy Synnöwe uzyskała konfirmację. Tylko Ingrid przychodziła tam często i razem z Synnöwe odbywały obie dalekie spacery po lesie.

— Nie bądź długo na przechadzce! — upominała Synnöwe matka.

— Dobrze! — odpowiadała i wracała dopiero późnym wieczorem.

Dwaj konkurenci zgłosili się ponownie.

— Ona musi sama rozstrzygnąć! — mawiala matka, a ojciec był tego samego zdania.

Ale gdy wzięto Synnöwe na spytki, dała obom odkosza.

Zjawili się inni, ale nie słyszano, by któryś wrócił z Solbakken z dobrą wieścią.

Kiedy pewnego dnia wraz z matką myły kadzie na mleko, spytała matka, czy ma już kogoś upatrzonego.

Synnöwe zaskoczona tem zapytaniem, zaczerwieniła się jak wiśnia.

— Czy przyrzekłaś komu swą rękę? — b a dała matka, wpatrując się bystro w córkę.

— Nie! — odrzuciła Synnöwe szybko.

Kwestji tej nie poruszono od tej pory.

Była najlepszą partją w całej okolicy, to też śledzono ją spojrzeniami, gdy szła na nabożeństwo, lub wracała z kościoła. Bywała tylko tam Rodzice jej byli Haugianami, przeto córka nie uczęszczała na zabawy, tańce i nie brała udziału w rozrywkach światowych.

Torbjörn siadywał w kościele, w ławce naprzeciwko ławki Synnöwe, ale, o ile wiedziano, nie rozmawiali ze sobą nigdy. Wszyscy jednak domyślali się, że istnieje pomiędzy nimi jakiś stosunek sercowy, ponieważ zaś nie obcowali ze sobą tak, jak inni zakochani, przeto rozpowiadano sobie różności. Torbjörna nie lubiono ogólnie. Wiedział o tem, i ta świadomość czyniła go jeszcze opryskliwszym, ile razy spotykał się z innymi młodymi parobczakami na weselach, lub przy tańcu. Zdarzały się wtedy często bijatyki. Ale był mocny, to też powoli zmniejszała się liczba przeciwników i nikt nie miał ochoty zapoznać się z jego pięściami. Torbjörn przyzwy-

czaił się do tego, by nie znosić żadnej przeszkody na swej drodze.

— Jesteś teraz dorosły! — powiedział mu raz ojciec — Żyj na własną rękę, pamiętaj tylko, że moja pięść silniejsza może od twojej.

Minęły jesień i zima, zbliżała się wiosna, a dotąd ludzie nie wiedzieli nic pewnego. Szeroką falą rozeszły się wieści o niezliczonych odkoszach rozdanych przez Synnöwe, to też zostawiono ją w spokoju i konkurenci przestali napływać. Ingrid nie rozłączała się z nią. Obie miały udać się tego roku na hale, bo Guttorm Solbakken zakupił część hal grunlindeńskich. Miano niebawem wyganiać bydło, a tymczasem Torbjörn pracował w górach, przysposabiając koleby, lub naprawiając zagrody.

Pewnego pogodnego wieczora, skończywszy robotę, usiadł pod drzewem i puścił wodze myślom. Dumał o tem i owem, zwłaszcza o tem, co ludzie gadali w dolinie. Poczuł znużenie, położył się tedy we wrzosy, założywszy ręce pod głowę i patrzył na niebo, sklepiące się szafirową kopułą ponad konarami drzew. Konary liściastych drzew chwiały się falistym ruchem, a sosny, świerki i modrzewie tworzyły fantastyczne rysunki. Niebo odsłaniało się w chwili, gdy wiatr rozchylał gałęzie. Wszystko było w ruchu i to nadało jego myślom swoisty ton.

Biała brzoza uśmiechała się do jodły, sosna patrzyła na wszystko z przekorą i kłuła ostremi szpilkami na wszystkie strony. Zła była, bo w łagodnym klimacie tych okolic coraz to więcej rozwijało się dolinowych niedołęgów i wznosiły swe bujne korony pod sam nos władczyni gór.

— Coście robiły w zimie... pytam? — burczała, chwiała czarnemi gałęźmi i wypacała żywicę w ogromnym upale, jaki panował od kilku tygodni. — To coś okropnego! — mruczała. — Tak wysoko na Północy jeszcze musi zawadzać to tałatajstwo!

Opodal stała potężna sosna oszroniała od starości i spoglądała na cały las z góry. Długiemi, spuścistemi gałęźmi mogła wygodnie chwycić za czub swywolny klon, który też drżał na samą tę myśl. Ludzie obcinali tej sośnie coraz to wyżej gałęzie, więc mając tego dosyć, wystrzeliła w górę, tak że jodły przeraziły się i jedna z nich spytała, czy pamięta o burzach zimowych.

— Czy pamiętam o burzach? — wrzasnęła i przy pomocy wiatru dała takiego klapsa biednej jodle, iż straciła zupełnie równowagę umysłu. A była ona potężna, wparła w ziemię tak ogromne stopy, że w odległości sześciu łokci od pnia sterczały z gruntu i były jeszcze grubsze od najgrubszego miejsca w pniu wierzby, o czem

opowiadała ona pewnego wieczoru chmielowi, który ją miłośnie obejmował w ramiona. Brodata olbrzymka wiedziała o swej mocy i szyderczo mówiła do ludzi, wysyłając w powietrze jeden konar po drugim:

— Teraz mnie obcinajcie, jeśli chcecie!

— Nie! Tobie już nic nie zrobi! — powiedz'ał orzeł, zniżył łaskawie swój lot, zwinął skrzydła i zaczął czyścić szpony z nikczemnej krwi jagnięcej. — Trzeba będzie powiedzieć mej żonie — królowej, by się tu osiedliła! Ma ona właśnie znieść kilka jaj!... — dodał jakby zawstydzony i spojrzał na swe nagie nogi. Przyszło mu widać wspomnienie owych pierwszych dni wiosny, kiedy wszystko co żyje, traci rozum pod wpływem promieni słońca. Po chwili jednak podniósł głowę i spojrzał z pod nastroszonych piórami brwi ku czarnym skalnym iglicom, gdzie może krąży znużona, osłabła i chora z powodu owych jaj królowa-żona. Wzbił się w powietrze i za chwilę ujrzała sosna parę królewską, zawieszoną wysoko na błękicie ponad skałami. Rozmawiali zapewne o swych sprawach domowych. Uczuła mimo wszystko pewien niepokój. Była dumną, a nicby tak nie schlebiało jej dumie, jak to, by mogła kołysać w koronie swej królewską parę. Orły zwróciły lot w jej stronę i szybowały prosto ku niej.

Widocznie sprawa została rozstrzygnięta, gdyż nie mówiąc ni słowa, oboje zaczęli znosić gałęzie. Sosna napuszyła się jeszcze bardziej i w samej rzeczy nikt jej w tem nie mógł przeszkodzić!

W całym lesie powstał szum. Poleciały wieści o wysokim honorze, jaki spotkał sosnę-mocarkę.

Opodal stała śliczna, smukła brzoza i przeglądała się w strumieniu, oddana marzeniom o miłości maleńkiego srebrno-szarego dzwońca, który sypiał zazwyczaj po południu w jej gałęziach. Otaczała go wonią swych pąków, zatrzymywała na lepkich listkach komary i różne małe owadki, by je mógł wygodnie schwytać, co więcej, czując, że upał się wzmaga, zbudowała mu w koronie swej cienistą altankę. Dzwoniec, widząc tyle dowodów przywiązania, zdecydował się zamieszkać tu na całe lato. Naraz orzeł osiedlił się na sośnie i biedny dzwoniec musiał uciekać. Cóż za strapienie! Dzwoniec wydzwonił jej cichutko pieśń pożegnania... cichutko, by orzeł nie posłyszał, i odleciał.

Nie lepiej działo się kilku wrzaskliwym wróblom w krzaku jałowcu. Wiodły tam żywot tak wesoły, że kos, mieszkający w pobliskiej osice, nie mogąc spać, złościł się niepomiernie, a poważny, tłusty kwiczoł, żerujący opodal, śmiał się z tej złości tak, że ledwo mógł chodzić. Ale

gdy orzeł osiedlił się na sosnie, wróble i kos i szpak, słowem wszystko, co mogło latać, musiało zmykać co prędzej i to cichaczem, popod gałęźmi drzew. Ale kos odlatując, przysiągł uroczyście, że póki życia nie osiedli się w sąsiedztwie wróblej hołoty.

Opustoszał las wokoło i zesmutniał, mimo, że słońce świeciło tu pięknie. Tylko sosna radowała się, — ale cóż to była za radość! Lękliwie uginały się przed jej gałęźmi wszystkie drzewa, ile razy zawiał wiatr z północy. Biły te czarne konary w powietrze, nie mogąc dosięgnąć nikogo, a orzeł krążył wokoło jej korony, skupiony, mądry, nie robiąc sobie nic z wiruchy, jakby to był jeno przyziemny powiew, niosący w górę aromat lasu. Cała rodzina sosen była teraz w najlepszym humorze. Żadna nie pomyślała, że tego roku nie otrzyma jednego gniazdka.

— Z drogi hołoto! — wołały. — My jesteśmy członkami rodziny odznaczonej przez króla.

— O czem dumasz? — spytała nagle Ingrid, ukazując się wśród gęstwy. Stała, trzymając rozchylone gałęzie.

Torbjörn wstał ze ziemi.

— Tyle rzeczy chodzi człowiekowi po głowie! — odparł i spojrzał wyzywająco ku szczytom drzew. — Ludzie coś za dużo o mnie plot-

kują! — dodał, otrzepując swoją kurtkę z igliwia.

— Cóż cię obchodzi ludzkie gadanie?

— No, sam nie wiem. Zresztą nigdy dotąd nie gadali co innego jak to, co sam już przedtem postanowiłem... choćby nie przyszło nawet do wykonania.

— Źle mówisz!

— Może źle, ale to prawda.

Usiadła w trawie, on stanął przy niej i zapatrzył się w dal.

— Mogę się stać łatwo takim, jak chcą ludzie, niech mi przeto dadzą spokój!

— Byłaby to jednak twoja własna wina!

— Możliwe! Ale ludzie są też winni, jeśli człowiek staje się złym! Powiadam: chcę mieć raz święty spokój! — wrzasnął i spojrzał ku orlemu gniazdu.

— Co ci się stało, Torbjörn? — spytała.

Obrócił się ku niej i roześmiał się.

— Uspokój się! — powiedział. — Tyle rzeczy przychodzi człowiekowi do głowy! Czy widziałeś się dziś z Synnöwe?

— Tak, już przybyła na hale.

— Dzisiaj?

— Tak.

— Z bydłem z Solbakken?

— Tak!

— Tra la la!

— Jutro my wypędzamy bydło! — powiedziała, chcąc zwrócić uwagę brata w inną stronę.

— Pomogę wypędzać! — rzekł Torbjörn.

— Ojciec pomoże, chce iść na sätery*).

— Tak? — powiedział i zamilkł.

— Pytał dzisiaj o ciebie! — ozwała się Ingrid.

— Doprawdy? — rzekł. Wziął gałęź i zaczął ją skrobać nożykiem.

— Powinienbyś więcej rozmawiać z ojcem! — ozwała się znów — Ojcu to przykro, żeś taki małomówny!

— Możliwe! — zauważył.

— Często o tobie mówi, gdy cię niema.

— Ale nie odzywa się do mnie, gdy jestem.

— To twoja wina.

— Może być...

— Nie mów tak. Sam dobrze wiesz, co ci zarzuca.

— Cóż takiego?

---

*) Sätery, czyli nasze hale, są to daleko w górach położone, nieraz o pięć i sześć mil od gospodarstwa odległe pastwiska letnie gór norweskich. Z reguły, jedna z córek gospodarza wychodzi z trzodą na säter i spędza tam całe lato w skromnej kolebie, mieszczącej jeno łóżko, stół i parę krzeseł. Żyje samotna, nie widując nikogo, chyba może, od czasu do czasu kochanka. (Przyp. tłum.)

— Czy mam mówić?

— Wszystko jedno. Ty wiesz i ja wiem...

— Otóż zarzuca ci, że gospodarujesz za dużo na własną rękę, a tego nie może ojciec ścierpieć.

— Chciałby mi związać ręce?

— Zwłaszcza wówczas, kiedy bijesz!

— Czy mam pozwolić ludziom, by gadali co chcą?

— To nie! Ale mógłbyś im trochę zejść z drogi. Ojciec czynił to zawsze i widzisz, jak go wszyscy szanują.

— Może nie dręczyli go tak, jak mnie?

Ingrid milczała przez chwilę, potem obejrzała się i rzekła:

— Nie zda się na nic gadać o tem! Ale jeśli wiesz, że spotkasz wrogów, to lepiej nie iść tam, gdzie są.

— Nie! Właśnie tam być muszę! Niedarmo jestem Torbjörn Grunlinden.

Oskrobał całą gałąź z kory, teraz przeciął ją na dwoje, Ingrid spojrzała nań, a potem rzekła z wahaniem:

— Czy pójdziesz w niedzielę do Nordhaugu?

— Pójdę.

Zaległo milczenie. Potem Ingrid, nie patrząc nań, powiedziała:

— Czy wiesz, że Knut Nordhaug przyjechał na wesele siostry?

— Wiem.

Teraz spojrzała nań surowo.

— Torbjörn! Torbjörn! — zawołała z wyrzutem.

— Czyż wolno mu teraz bardziej niż przedtem stawać między mną, a... innymi?

— On nie staje... przynajmniej nie więcej, niż ci... inni chcą tego!

— Nikt nie może wiedzieć, czego chcą inni!

— Ty to wiesz dobrze!

— Ona sama przynajmniej nie powiedziała!

— O jakże możesz tak mówić? — zawołała Ingrid., spojrzała nań z niechęcią, wstała i obejrzała się wokoło.

On rzucił kawałki gałęzi, zatknął nożyk za pas i zwrócił się ku niej.

— Słuchaj! Czasem czuję zniechęcenie do tego wszystkiego! Ludzie obmawiają i ją i mnie, dlatego, że nic nie dzieje się jawnie. A z drugiej strony, ja nie bywam nawet w Solkbakken, bo ona mówi, że rodzice nie mogą na mnie patrzeć. Nie mogę do niej chodzić, jak inni chłopcy do swoich dziewcząt... bo ona jest... świętą! Tak się m rzecz cała!

— Torbjörn! — zawołała. Ale on ciągnął dalej.

— Ojciec nie chce wstawić się za mną ani jednem słowem. Jeśli na nią zasługujesz, to będzie twoja, powiada! Plotki, czyste plotki z jednej strony, a z drugiej, za tę całą mękę — nic... dosłownie... nic. Ja nie wiem nawet, czy ona...

Szybkim ruchem położyła Ingrid rękę na jego ustach i spojrzała niespokojnie wokoło. W tej chwili rozchyliły się gałęzie i zamajaczyła smukła postać. Była to Synnöwe.

— Dobry wieczór! — powiedziała.

Ingrid spojrzała na Torbjörna, jakby chciała powiedzieć:

— A widzisz...

A on patrzył na nią, jakby jej wyrzucał:

— Czemuś mi to zrobiła?

Żadne z nich nie patrzyło na Synnöwe.

— Spocznę chwilę przy was! — powiedziała Synnöwe — Tyle się dziś nabiegałam!

Usiadła. Torbjörn odwrócił głowę, jakby chciał zobaczyć, czy tam, gdzie siada, jest sucho i wygodnie. Ingrid spoglądała z góry ku Grunlinden i nagle wykrzyknęła:

— Jezus, Marja! Krasula zerwała się ze sznura i wlazła prosto w koniczynę!... Ach i druga też! To coś strasznego. Ostatni czas wypędzać bydło na hale.

I zbiegła ze wzgórza ku wsi, nie żegnając się nawet.

Synnöwe wstała niezwłocznie.

— Odchodzisz? — spytał Torbjörn.

— Tak! — rzekła i stanęła.

— Może zaczekasz chwilkę? — spytał, nie patrząc na nią.

— Kiedyindziej! — szepnęła.

— A kiedyż to nastąpi?

Spojrzała nań i on teraz patrzył na nią, ale długo trwało, zanim zaczęli mówić.

— Siądź sobie! — poprosił z zakłopotaniem.

— Nie mogę! —odrzekła.

Czuł, że wzbiera w nim bunt, ale nagle ona uczyniła coś, czego się nie spodziewał.

Przystąpiła doń, spojrzała mu prosto w oczy i spytała:

— Czy się na mnie gniewasz?

Przypatrzył jej się uważnie i spostrzegł, że płakała.

— Nie! — odparł i wyciągnął dłoń.

Ale oczy jej napełniły się łzami, przeto nie widziała, a on zaraz cofnął rękę.

Po chwili spytał:

— Słyszałaś wszystko?

— Tak! — odparła i uśmiechnęła się, ale oczy

jej były jeszcze bardziej napełnione łzami, n ż przedtem.

Nie wiedział co mówić, przeto wyrwało mu się:

— Byłem zbyt surowy!

Powiedział to bardzo łagodnie. Spuściła oczy i obróciła się w bok.

— Nie sądź o tem, czego nie znasz! — powiedziała zdławionym głosem.

Było mu nieswojo. Czuł się małym, strofowanym chłopcem, przeto, nie wiedząc co wymyślić lepszego, rzekł:

— Przebacz mi!

W tej chwili wybuchła płaczem. Nie mógł znieść tego widoku, przystąpił więc blisko, objął ją ramieniem, pochylił się ku niej i spytał:

— Czy lubisz mnie trochę, Synnöwe?

— Tak! — szepnęła, szlochając.

— Ale to ci, widzę, sprawia przykrość!

Załkała jeszcze gwałtowniej i chciała się uwolnić z objęć.

— Synnöwe! — szeptał przyciągając ją ku sobie. Położyła głowę na jego ramieniu i płakała rzewnie.

— Czekaj, pomówimy trochę! — powiedział, posadził ją na trawie i sam usiadł obok niej.

Otarła oczy i próbowała uśmiechnąć się, ale nie mogła. Wziął ją za rękę i patrzył w oczy.

— Droga Synnöwe — pytał — powiedz, czemu nie mogę przychodzić do Solbakken?

Milczała.

— Czy nie prosiłaś rodziców?

Nie odzywała się.

— Czemuś tego nie uczyniła? — nalegał, przyciągając ją do siebie.

— Nie śmiałam... — powiedziała cicho.

Zachmurzył się i oparł głowę na rękach.

— W takim razie, nigdy się chyba tam nie pokażę! — rzekł z goryczą.

Miast odpowiedzi, zaczęła szarpać wrzosy.

— To prawda... — zaczął — że dopuściłem się niejednego, co może nie wypada... Ale myślę, że winnaś sądzić mnie pobłażliwiej!... Nie jestem zły — tu uczynił pauzę — jestem przytem młody... mam zaledwie dwadzieścia lat...

Zaplątał się i nie mógł mówić dalej...

Posłyszał jej przyciszony głos:

— Nie mów tak. Nie wiesz ile... Nie chcę o tem nawet Ingrid wspominać... —

I znowu zaczęła płakać gorzko.

Przytulił ją do siebie.

— Pomów tylko z rodzicami! — rzekł — Pomów, zobaczysz, wszystko będzie dobrze!

— Wszystko zależy od ciebie! — powiedziała.

— Ode mnie?

Obróciła się ku niemu i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Gdybyś mnie kochał, jak ja ciebie... — powiedziała i spojrzała nań serdecznie i uśmiechnęła się przez łzy.

— Czegóżbym nie uczynił! — szepnął gorąco.

— O, nie chcesz mnie słuchać! Wiesz dobrze, coby nas połączyło, ale nie chcesz tego uczynić... powiedz, dlaczego? — Zaczęła mówić żywo. — Boże drogi! Nie wiesz, jak cieszę się na ten dzień, kiedy cię ujrzę w Solbakken! Ale ciągle dowiaduję się o różnych takich rzeczach... o takich, które to czynią niepodobieństwem... I muszę się o tem dowiadywać od własnych rodziców!

Nagle zrozumiał wszystko.

Wyraźnie pojął teraz, że Synnöwe czeka z upragnieniem na jedną bodaj spokojną chwilę, kiedyby mogła przyprowadzić go rodzicom... To on... on sam... pozbawia ją tego!

— Czemuż nie powiedziałaś nigdy wyraźnie?

— Jakto? Mówiłam tyle razy!

— Nie rozumiałem.... nie pojąłem tak, jak dzisiaj.

Zamyśliła się, potem powiedziała, układając w drobne fałdy rożek fartuszka:

— Może dlatego, że nie śmiałam...

Na myśl, że go się może bać, uczuł rozrzewnienie i po raz pierwszy w życiu pocałował ją w usta.

Zmieniła się nagle. Zaprzestała płakać, spojrzenie jej stało się niepewne, chciała się uśmiechnąć, patrzyła to w dal przed siebie, to na niego i milczała. On milczał także, ręce ich spotkały się same, ale nie związały się uściskiem. Żadne nie śmiało tego uczynić. Cofnęła rękę, otarła łzy i poprawiła włosy nieco potargane, a on patrzył na nią i myślał sobie:

— Jest bojaźliwsza od innych dziewcząt w całej dolinie i chce, by się z nią inaczej obchodzić! Niechże tak będzie!

Odprowadził ją aż do samej koleby na hali. Chciałby był ją raz jeszcze przytulić do siebie, ale stało się coś dziwnego... nie śmiał jej tknąć i wydało mu się istnym cudem, że mu wolno kroczyć obok niej.

Na pożegnanie powiedział:

— Długo ludzie poczekają, nim będą mogli o mnie powiedzieć coś złego!

* * *

W domu zastał ojca, noszącego worki zboża ze śpichrza do młyna. Sąsiedzi zwozili swe zboże

do Grunlinden i tam je mielono, bowiem, choćby wyschły wszystkie potoki górskie, potok grunlindeński miał zawsze poddostatkiem wody.

Dużo było tych worków. Niektóre miały średnie rozmiary, ale większość stanowiły prawdziwe olbrzymy. Kobiety stały obok, nad strumieniem i wyżymały upraną bieliznę. Torbjörn zbliżył się do ojca i chwycił worek.

— Czy mam pomóc? — spytał.

— Dam sobie sam rady! — odrzekł Sämund, zarzucił zręcznie wór na plecy i poszedł raźno ku młynowi.

— Tak dużo tego! — zauważył Torbjörn, pochwycił odrazu dwa wory, oparł się o nie plecami, sięgnął przez ramiona, wparł łokcie w boki i podniósł lekko ciężar. W pół drogi spotkał ojca, wracającego po nowy wór. Stary rzucił okiem na syna, ale nie rzekł nic. Gdy Torbjörn wracał do śpichrza, spotkał ojca, dźwigającego na plecach dwa ogromne wory, dużo większe, niż te, które on zaniósł. Został więc pobity. Mijając syna ponownie, patrzył nań stary dłużej, to też zdybali się po chwili przed samym śpichrzem.

— Był tu posłaniec z Nordhaugu! — powiedział Sämund. — Zapraszają cię na wesele w niedzielę!

Ingrid podniosła oczy od roboty i spojrzała nań prosząco. To samo uczyniła matka.

— Hm... tak? — odrzekł Torbjörn sucho i pochwycił dwa największe wory, jakie były.

— Czy pójdziesz? — spytał Sämund ponuro.

— Nie! — odrzucił niemal wesoło.

IV.

Hale grunlindeńskie leżały na rozległej wyżynie objętej lasem niebardzo gęstym, tak że widziało się stamtąd całą okolicę, niby z orlego gniazda. Na pierwszym planie leżało Solbakken w gąszczu wielobarwnych drzew. Inne osiedla ujęte były w podobne klomby, tak iż wydawały się rozsianemi na roztoczy pól i pastwisk oazami.

Wzrok ogarniał stąd czternaście takich gospodarstw, ale jeno dachy samego Grunlinden widać było i to z najwyższego punktu hali, otoczonej wałem grubych kamieni, naniesionych ongiś przed lodowce, lub wykruszonych ze skalistych grani.

Tam siadywały zazwyczaj dziewczęta i patrzyły na dymy, wznoszące się z kominów.

— Matka gotuje obiad! — mówiła Ingrid — Dziś będzie szperka z grochem.

— Słyszysz — powiedziała Synnöwe — zwołują mężczyzn. Chciałabym wiedzieć, gdzie dzisiaj pracują.

Śledziły obie smugi dymu, zrazu żwawo i ochoczo wijące się w niebo, potem rozpełzujące się w przejaskrawionem słońcem powietrzu i ginące w dali.

Myśli dziewcząt szły również daleko po polach, górach i lasach.

Dziś myślały o Nordhaugu. Wesele już się odbyło, ale uroczystość miała trwać cały tydzień, to też słyszały od czasu do czasu strzały i głośne pokrzykiwania.

— Weselą się! — powiedziała Ingrid.

— Nie mam im tego za złe! — odrzekła Synnöwe, zabierając się do roboty ręcznej.

— Chciałabym to zobaczyć! — mówiła Ingrid. Siedziała w trawie i spoglądała ku Nordhaug, gdzie ukazywali się pomiędzy budynkami ludzie i ginęli znów pomiędzy drzewami. Jedni krążyli około śpichrza i stodoły, gdzie stały zapewne obficie zastawione stoły, inni szli parami, rozmawiając ze sobą i oddalali się nieraz znacznie od osiedla.

— Nie rozumiem, co cię tam pociąga? — powiedziała Synnöwe.

— Ja sama dobrze nie wiem! — odrzekła Ingrid. — To zapewne taniec!

Synnöwe nic nie odrzekła.

— Czyś nigdy nie tańczyła? — spytała Ingrid.

— Nie!

— Myślisz, że to grzech?

— Nie wiem sama.

Ingrid porzuciła narazie ten temat, bo przypomniała sobie, że Haugjanie surowo zabraniali tańca, a nie chciała badać, jak dalece Synnöwe dzieli poglądy rodziców pod tym względem. Myśli jej krążyły jednak koło tego, bo po chwili powiedziała:

— Nie widziałam w życiu lepszego tancerza od Torbjörna.

Synnöwe zawahała się, a potem rzekła:

— Tak, słyszałam, że dobrze tańczy!

— Powinnabyś go zobaczyć! — zawołała Ingrid i zwróciła się do niej.

— Nie, nie chcę! — odrzekła żywo Synnöwe.

Ingrid zakłopotała się, a Synnöwe pochyliła się nad robotą szydełkową i zaczęła liczyć oczka. Ale upuściła ją na kolana i powiedziała z westchnieniem:

— Dawno nie byłam tak wewnętrznie uradowaną, jak dzisiaj.

— Czemuż to?

— Bo dzisiaj on nie tańczy w Nordhaugu!

Ingrid zamyśliła się.

— Tak! Podobno jest tam mnóstwo dziewcząt, któreby chciały z nim tańczyć.

Synnöwe otwarła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale miast tego wzięła się do roboty.

— I onby tam chciał iść! — ciągnęła dalej Ingrid. — Wiem to dobrze!

Ale zaraz uświadomiła sobie, co powiedziała i spojrzała zawstydzona na zarumienioną, zajętą robotą Synnöwe. Zamyśliła się nad całą rozmową, na raczkach przysunęła się do przyjaciółki i spojrzała jej prosto w oczy.

Klasnęła w dłonie, chcąc zwrócić jej uwagę, ale tamta nie podniosła oczu. Wówczas Ingrid roześmiała się wesoło.

— Założę się, że zataiłaś coś przedemną, co się w tych dniach stało.

— Co powiadasz? — spytała Synnöwe niepewnym głosem.

— Nie jesteś zła o to, że Torbjörn tańczy?

Nie było odpowiedzi. Ingrid roześmiała się głośno, a potem objęła przyjaciółkę za szyję i szepnęła jej do ucha:

— Jesteś zła, że on tańczy... z innemi, nie z tobą!

— Co za głupstwa pleciesz, Ingrid! — powiedziała Synnöwe, odsunęła ją i wstała. Ingrid poszła za jej pızykładem.

— To prawdziwa szkoda, moja Synnöwe, że ty nie umiesz tańczyć! — zawołała wesoło — Wielka szkoda! Czekaj, ja cię zaraz nauczę!

Objęła Synnöwe w pół.

— Czego ci się zachciewa? — broniła się.

— Nauczę cię tańczyć, byś się nie smuciła, gdy tańczy z innemi.

Synnöwe musiała się roześmiać, chociaż uczyniła to z przymusem.

— Ktoś może zobaczyć! — powiedziała.

— Niech ci Bóg da zdrowie, chociaż mówisz głupstwa! — odparła Ingrid, zaczęła nucić skoczną melodję i obracała w jej takt Synnöwe.

— Nie... nie... nie umiem! — broniła się.

— Głupstwo! Dopiero co mówiłaś, żeś dawno nie była tak uradowana... dalejże... raz... dwa... trzy...

— Nie wiem, jak się to robi?

— Spróbuj tylko, reszta przyjdzie sama!

— Warjatka z ciebie, Ingrid.

— Tak mówił kot do wróbla, który nie chciał czekać, aż go złapie... No — zaczynajmy!

— Mam ochotę... ale...

— Wyobraź sobie, że ja jestem Torbjörn, a ty jego żoną, która nie może znieść, by tańczył z innemi.

— Dajże pokój...

Ingrid śpiewała.

— Ależ... — powtarzała Synnöwe, a nogi same poczęły skakać.

Był to tak zwany „skakany".*)

Ingrid sadziła w wielkich susach przodem, naśladując krok tancerza, Synnöwe drobiła w ślad za nią, z oczyma spuszczonemi ku ziemi.

Ingrid nuciła:

Lis pod brzozą sobie leży,
A zajączek z lasu bieży,
Hop! Hop! Hop!

Słońce świeci między drzewa,
Ptak na drzewie ślicznie śpiewa,
Hop! Hop! Hop!

Lis się śmieje ze szaraka,
Skądże mu wesołość taka?
Hop! Hop! Hop!

Hej, jak pięknie woła zając,
Wszelkie skoki wyprawiając,
Jak i ja!

Chaps! Lis za kark wziął szaraka
I tarmosi nieboraka
Au! Au! Au!

— Panie racz się ulitować!
— Tu nie wolno jest tańcować,
— Więc cię zjem!

— Co za uciecha! Prawda? — krzyknęła, stając zadyszana.

Synnöwe śmiała się i oświadczyła, że miałaby większą ochotę na walca.

---

*) Narodowy taniec górali norweskich w takcie trzyćwierciowym.

— Wybornie! — powiedziała Ingrid — niema żadnej przeszkody!

Zaczęła jej pokazywać, jak trzeba stawiać kroki, bo walc, jak twierdziła, to taniec bardzo trudny.

— O, uda się! — zaręczała Synnöwe — Byle nie zgubić taktu.

Ingrid zarządziła pierwszą próbą, a Synnöwe zaczęła też nucić, z początku zcicha, potem coraz to głośniej.

Nagle Ingrid zatrzymała się, klasnęła w dłonie i krzyknęła zdziwiona:

— Ależ ty tańczysz wyśmienicie!

— Cicho! Nie mów o tem nikomu! — zawołała Synnöwe, objęła Ingrid wpół i walcowała z nią dalej.

— Któż cię tego nauczył?

— Tra la la . . . tra la la . . . — nuciła Synnöwe, nie puszczając przyjaciółki. Ingrid wpadła w prawdziwy szał, wirowała i śpiewała:

Patrz, słońce tańczy po skałach,
Tańcz dziewczę, nim znijdzie noc!
I w morza też sinych wałach
Widna jest tańca moc.
Tańcz chłopcze, jak wiatr po lesie
I tak dość bliski grób,
Kochanków niech miłość niesie,
Bo . . .

— Cóż to za dziwna piosenka? — zdziwiła się Synnöwe i przestała tańczyć.

— Nie wiem, co śpiewam! — odparła — Słyszałam, jak to śpiewał Torbjörn!

— To słowa Benta... kryminalisty! Ojciec mi mówił...

— To jego słowa? — zdziwiła się Ingrid i spuściła oczy.

Nagle spostrzegły obie na gościńcu człowieka, idącego obok naładowanego wozu.

— Patrz, ktoś jedzie od strony Grunlinden! — zawołała Ingrid.

— Może to on! — powiedziała Synnöwe.

— Tak, to Torbjörn!

W istocie był to Torbjörn. Jechał do miasta. Droga była daleka, a wóz ciężko wyładowany, przeto posuwał się zwolna po pokrytej kurzem drodze. Duży kawał gościńca można było objąć spojrzeniem z wysokości hali.

Posłyszawszy z góry wołania, domyślił się zaraz kto woła, stanął na wozie i pokrzykiwał, aż echo się rozdzwoniło po górach. Z hali odpowiedziały mu dźwięki drewnianego rogu juhasów. Słuchał, a gdy przebrzmiały, wołał znowu. Trwało to dobrą chwilę i Torbjörn rozradował się bardzo. Patrzył ku Solbakken i wydało mu się pięknem, jak nigdy dotąd.

Ale zadumał się tak, że przestał zwracać uwagę na konia, który kroczył wedle własnego upodobania. Nagle zerwał się. Koń dał susa w bok, a ruch ten był tak niespodziany i gwałtowny, że pękł na dwoje jeden z dyszli zaprzęgu. Koń rzucił się galopem i pędził po polach Nordhaugu, przez które wiódł gościniec. Torbjörn ściągnął lejce i zaczęła się teraz walka pomiędzy nim a koniem. Koń chciał rzucić się w galopie ze stromej uboczy, Torbjörn chciał go zatrzymać. Pokonał tę jego chętkę, a koń stanął dęba. Torbjörn zeskoczył z wozu i zanim koń mógł się ponownie rozpędzić, przywiązał lejce do drzewa. W ten sposób sprawa została narazie zakończona. Ale ładunek wozu ucierpiał niemało, różne przedmioty pospadały, jeden dyszel był złamany, a koń drżał ze strachu. Przystąpił doń, chwycił go przy pysku, przemawiał głosem łagodnym, następnie odwrócił go wstecz tak, by się zabezpieczyć od chętki galopowania stromą uboczą, gdyby mu znowu wpadło coś do głowy. Ale przerażone stworzenie nie mogło ustać w miejscu i Torbjörn musiał biec za koniem w podskokach, kierując go ku gościńcowi. Udało mu się to. Biegnąc, mijał pogubione rzeczy. Kilka naczyń stłukło się i ich zawartość przepadła. Do tej pory myślał Torbjörn jeno o niebezpieczeństwie, teraz spostrzegł

szkodę i to go rozzłościło. Zrozumiał, że nic z całej jazdy do miasta i pasja w nim wzbierać zaczęła. Gdy stanął na drodze, koń spłoszył się ponownie i chciał się uwolnić skokiem w bok. Wówczas gniew Torbjörna wybuchnął z całą siłą. Lewą ręką ścisnął wędzidło, a prawą zaczął miotać ciosy ciężkim batem, aż koń spienił się i zaczął go bić przedniemi kopytami po piersiach. Ale Torbjörn był silny, trzymał konia w oddaleniu do siebie i bił coraz to okrutniej, grubszym końcem bata.

Koń rżał i jęczał z bólu, a on bił.

— Nauczę ja cię brykać... kanaljo! — wrzeszczał, a piana z pyska biednego konia spadała mu płatami na ręce.

— Popamiętasz to sobie! Nauczę ja cię posłuszeństwa! — wołał.

Obracali się oba z koniem w kółko. Zwierzę już nie stawiało oporu, drżało jeno od każdego ciosu, uchylało głowę i jęczało na widok wzniesionego w górę bata. Torbjörn uczuł nagle wstyd i przestał bić.

W tejże chwili ujrzał siedzącego nad rowem człowieka. Wsparty na łokciach człowiek ów gapił się nań i chichotał z uciechy. Torbjörnowi czarna mgła jakaś zasłoniła oczy i trzymając jedną ręką konia, drugą wzniósł bat i rzucił się na owego człowieka.

— Ja cię oduczę śmiechu... drabie! — wrzasnął.

Cios padł, ale niezupełnie trafił. Mimo to człowiek krzyknął i stoczył się w rów. Podniósł się na czworaki, obrócił ku Torbjörnowi głowę i zrobił grymas szyderczy. Potem zaśmiał się szatańsko bezgłośnie, samemi jeno muskułami twarzy. Torbjörn drgnął, bo poznał tę twarz. Tak... to Aslak...

Nie wiedział dlaczego, ale uczuł zimny dreszcz na plecach.

— To tyś mi spłoszył konia? — spytał.

— Leżałem tutaj i spałem sobie! — rzekł Aslak, podnosząc się — Zbudziłeś mnie, wrzeszcząc i bijąc bez pamięci biedne zwierzę.

— Wszystkie zwierzęta boją się ciebie! — zawołał Torbjörn i zaczął głaskać konia, z którego ściekał obfity pot.

— Boi się ciebie gorzej, niż mnie! — powiedział Aslak, podnosząc się na kolana — Nigdy nie zmaltretowałem tak konia... nigdy w życiu!

— Nie gadaj tyle! — krzyknął nań Torbjörn, potrząsając batem.

Aslak wylazł z rowu.

— Jakto? Ja za dużo gadam?... Nie... A gdzież ci tak spieszno?... Ha?

Zbliżył się, zataczając mocno, bo był pijany.

— Dziś pewnie nie pojadę dalej! — powiedział Torbjörn, wyprzęgając konia.

— A to naprawdę smutna sprawa! — powiedział Aslak. Zbliżył się i zdjął kapelusz — Aj u licha! — zawołał — Wyrosłeś, widzę, na pysznego parobka, od kiedyśmy się rozstali!

Włożył ręce w kieszenie i starał się stać prosto, chociaż nogi chwiały się pod nim. Patrzył na wóz i Torbjörna, który z mozołem rozplątywał powikłane sznury i rzemienie zaprzęgu. Torbjörn potrzebował koniecznie pomocy, ale nie mógł się zdecydować prosić o nią Aslaka. Aslak wyglądał strasznie. Odzienie uwalane było w szlamie rowu i kurzu gościńca, włosy posklejane sterczały z pod starego, połamanego, dziurawego melonika. Twarz, przypominająca dawniejsze rysy, wykrzywiona była ustawicznym, szyderczym grymasem, a z oczu pozostały jeno wąskie szparki, tak że patrząc na kogoś, przechylał głowę wtył i otwierał przytem usta. Rysy twarzy zrobiły się nikłe, a członki sztywne, bo Aslak rozpił się na umór. Torbjörn spotykał go od czasu do czasu, ale Aslak udawał, że go nie widzi. W roli przekupnia włóczył się po całej okolicy i zachodził wszędzie, gdzie się odbywała jakaś feta. Tam śpiewał piosenki i opowiadał anegdoty, co czynił zresztą z wielką umiejętnością i pił wódkę, którą go obficie traktowano

Przyszedł tedy także na wesele u Nordhaugów, ale umknął zeń cichaczem, bo, jak się potem Torbjörn dowiedział, zwyczajem swoim, podjudził ludzi na siebie wzajem i zachodziła obawa, że burza spadnie na jego głowę.

— Przywiąż konia do drzewa lub do wozu! — poradził — I tak sam nie dasz rady! Musisz udać się do Nordhaugów po pomoc.

Torbjörn miał tę samą myśl, ale ją odsuwał od siebie.

— Tam wielkie wesele! — powiedział.

— I dlatego właśnie znajdziesz wszelką pomoc! — przekonywał Aslak.

Torbjörn wahał się. Ale bez pomocy nie mógł ani jechać dalej, ani wracać, więc było rzeczą najlepszą podejść niewielki kawałek do Nordhaugów. Przywiązał tedy konia i ruszył przodem, spozierając się za Aslakiem, który wlókł się chwiejnym krokiem.

— Tam u djaska! — zawołał Aslak szyderczo — W dobrem towarzystwie powracam na weselisko!

Torbjörn nie odpowiedział. Szedł szybko. Aslak zaczął śpiewać:

Dwa parobeczki świarne
Idą se na wesele! . . .

Była to znana, stara piosenka.

— Aje ci spieszno! — krzyczał za nim. — No... no... idź.. idź!

Nie odpowiadał wcale. Niedługo doszły go tony skocznej nuty, a w oknach wielkiego, piętrowego budynku ukazały się twarze. W podwórzu ujrzał grupy żywo dyskutujących gości weselnych. Zapewne zastanawiali się, kto to nadchodzić może. Wkrótce zauważył, że go poznano i że zauważono na polu konia jego, wóz i porozrzucane towary. Gromada wytoczyła się na podwórze, a muzyka ucichła, w chwili, kiedy wkroczył w obejście.

— Oto mimowolni goście weselni! — zawołał Aslak, który krył się za Torbjörnem, nie ufając sobie.

Powitano Torbjörna życzliwie i wszyscy otoczyli go kołem.

— Niech Bóg błogosławi zabawie. Dobre piwo na stole, ładne dziewczęta na sali i wyśmienita muzyka! Wiwat!

Tak wykrzyknął Aslak i wmieszał się w tłum.

Jedni roześmiali się, inni nasrożyli, ktoś zauważył pogardliwie:

— Ta kanalja zawsze ma humor!

Torbjörn spotkał znajomych i opowiedział im swą przygodę. Nie pozwolono mu iść samemu i wysłano ludzi po konia, wóz i rzeczy. Pan młody, dawny kolega szkolny, zaprosił go na weselne

piwo i weszli obaj do domu. Niektórzy — zwłaszcza dziewczęta, chcieli dalej tańczyć, inni proponowali pauzę. dla popicia i namawiali Aslaka, by opowiedział jaką dykteryjkę.

— Tylko bądź ostrożniejszy w wyborze, niż poprzednio! — dodał ktoś.

Torbjörn spytał, gdzie reszta gości.

Wyjaśniono mu, że przed chwilą zaszły tu pewne nieporządki i niektórzy goście weselni udali się na spoczynek, inni znów grają w karty na bo-isku, a jeszcze inni zabawiają Knuta Nordhauga.

Spytał, gdzie jest Knut.

Ojciec pana młodego, stary człowiek, siedzący na ławie z fajką w zębach i popijający piwo, ozwał się:

— No, Aslaku! Powiedz co wesołego, ale nie obraź znów kogo!

— Czy i inni mnie także proszą? — spytał Aslak, siadając na małym stołeczku w pewnem oddaleniu od stołu głównego, gdzie siedziała starszyzna.

— Tak jest! — powiedział pan młody — Ja cię także proszę!

— Czy są może jeszcze inne osoby, które mnie w ten sposób proszą? — spytał.

— Są! — odezwała się panna młoda, siedząca

na bocznej ławie, przystąpiła doń i podała mu kubek wina.

Była młoda, miała może dwadzieścia lat, chuda i posiadała duże oczy, oraz poważny, surowy niemal wyraz twarzy.

— Mnie, — dodała z przyciskiem — podobają się twoje historje, Aslaku!

Pan młody spojrzał na nią ostro, a ojciec spojrzał znów na niego.

— Tak... tak ... — przyświadczył Aslak — Ludzie w Nordhaugu zawsze gustowali w moich historyjkach — Za ich zdrowie! — krzyknął i wypił kieliszek wódki, który mu podał jeden z drużbów.

— A teraz opowiadaj! — domagały się liczne głosy.

— Opowiedz o cygance Sygrydzie! — zaproponował jeden.

— Nie! — oponował drugi — To do niczego!

— Więc opowiedz o bitwie pod Lier! — powiedział ex-tambur Swend.

— Nie... nie! Coś wesołego! — zawołał wysoki, szczupły młodzieniec bez kaftana, oparty o ścianę, którego prawa ręka bez ceremonji bawiła się włosami dwu dziewcząt, siedzących na ławie. Wymyślały mu, ale żadna się nie ruszyła z miejsca.

— Opowiem, co mi się spodoba! — oświadczył dumnie Aslak.

— Niech cię djabli biorą! — zamruczał stary mężczyzna, który palił fajkę, leżąc na łóżku. Jedna jego noga zwisała bezwładnie, a drugą kopał zawzięcie przewieszony przez poręcz łóżka kaftan owego młodzieńca, stojącego pod ścianą.

— Daj spokój memu kaftanowi! — warknął ów młodzieniec.

— A ty daj spokój moim córkom — odrzucił stary w odpowiedzi.

Dziewczęta przesiadły się na inne miejsce.

— Tak! Opowiem, co mi się spodoba! — powtórzył Aslak — Wódka w brzuchu, rozum w głowie! Kto da popić, ten się dowie! — wyrecytował Aslak i klasnął w dłonie.

— Będziesz to gadał, co my każemy, — powiedział człowiek na łóżku — bo wódka jest nasza!

Aslak otworzył szeroko oczy.

— Cóż to ma niby znaczyć? — spytał.

— To znaczy, że ten, kto tuczy świnię, ma prawo ją zakłuć!

Aslak zamknął oczy, pochylił głowę, opuścił ją na piersi i milczał.

Odzywano się doń, zachęcano, ale udawał, że nie słyszy.

— Wódka go dobiła! — rzekł człowiek na łóżku.

Usłyszawszy to, otworzył Aslak oczy i roześmiał się.

— Nô dobrze! — zawołał — opowiem wam wesołą historyjkę, której nie słyszeliście jeszcze! — Śmiał się bezgłośnie, oczami i całą twarzą.

— Dzisiaj jest naprawdę w humorze! — powiedział ojciec pana młodego.

— To za darmo! — zawołał Aslak i dodał, wyciągając rękę — Ano, jeszcze kieliszek na drogę... zaraz ruszam z miejsca.

Nalano mu. Wypił powoli, przechylając kieliszek dnem do góry i mlaskając językiem, potem zwrócił się do leżącego na łóżku i powiedział z uśmiechem:

— Tak! Teraz jestem wasza świnia! Roześmiał się, objął kolana rękami, pokiwał nogą, zakołysał ciałem i zaczął:

— Była pewnego razu dziewczyna. Żyła w dolinie pośród gór i lasów. Nazwa doliny niema nic do rzeczy, podobnie, jak imię owej dziewczyny. Dziewczyna była piękna, podobała się wszystkim, a zwłaszcza gospodarzowi, u którego służyła. Dostawała dobre wynagrodzenie... dostała nawet więcej, niż chciała, bo oto dostała w podarunku... dziecko! Ludzie mówili, że winien był gospodarz, ale on się do tego nie przyznawał, bowiem był żonaty i ona także tego nie twierdziła, bo była dumna... dumna była biedaczka! I stało się, że przy chrzcie powiedziała kłamstwo. A syn, który

jej się narodził, był to wielki gałgan i dlatego odrazu z początku ochrzczony został fałszywie.

To mu nie mogło zaszkodzić, gdyż był z góry przeznaczony na łajdactwo. Dziewczyna dostała mieszkanie tuż pod osiedlem gospodarza i to, naturalnie, nie mogło się podobać jego żonie. Ile razy ją ujrzała, pluła na nią, a gdy malec przychodził bawić się z jej dziećmi, kazała wypędzać... bękarta. Nie godzien był, jak mówiła... niczego innego.

Po całych dniach i nocach nalegała na męża, by precz odpędził biedaczka. Opierał się długo, opierał się póki był silny i panował nad sobą. Ale później rozpił się i rządy domu objęła żona. Od tej chwili zaczęło być bardzo źle owej dziewczynie, z każdym rokiem coraz gorzej, tak, że marła poprostu z głodu wraz ze swoim malcem, który nie chciał opuścić matki.

Mijały lata, minęło lat ośm, aż pewnego dnia musiała dziewczyna wynosić się precz! I wyniosła się pewnego ranku, ale poprzedniej nocy stanęło całe gospodarstwo w płomieniach. Spalił się gospodarz, gdyż był właśnie pijany, uciekła tylko żona wraz z dziećmi i oskarżyła dziewczynę, iż to ona podpaliła. Może tak było... może nie... któż tam odgadnie? Ale dziwny był chłopak, syn onej dziewczyny. Przez ośm lat przymierał głodem

wraz z matką i wiedział dobrze, czyja w tem wina. Matka opowiadała mu nieraz wszystko, kiedy pytał, dlaczego ciągle płacze. Powtórzyła mu to raz jeszcze onej nocy, kiedy miała iść precz, chłopaka nie było potem długo w domu. Dostała się na całe życie do więzienia, gdyż powiedziała sędziemu, że to ona przez zemstę puściła z dymem całe osiedle.

Chłopiec pozostał sam, ale ludzie mu pomagali z litości, iż miał tak złą matkę. Potem udał się w inną okolicę i tam już ludzie byli dlań gorsi, bo zapewne nie wiedzieli, że jego matka była podpalaczką. Zdaje się, że nie powiedział im tego. Gdym go widział po raz ostatni, był pijany i ludzie powiadali, że oddał się trunkowi. Czy to prawda, nie wiem, ale mówiąc między nami, nie mógł uczynić nic lepszego. Wierzcie mi państwo, jest to zły, z gruntu zepsuty chłopak. Nie znosi ludzi, nie chce, by byli dla siebie wzajem dobrzy, a nawet, by dla niego samego byli dobrzy. Pragnie wszystkich uczynić takimi, jakim jest sam, ale przyznaje się do tego wówczas jedynie, gdy jest pijany. Wówczas także płacze... płacze bez powodu, a łzy lecą, jak grad... bez powodu... bo pocóż ma płakać? Mimo to płacze jak wściekły... płacze i płacze... Gdybyście widzieli ten jego płacz... śmialibyście się... bo płacze tylko z pi-

jaństwa i nie jest odpowiedzialny za ten płacz...

Aslak, doszedłszy do tego miejsca, rozpłakał się w głos, przechylił w tył i spadł ze stołka, ale wnet uspokojony zupełnie zaczął chrapać.

— Urżnął się, jak świnia! — powiedział leżący na łóżku — Zawsze tak płacze, kiedy się upije.

— To szkaradna historja! — zawyrokowały dziewczęta, wstały i wyszły.

— Ile razy opowiada, co sam chce, — zauważył jakiś starzec, wstając z ławy — zawsze musi coś takiego mówić! Nie mogę pojąć, jak ludzie mogą słuchać takich historyj? — dodał i spojrzał na pannę młodą.

V.

Kilka osób wyszło, inni zaczęli szukać muzykanta, by na nowo rozpoczął tańce. Ale skrzypek zasnął w rogu sieni na podłodze i niektórzy wstawiali się, aby mu dać spokój.

— Od kiedy potłuczono na dobre towarzysza-pomocnika jego Larsa, musi biedny Ole grywać po całych dniach i nocach! — Tak mówiono.

Przyprowadzono na podwórze wóz, poznoszono rzeczy Torbjörna i zaprzężono konia do innego wozu, bowiem mimo próśb chciał koniecznie jechać do domu. Pan młody zwłaszcza nalegał, by został.

— Niema tu dla mnie, prawdę mówiąc, tej radości, jakby się zdawało! — powiedział doń.

Słowa te zastanowiły Torbjörna, ale upierał się wracać do domu przed zachodem słońca. Widząc, że nie ustępuje, goście weselni rozprószyli się po całem obejściu. Było dużo ludzi, ale cisza panowała i wszystko razem nie robiło wrażenia radosnego dnia weselnego. Torbjörn spostrzegł, że brak mu podkulka przy wozie, poszedł tedy go

szukać. Ponieważ na podwórzu nie znalazł zdatnego kawałka drzewa, poszedł dalej, natrafił na drewutnię i wszedł do środka. Szedł cichy, zamyślony, bo nie mógł zapomnieć słów nowożeńca. Znalazł to czego szukał, ale nie wracał. Usiadł pod ścianą z drewnem i nożem w ręku.

Naraz usłyszał, że ktoś jęczy w pobliżu. Głos dobywał się z poza cienkiej ścianki, gdzie za przegrodą stały wozy. Nastawił uszu.

— Czy to ty? — pytał męski głos, wymawiając słowa z wysiłkiem, z przerwami i postękiem bólu. Usłyszał też płacz. Płakała kobieta.

— Czemu przyszedłeś na wesele? — spytał głos kobiecy. Musiała to być owa płacząca niewiasta, bo mówiła przez łzy.

— Ha... na czyjemże weselu miałem grać, jeśli nie na twojem?

— To pewnie grajek Lars, którego srodze zbito — pomyślał Torbjörn. — ale któż jest ta kobieta? Pewnie sama panna młoda!

Lars był to śliczny, wysmukły chłopak, który mieszkał kątem wraz ze swoją starą matką w jednej z chałup, przynależnych do posiadłości Nordhaugów.

— Czemu nigdy nie powiedziałeś wyraźnie? — spytała głosem, w którym przebijało silne wzruszenie.

— Myślałem, że to między nami niepotrzebne! — odparł żywo.

Przez chwilę było cicho. Potem ona zaczęła:

— Wiedziałeś przecież, że on przysłał swatów?

— Myślałem, że masz więcej charakteru!

Znowu słychać było jeno płacz. Nagle wyjęknęła kobieta:

— Czemu nie powiedziałeś wyraźnie?

— Synowi starej Berty nie na wieleby się zdało konkurować do córki Nordhaugów! — odparł po chwili z goryczą. Potem słychać było jęk i ciężki oddech. Zdawało się, że czeka na jej odpowiedź.

— Przez tyle lat widywaliśmy się codziennie... — szepnęła.

— Byłaś zbyt dumna, bym się odważył pogadać z tobą na dobre.

— A jednak nie było na świecie nic, czegobym bardziej pragnęła... czekałam z dnia na dzień... za każdem spotkaniem czekałam na to słowo! Wydawało mi się, że ci się wprost narzucam! Nakoniec byłam pewna, że mnie nie chcesz... że pogardzasz mną!

Zapadła cisza. Ani płaczu, ani nawet oddechu Larsa.

Pomyślał o nowożeńcu, chłopcu, o ile wiedział, poczciwym i porządnym... i uczuł dlań litość.

Odezwała się znowu:

— Obawiam się, że on niewiele będzie miał pociechy ze mnie...

— On jest zacnym człowiekiem! — powiedział chory i znów zaczął jęczeć.

Widocznie musiały go bardzo boleć piersi. Zapewne współczuła jego cierpieniu, gdyż powiedziała:

— Bardzo cierpisz... bardzo? Ale pomyśl, inaczej nie moglibyśmy pomówić, nie przyszłoby do tego wyjaśnienia. Kiedy uderzyłeś Knuta, w tej chwili wszystko zrozumiałam.

— Nie mogłem znieść dłużej! — odrzekł, a po chwili dodał: — Knut to zły człowiek!

— O zapewne! — potwierdziła — dobry nie jest!

Milczeli przez chwilę, potem ozwał się Lars:

— Dziwiłbym się bardzo, gdybym odzyskał zdrowie. Zresztą teraz mi wszystko jedno!

— Źle z tobą, ale ze mną może gorzej jeszcze... — powiedziała i wybuchła płaczem.

— Już idziesz? — spytał.

— Tak... — a po chwili załkała — Boże! Boże... cóż to będzie za życie!

— Nie płacz! — uspokajał ją — Bóg wnet skróci moje męki, a po mojej śmierci ulży ci się... zobaczysz!

— Bóże! Boże! Czemuż nie powiedziałeś wyraźnie! — zawołała zcicha i zdawało się Torbjörnowi, że załamuje ręce.

Torbjörn myślał, że poszła, przeto po chwili wyszedł także z drewutni i spytał pierwszego spotkanego gościa weselnego, jaki był powód sprzeczki pomiędzy Larsem a Knutem.

Zapytany ściągnął twarz w fałdy, tak głębokie, jakby w nich chciał coś ukryć i odparł:

— Doprawdy, dziwnie błahy był to powód. Knut spytał Larsa, czy skrzypce jego mają dobry ton na tem weselu.

W tej chwili przeszła mimo nich panna młoda. Odwróciła twarz, gdy jednak posłyszała nazwisko Larsa, spojrzała i Torbjörn zobaczył jej zaczerwienione, błędnie patrzące oczy. Ale wyraz jej twarzy był zimny, tak lodowato zimny, że Torbjörn nie mógł go pogodzić ze słowami, jakie słyszał przed chwilą, i znowu zadumał się, co to może znaczyć.

Zaprzągnięty wóz czekał w podwórzu. Umocował podkulek i obejrzał się za panem młodym, chcąc się z nim pożegnać. Nie było go, a szukać nie chciał, przeciwnie rad był, że go nie ujrzy po tem, co usłyszał. Siadł na wóz. Nagle od strony stodoły wszczął się tumult. Wybiegła gromada

ludzi, a wysoki mężczyzna, idący na ich czele, krzyczał:

— Gdzież jest? Gdzie się schował?

— Tu! Tu! — wołali goście.

— Nie puszczajcie go! — doradzali inni. — Z tego gotowo wyniknąć nieszczęście!

— Czy to Knut? — spytał Torbjörn chłopca, stojącego przy wozie.

— Tak! Jest pijany i w takich razach bez bitki się nie obejdzie.

Torbjörn śmignął batem, a koń ruszył.

— Nie! Nie! Zostań, przyjacielu! — krzyknął ktoś za nim.

Ściągnął lejce, ale koń nie stanął, przeto pozwolił mu iść dalej.

— Hej! Torbjörn Grunlinden! Boisz się, widzę!

Zatrzymał konia, ale się nie obejrzał.

— Złaź z wozu i pij ze mną! — krzyknął Knut.

— Dziękuję! — powiedział — Muszę wracać!

Usiłowano go nakłonić, by został. Przy wozie utworzyła się kupa ludzi. Knut stanął przed koniem, pogłaskał go, potem wziął jego głowę w dłonie i zaczął mu się przypatrywać. Był to wysmukły młodzieniec, miał konopiastą, szczecinowatą czuprynę i perkaty nos. Usta jego były

szerokie, oczy niebieskie, z wyrazem bezczelności. Niewiele był podobny do siostry, miał tylko taki sam krój ust i proste, wysokie czoło. Całość wyrażała ordynarność, gdy zaś ona była znacznie wykwintniejsza.

— Ile chcesz za tego konia? — spytał.

— Nie jest na sprzedaż! — odparł Torbjörn.

— Może myślisz, że nie mam pieniędzy?

— Nie wiem wcale, czy masz, czy nie masz!

— Wątpisz o tem! Ej, nie radzę ci obrażać mnie.

Parobczak, który przedtem bawił się włosami dziewcząt, powiedział do swego sąsiada:

— Knut jakoś nie ma dzisiaj odwagi.

Usłyszał to Knut.

— Nie mam odwagi? — krzyknął — Kto to powiedział? Ja nie mam odwagi?

Wóz otoczyło sporo ludzi.

— Z drogi! — zawołał Torbjörn. — Usuńcie się, panowie! — Śmignął batem, gotów ruszyć.

— Ty gadasz do mnie, bym ustąpił z drogi? — wrzasnął Knut.

— Mówiłem o koniu, bo musi przejść. Odjeżdżam!

— Co, chcesz mnie przejechać? — wrzasnął znowu Knut.

— Ustąp, proszę cię!

W tej chwili koń podniósł głowę, bo inaczej musiałby nią uderzyć Knuta w piersi. Knut chwycił konia przy pysku, a biedne zwierzę, myśląc, że znowu dostanie bicie, zaczęło drżeć na całem ciele. Torbjörn doznał wyrzutów sumienia, że się aż tak zapomniał wobec bezrozumnego zwierzęcia, jednocześnie zawrzał gniewem na Knuta. Podniósł się i trzasnął go batem przez głowę.

— Ośmielasz się mnie bić? — krzyknął Knut i zbliżył się.

Torbjörn zeskoczył z wozu.

— Jesteś zły człowiek! — powiedział, a twarz jego okryła bladość. Oddał lejce chłopcu, który wyszedł z izby i ofiarował się trzymać konia.

Starzec, który wstał z ławy, kiedy Aslak skończył opowiadanie, przystąpił do Torbjörna, wziął go pod ramię i powiedział:

— Sämund Grunlinden jest zbyt zacnym człowiekiem, aby syn jego bił się z takim, jak Knut, rozbójnikiem.

Torbjörn uspokoił się trochę, ale Knut wrzasnął:

— Co, ja jestem rozbójnik? On taki dobry, jak i ja, a jego ojciec równy jest mojemu ojcu! Chodźno, chodź! Ludzie jeszcze nie wiedzą, który z nas mocniejszy!

— Zaraz się dowiedzą! — odrzekł Torbjörn.

— Zupełnie, jak dwa koty! — odezwał się człowiek leżący poprzednio na łóżku — Muszą sobie naprzód dodać odwagi wrzaskiem.

Torbjörn słyszał to, ale nic nie odrzekł. Jedni zaczęli się śmiać, inni oburzeni byli, że na tem weselu tyle bitek i że napastują człowieka, przybyłego po pomoc, który chce spokojnie odjechać. Torbjörn obejrzał się za koniem. Ale chłopiec odprowadził go na bok i stał, zagapiony na rozpoczynającą się rozprawę.

— Za czem się oglądasz? — spytał Knut. — Tu niema Synnöwe!

— Cóż cię ona obchodzi?

— Nic... nic, — odrzucił Knut — takie pobożnisie i obłudnice nic mnie nie obchodzą!

Tego było Torbjörnowi za dużo.

Spojrzał wokoło, badając miejsce. Ale znowu wmieszali się dwaj starsi ludzie, mówiąc, że Knut dosyć już na tem weselu narobił awantur i nieszczęść.

— Mnie nie zrobi nic! — powiedział Torbjörn i wszyscy zamilkli.

Inni zaś mówili:

— Niechby się raz rozprawili. Potem zostaną przyjaciółmi. I tak oddawna patrzą na siebie z podełba.

— Tak! — zauważył ktoś — Jeden i drugi

chce być pierwszym w całej dolinie. Przekonamy się teraz, który lepszy.

— Czy widział kto z was niejakiego Torbjörna Grunlinden? — spytał Knut — Podobno był tutaj niedawno.

— Tak... oto jest! — odpowiedział Torbjörn i w tej chwili dostał Knut taki cios w prawe ucho, że się zatoczył na stojących poza nim ludzi.

Nastała głęboka cisza. Knut zebrał się w sobie i bez słowa skoczył na przeciwnika. Rozpoczęli walkę na pięści. Jeden i drugi chciał pomacać dobrze współzawodnika, ale byli równi sobie, przeto każdy trzymał drugiego w należytej odległości. Torbjörn bił gęsto i jak powiadano, ciosy jego były mocniejsze.

— Nareszcie trafił Knut na swojego człowieka! — powiedział chłopiec, który trzymał konia — Z drogi... zróbcie miejsce!

Kobiety i dziewczęta rozbiegły się, jedna tylko panna młoda stała na szczycie schodów i patrzyła uważnie. Torbjörn rzucił na nią okiem i przerwał na moment walkę. Spostrzegłszy jednak nóż w ręku Knuta, trzasnął go powyż przegubu tak silnie, że ramię zwisło bezwładnie, a nóż wypadł na ziemię.

— Ach! Ależ ty bijesz! — zawołał Knut.

— Doprawdy? — odrzucił Torbjörn i natarł nań.

Knut bronił się słabo jedną ręką, przeto przeciwnik podniósł go i poniósł ze sobą, ale nie łatwo było go obalić na dobre. Kilka razy rzucany o ziemię, tak że każdy inny byłby się poddał, Knut zrywał się na nogi. Miał twardy grzbiet. Torbjörn porwał go w ramiona i poniósł dalej, ludzie się rozpraszali w popłochu, on szedł dalej dookoła podwórza, aż zaszli pod schody. Tu podniósł Torbjörn Knuta raz jeszcze i grzmotnął nim o ziemię z taką siłą, że sam się zachwiał w kolanach. Głowa Knuta zadzwoniła na płytach kamiennych, legł bez ruchu, jęknął i zamknął oczy.

Torbjörn rozejrzał się wokoło. Oczy jego spoczęły na pannie młodej, która stała jak skamieniała.

— Podłóżcie mu coś pod głowę! — powiedziała, obróciła się i weszła do domu.

Przeszły mimo dwie stare kobiety.

— Na miły Bóg! — zawołała jedna — Znowu któryś leży na ziemi. Któż to taki? — To sam Knut Nordhaug! — odpowiedział ktoś.

— Ano, to w przyszłości będzie pewnie mniej bijatyk! — zauważyła druga — Lepiej swych sił użyć na coś innego!

— Dobrześ powiedziała, Randi! — pochwaliła pierwsza — Niechże ich Bóg oświeci, by myśli swe zwrócili do rzeczy wyższych!

Te słowa uczyniły silne wrażenie na Torbjörnie. Nie przemówił dotąd, przypatrywał się tylko ludziom, zebranym około Knuta. Ten i ów zaczepił go. Nie odpowiadał, obrócił się tylko i popadł w zadumę. Ujrzał w duchu Synnöwe i poczuł wstyd. Rozmyślał nad tem, w jaki sposób opowie o całem zajściu i czuł, że nie tak to łatwo skończyć bitkę, jak mu się wydawało.

Nagle usłyszał wołanie:

— Baczność, Torbjörn!

Ale, zanim zdążył się obrócić, uczuł, że go Knut chwyta z tyłu za ramiona i padł wstecz. Jednocześnie uczuł gwałtowny ból, tylko nie wiedział, gdzie go boli. Słyszał głosy wokoło siebie, czuł, że jedzie, zdawało mu się, że sam powozi... ale dokładnie nie wiedział nic.

Trwało to dosyć długo. Zrobiło mu się zimno, potem znów gorąco, potem uczuł się lekkim, tak lekkim, że uleciał w powietrze i przekonał się namacalnie, iż fruwa z jednego drzewa na drugie, następnie wzleciał na górę coraz wyżej, wyżej aż na hale i jeszcze wyżej, na skalistą grań. Tam stała Synnöwe, pochyliła się nad nim, zapłakała i rzekła, że trzeba było powiedzieć — wyraźnie. Płakała długo i dodała, że Knut wszędzie jej zastępował drogę, tak, iż go w końcu przyjąć musiała. Pogładziła go z jednej strony po twarzy i uczuł cie-

pło, a łzy jej płynęły strumieniem, aż koszula cała przemokła mu na piersiach.

Na wielkim, szpiczastym kamieniu ukazał się nagle Aslak i zaczął zapalać wokoło drzewa, tak że trzeszczały i huczały, a gałęzie latały wokoło. Otwierał gębę, śmiał się i gadał, że to nie on uczynił, tylko jego zła matka.

Ujrzał potem swego ojca Sämunda i zdziwił się, widząc, że rzuca wielkie wory ze zbożem wysoko w górę, tak wysoko, iż wpadały w chmury i chmury je przyciągały. Zboże rozsypywało się, niby mgła, a jego dziwiło bardzo, że zboże może się trzymać w górze i rozpływać po całem niebie. Spojrzał nadół na Sämunda, a ten wydał mu się mały, coraz mniejszy, wkońcu tak mały, że ledwo go mógł dostrzec na ziemi. Ale ciągle rzucał worki w niebo, coraz to wyżej i wołał: — Naśladuj mnie, jeśli potrafisz!

Wysoko, gdzieś ponad chmurami stał kościół, a na wieży jego widniała jasnowłosa dziedziczka Solbakken. Trzymała w jednej ręce jasnoczerwoną chustkę, a w drugiej śpiewnik z psalmami i mówiła: Nie dojdziesz tu, póki nie odzwyczaisz się od klątw i bijatyk... Nagle, gdy spojrzał lepiej, przekonał się, że to nie kościół, ale Solbakken, połyskujące szybami w słońcu tak jaskrawo, że go ten blask ćmił i musiał zamknąć oczy.

— Ostrożnie, Ostrożnie, Sämundzie!

Posłyszał jakiś głos i zbudziwszy się ze snu, uczuł, że go niosą, a gdy otwarł oczy, ujrzał, że znajduje się w wielkiej izbie w Grunlinden. Na ognisku płonął suty ogień. Obok niego stała matka i płakała, a ojciec podsunął podeń właśnie ramię, by go przenieść do sąsiedniej komnaty. Nagle ojciec cofnął rękę.

— Jeszcze żyje! — powiedział drżącym głosem do matki.

— Boże drogi, patrzy! — zawołała — Torbjörnie! Kochany Torbjörnie, synu mój, co oni z tobą zrobili! Pochyliła się nad nim i gładziła jego policzki, a łzy spływały nań gorące. Czuł to dobrze.

Sämund otarł oczy rękawem koszuli, odsunął łagodnie matkę i powiedział:

— Lepiej go przenieść odrazu!

Podsunął ostrożnie ramię pod jego plecy, drugie pod kolana.

— Trzymaj go za głowę, — polecił matce — bo jej sam pewnie nie uniesie!

Wzięła jego głowę w ręce i poszła przodem, a Sämund stosował swe kroki troskliwie do jej kroku, by nie wstrząsać chorym. Za chwilę leżał Torbjörn na miękkiem łóżku.

Gdy go ułożono i przykryto, spytał Sämund, czy parobek odjechał.

— Jeszcze tu jest! — odparła matka, pokazując na podwórze.

Sämund szybko otwarł okno i zawołał:

— Jeśli wrócisz za godzinę, dostaniesz podwójną pensję na Nowy Rok! Jedź co koń wyskoczy!

Przystąpił znów do łóżka, Torbjörn patrzył przytomnie. Ojciec spoglądał nań długo, a oczy jego napełniły się łzami.

— Wiedziałem, że tak skończy! — powiedział, obrócił się i poszedł.

Matka siedziała na niskim stołeczku u nóg syna i płakała zcicha. Torbjörn chciał coś powiedzieć, ale uczuł, że wysiłek ten jest za wielki, przeto milczał. Tylko oczu nie spuszczał z matki. Nigdy nie były tak piękne, połyskujące i uznała to za bardzo zły znak.

— Niech się Bóg nad tobą i nami zmiłuje! — wyszeptała — Wiem, że Sämund nie przeżyłby dnia twojej śmierci.

Torbjörn patrzył na nią nieruchomem spojrzeniem, a twarz jego była sztywna i zmartwiała. To spojrzenie przenikało ją do głębi duszy. Zaczęła odmawiać Ojczenasz, pewna będąc, że lada chwila zakończy życie. Siedząc tak, rozważała,

jak bardzo kochali wszyscy w całym domu Torbjörna. Potem wstała i pchnęła posłańca do Ingrid na hale, by wracała wraz z młodszym bratem. Wydawszy to zlecenie, wróciła znowu na swe miejsce przy łóżku. Patrzył na nią ciągle i wzrok ten skierował jej myśli ku rzeczom wyższym. Wzięła w rękę Biblję i powiedziała:

— Przeczytam ci głośno ustęp, to ci zrobi dobrze!

Nie mając pod ręką okularów, otworzyła książkę na rozdziale, który od czasu swych lat młodocianych umiała napamięć. Była to ewangelja św. Jana. Nie była pewna, czy słyszy, bo leżał w bezruchu i wpatrywał się w nią tępo. Ale czytała do końca, jeśli nie dla niego, to dla siebie samej.

Ingrid wróciła rychło, by pomóc matce w czuwaniu nad bratem. Ale Torbjörn spał teraz. Ingrid zaczęła płakać jeszcze na halach i łzy płynęły jej bez ustanku.

Myślała też o Synnöwe, która dotąd nie wiedziała o niczem.

Przyjechał lekarz i zbadał chorego. Torbjörn otrzymał głębokie pchnięcie nożem w plecy, a pozatem miał dużo ran i sińców. Doktór nie powiedział nic, a nikt nie śmiał go pytać. Sämund wszedł wraz z nim do stancji i nie spuszczał oka

z twarzy doktora. Wyprowadził go na podwórze, pomógł wsiąść do dwukolnej karjolki i zdjął czapkę, gdy doktór powiedział, że przyjedzie na drugi dzień. Wówczas zwrócił się do żony i rzekł:

— Nic nie mówi! Więc jest źle!

Głos mu drżał, nogi zwiotczały, obrócił się i poszedł na przełaj polami. Nikt nie wiedział, gdzie był. Nie wrócił ani wieczorem, ani w nocy, dopiero nazajutrz rano i wyglądał tak ponuro, że nikt nie śmiał pytać.

— Co słychać? — zagadnął Ingrid.

— Spał! — odrzekła — Ale jest tak osłabiony, że nie może podnieść ręki.

Ojciec chciał wejść, by go zobaczyć, ale zawrócił od samych drzwi stancji, gdzie leżał Torbjörn.

Doktór przyjechał i bywał odtąd codziennie. Torbjörn mógł już mówić, ale zabroniono mu ruszać się. Ingrid siedziała ciągle przy nim, naprzemian z matką i młodszym bratem, ale nie pyta o nic, a oni też nie śmieli zadawać mu pytań. Ojciec nie wchodził nigdy do stancji chorego, tak że Torbjörn zwrócił na to uwagę. Ile razy ktoś otwierał drzwi, spoglądał uważnie, a wszyscy byli pewni, że oczekuje ojca. Wkońcu spytała Ingrid, czy chce jeszcze kogo zobaczyć.

— Widocznie... on nie chce mnie widzieć! — odpowiedział.

Opowiedziano to Sämundowi, ale nie ozwał się słowem, tylko tego dnia, gdy przybył lekarz, nie było go w domu. Lekarz odjechał już spory kawałek od osiedla, gdy nagle spostrzegł Sämunda, siedzącego przy drodze. Sämund przywitał się, a potem spytał o stan syna.

— Strasznie go pokaleczono! — powiedział lekarz.

— Czy wyjdzie z tego? — spytał Sämund i zaczął majstrować koło popręgu konia.

— Dziękuję, — rzekł lekarz — ale wszystko przecież w porządku!

— Był za mało przyciągnięty! — odparł Sämund.

Nastała chwila milczenia. Lekarz patrzył uważnie na Sämunda, ale stary człek tak był zajęty popręgiem, że nań nie patrzył.

— Pytał pan, czy wyjdzie z tego? — zaczął lekarz — Zdaje mi się, że wyjdzie...

Sämund spojrzał nań szybko.

— Więc niema niebezpieczeństwa? — rzucił.

— Już od kilku dni nic mu nie grozi! — odrzekł lekarz.

Łzy rzuciły się do ócz Sämunda. Chciał je powstrzymać, ale płynęły mimo to.

— Wstyd mi doprawdy... — jąkał — wstyd mi, że płaczę, ale doktorze, dzielniejszego chłopca niema w całej dolinie, w całej parafji.

Doktór uczuł wzruszenie.

— Czemuż nie pytałeś pan dotąd?

— Nie miałem odwagi! — odrzekł Sämund, połykając łzy — Zresztą te kobiety... gapiły się na mnie, ile razy chciałem pytać i słowa grzęzły mi w gardle.

Doktór zaczekał, aż się uspokoi. Potem Sämund spojrzał bystro w oczy lekarza i spytał:

— Czy odzyska zdrowie?

— Do pewnego stopnia! — odrzekł — Zresztą nie da się o tem narazie nic pewnego powiedzieć!

Sämund rozważał przez chwilę słowa lekarza.

— Do pewnego stopnia... zamruczał pod nosem, patrząc w ziemię.

Doktór nie przerywał mu. Było coś w Sämundzie, co nakazywało szacunek. Nagle Sämund podniósł głowę i rzekł:

— Dziękuję panu doktorowi za dobrą wieść! — podał mu rękę — i odszedł.

W tym czasie siedziała przy Torbjörnie Ingrid.

— Jeśli się czujesz na siłach, — powiedziała — to opowiem ci coś o ojcu.

— Mów... — odrzekł chory.

— Pierwszego wieczoru, po bytności doktora, wyszedł ojciec, a nikt nie wiedział dokąd się udał. On zaś poszedł do Nordhaugu, na wesele. Gdy się zjawił, przerażenie ogarnęło gości. Siadł przy stole i pił, nawet panu młodemu wydało się, że trochę sobie podpił.

Potem zaczął rozpytywać o przebieg całego zajścia i dowiedział się wszystkiego dokładnie. Naraz nadszedł Knut, a ojciec chciał, aby on sam opowiadał i wyszedł z nim na podwórze, na to samo miejsce, gdzie się odbyło spotkanie z tobą. Wszyscy goście weselni otoczyli ich i słuchali. Knut mówił jak mu dojechałeś, obezwładniając jedno jego ramię. Ale nie chciał ciągnąć dalej opowiadania. Wówczas ojciec skoczył i spytał Knuta, czy przypadkiem nie stało się to... tak? W tej chwili chwycił Knuta, podniósł w górę, położył na kamieniach, na których były jeszcze ślady twojej krwi i trzymając go ręką lewą..., prawą przyłożył mu nóż do gardła.

Knut pobladł, wszyscy goście zamilkli. Niektórzy mówili, że ojcu łzy płynęły z oczu i spadały na Knuta, który się nie bronił wcale. Ale ojciec nic mu złego nie uczynił. Podniósł go z ziemi i znów położył i ponownie przyłożył mu sztych do gardła.

— Nie mogę się przezwyciężyć, by cię puścić

zdrowo! — powiedział, trzymając go mocno pod sobą.

Zjawiły się dwie stare kobiety, a jedna z nich rzekła:

— Sämundzie Grunlinden! Wspomnij o żonie i reszcie dzieci twoich, czy ojciec ich ma zostać mordercą?

Wówczas, powiadają, Sämund puścił Knuta i za chwilę znikł gdzieś, a Knut tak się zawstydził, że umknął chyłkiem z wesela i nie pokazał się na niem do końca.

Ledwo Ingrid skończyła opowiadać, ktoś uchylił drzwi. Był to ojciec. Wyszła niezwłocznie ustępując mu miejsca. O czem rozmawiał z synem, tego nikt się nigdy nie dowiedział. Matka stała pod drzwiami i wpadło jej do ucha, że rozprawiano o tem, czy i o ile odzyska dawne siły i zdrowie. Ale nie była pewna, a wchodzić nie śmiała, póki mąż był u syna. Gdy Sämund wyszedł, zauważono, że oczy miał zaczerwienione, a stary był w nastroju niezwykle łagodnym, miękkim.

— Nie umrze! — powiedział do żony mimochodem. — Ale Bóg jeden tylko wie, czy odzyska siły...

Ingeborga rozpłakała się i wyszła za mężem na podwórze. Tam siedli na schodach lamusa i rozmawiali długo o różnych sprawach.

Gdy Ingrid wsunęła się cicho do stancji brata, Torbjörn trzymał w ręku małą kartkę papieru i powiedział powoli i spokojnie:

— Tę kartkę musisz dać Synnöwe, gdy się tylko z nią spotkasz.

Ingrid przeczytała kartkę i zapłakała rzewnie, gdyż było tam napisane:

Do

Panny Synnöwe, Córki Guttorma
w Solbakken.

Gdy przeczytasz tę kartkę wiedz, że między nami wszystko skończone. Nie jestem tym człowiekiem, którego chcesz. Niech Bóg mnie i Ciebie ma w swojej opiece.

Torbjörn,
syn Sämunda z Grunlinden.

VI.

Synnöwe dowiedziała się zaraz nazajutrz po wypadku, że Torbjörn był na weselu w Nordhaugu. Młodszy jego brat przybył z wieścią na hale, ale Ingrid nauczyła go przed wyjściem z domu, co ma powiedzieć. Synnöwe dowiedziała się więc tylko, że koń mu się spłoszył i że poszedł do Nordhaugu po pomoc, następnie, że doszło do sprzeczki i bójki z Knutem, który lekko ranił nożem Torbjörna, ale niema niebezpieczeństwa, mimo iż musi leżeć w łóżku.

Tak podana wiadomość zasmuciła ją raczej, niż przeraziła i smutek jej wzrastał w miarę, jak nad tem myślała. Więc znowu pierzchły owe piękne obietnice, nie zmienił się na włos, a rodzice znów mu będą mieli coś do zarzucenia. Tak rozmyślała Synnöwe. Nie dopuszczała jednak przypuszczenia, by to ich mogło rozłączyć.

Wieści nie rychło przedostawały się na hale, więc dopiero po kilku dniach otrzymała świeże

wiadomości. Ciężyła jej bardzo niepewność, a ponieważ Ingrid nie wracała, zaczęła odczuwać obawę i domyślała się, że jest dużo gorzej, niż jej mówiono. Zaprzestała śpiewać wieczorami, gdy bydło wracało do zagrody, a w nocy nie mogła sypiać, bo brakło jej towarzystwa przyjaciółki. Pewnego dnia uczuła wielkie przygnębienie, chcąc się tedy rozerwać pracą, zaczęła szorować kadzie na mleko i skopki, a na odmianę robiła serki i maślankę.

Ale praca jej nie szła, robiła wszystko z widocznym przymusem, tak że młodszy brat Torbjörna i drugi chłopiec, przyjęty do pomocy, byli pewni, iż między nią a Torbjörnem istnieje stosunek miłosny i zaczęli czynić na ten temat różne uwagi.

W tydzień po odejściu Ingrid czuła się Synnöwe jeszcze smutniejszą i bardziej przygnębioną niż zazwyczaj. Tak długi czas nie miała żadnej wieści. Porzuciła robotę i siadła na wzgórku, skąd widać było różne osiedla. Siedziała długo, nakoniec ogarnęło ją znużenie, położyła się we wrzosach i zasnęła. Ale słońce dogrzewało, przeto sen jej nie był spokojny. Śniła, że jest w Solbakken, u siebie, w sypialni, której okno wychodzi na ogród. Kwiaty ślą upojny zapach ale jakiś inny, nie ten, do którego nawykła. Wyj-

rzała przeto oknem i spostrzegła Torbjörna, sadzącego w grządkę wrzosy.

— Cóż to robisz, kochany Torbjörnie? — spytała.

— Kwiaty nie darzą się tutaj! — odparł i wziął się na nowo do roboty.

Żal jej się zrobiło kwiatków i poprosiła, by je przyniósł do pokoju.

— Uczynię to chętnie! — odparł, pozbierał wyjęte z ziemi kwiaty i przyniósł jej.

W tej chwili weszła matka i krzyknęła:

— Cóż to? Wpuszczasz do siebie tego nicponia?

Skoczyła i stanęła między nią a Torbjörnem. Ale on chciał się do niej zbliżyć i zaczął bić matkę.

— Mamo... mamo! — krzyknęła z płaczem — On mi chce tylko przynieść moje kwiatki!

— To mi wszystko jedno! Niech się wynosi stąd! — odparła matka i rzuciła się na Torbjörna.

Synnöwe była przerażona, nie wiedziała, komu ma życzyć zwycięstwa. Pragnęła tylko, by żadne z nich nie zostało pokonane.

— Uważaj na kwiatki! — zawołała. Ale oni nie zważali na nic, bili się i kwiatki rozsypały się po całym pokoju. Deptali po nich oboje, matka i Torbjörn. Synnöwe zaczęła płakać. W chwili,

kiedy Torbjörn rozsypa' kwiaty, stał się nagle brzydki, straszliwie brzydki i odrażający. Włosy miał długie i zmierzwione, twarz ogromną i wykrzywioną, oczy zaczęły miotać błyski, u palców wyrosły mu długie pazury i szponami temi pochwycił matkę.

— Mamo... mamo... strzeż się... czy nie widzisz, że się zmienił!

Krzyczała i chciała spieszyć na pomoc matce, ale nie mogła się ruszyć z miejsca.

Nagle ktoś na nią zawołał, raz i... drugi raz... Torbjörn wybiegł na pole, a matka pospieszyła za nim. Znowu posłyszała wołanie:

— Jestem... idę! — odkrzyknęła Synnöwe, i zbudziła się.

— Synnöwe! — wołał ktoś.

— Idę... idę! — odkrzyknęła.

— Gdzie jesteś?

— To matka woła! — pomyślała i poszła ku wałowi kamiennemu, gdzie stała matka, ze sporym koszykiem w ręku.

— Czemuż się kładziesz i śpisz na gołej ziemi? — spytała matka.

— Byłam taka znużona, żem się położyła na chwilę i zasnęłam! — odparła Synnöwe.

— Nie rób tego na drugi raz! — ostrzegała matka — W koszyku jest coś dla ciebie — do-

dała. — Upiekłam placek, bo ojciec wybiera się do miasta.

Ale Synnöwe czuła dobrze, że matka nie z tego powodu przyszła i że nie darmo o niej śniła.

Podziękowała za to, co jej przyniosła i odkryła koszyk, by zbadać jego zawartość.

— Zobaczysz potem, — powiedziała matka — teraz słuchaj! Zauważyłam, że kadzie i skopki dawno nie były szorowane. Musisz to zrobić, drogie dziecko, przed spaniem.

— Dzisiaj mnie tak jakoś zesłabiło....

— Chodź, pomogę ci trochę, skorom tu już przyszła! — oświadczyła matka, zakasując spódnicę — Musisz się przyzwyczaić do porządku, czy na ciebie patrzę, czy nie!

Poszła do mleczarni przodem, a Synnöwe kroczyła za nią powoli. Zdjęto z półek naczynia i zaczęto je myć. Matka zbadała całe urządzenie mleczarni i wyraziła swe zadowolenie, udzielała córce ciągle rad, tłumaczyła, jak się brać do czego, pomagała jej szorować, zamiatać i tak mijały godziny. Podczas roboty opowiadała matka szeroko i długo o przygotowaniach, by ojca wyprawić w drogę, a potem spytała, czy Synnöwe czytuje codziennie Biblję, przed udaniem się na spoczynek.

— Inaczej nie będzie ci się darzyć praca przez cały dzień! — zapewniała córkę.

Gdy wszystko było gotowe, wyszły obie przed kolebę i siadły w trawie, oczekując powrotu bydła. Po chwili spytała matka, czy Ingrid wnet wróci na hale. Ale Synnöwe nie wiedziała więcej od niej samej.

— Tak teraz postępują ludzie! — westchnęła matka. Synnöwe wiedziała, że nie ma na myśli Ingrid, ale kogoś innego. Nie śmiała jednak skierować rozmowy na upragniony temat.

— Kto nie ma Boga w sercu, tego dotyka jego palec i to w chwili, gdy się tego najmniej spodziewa! — powiedziała matka.

Synnöwe milczała.

— Zawsze to mówiłam! Z tego chłopaka nie będzie nic. Któż widział tak postępować... pfuj!

Patrzyły obie w dolinę, nie chcąc spojrzeć sobie wzajem w oczy.

— Czy wiesz, co z nim słychać? — spytała nagle, rzucając przelotne spojrzenie na córkę.

— Nie wiem... — odparła Synnöwe.

— Bardzo z nim źle! — powiedziała.

Synnöwe uczuła, że jej serce bić przestało.

— Czy mu co grozi? — szepnęła.

— No... tak! Dostał pchnięcie nożem w bok i cały prócz tego pokaleczony...

Krew uderzyła jej do twarzy. Odwróciła głowę, by matka nie spostrzegła tego.

— Ale może przetrzyma? — spytała głosem możliwie spokojnym. Matka spostrzegła, że piersi jej falują gwałtownie, więc odparła:

— Pewnie, że się wyliże. Jest mocny!

Synnöwe wiedziała teraz, że się stało coś strasznego.

— Czy leży w łóżku? — spytała.

— No, naturalnie. To bardzo smutna sprawa dla rodziców... Tacy zacni ludzie... I wychowali dobrze syna... Przynajmniej nie ponoszą winy w oczach Boga!

Synnöwe drżała na całem ciele, a matka mówiła dalej:

— Jak to dobrze, że żadna dziewczyna nie związała się z nim. Bóg wszystkiem kieruje najlepiej...

Synnöwe uczuła taki zawrót głowy, że omal nie spadła ze wzgórza.

— Zawsze mówiłam ojcu: Niech nas Bóg strzeże... mamy jedną tylko córkę, dlatego musimy dawać pilne baczenie... tak zawsze mówiłam. Ojciec ma miękkie serce, mimo swej dzielności... więc dobrze, że szuka rady tam, gdzie najpewniej ją znaleźć można, to jest w słowie bożem...

Synnöwe wspomniała, jak dobrym był zawsze dla niej ojciec i łzy rzuciły jej się do oczu. Nie mogła ich powstrzymać. Załkała głośno.

— Czemu płaczesz? — spytała matka, starając się jej spojrzeć w twarz, pochyloną nisko.

— Myślę o ojcu... jąkała... i... — znowu łkanie wstrząsnęło jej piersią...

— Cóż to?... Co ci jest, dziecko? — pytała matka.

— Sama nie wiem... coś mi się tak... Gdyby mu się w drodze coś przytrafiło...

— Cóż to za gadanie? Cóż mu się stać może? Do miasta wiedzie prosty i równy gościniec!

— Tak... ale pomyśl, mamo, co... się... co się stało z... tamtym!

— Z tamtym?... No... ojciec dzięki Bogu nie jedzie jak warjat. Wróci wesoły i zdrowy, o ile Bóg nie wypuści go ze swej świętej opieki.

Łzy Synnöwe nie ustające dały matce wiele do myślenia. Powiedziała nagle:

— Są na świecie różne zmartwienia, nieraz nawet bardzo ciężkie. Musimy się tem pocieszać, że mogłoby być jeszcze dużo gorzej.

— Ach, to smutna pociecha! — powiedziała Synnöwe i płakała dalej.

Matka nie miała odwagi wypowiedzieć tego wszystkiego, co jej leżało na sercu, rzekła tedy tylko:

— Pan Bóg kieruje często sprawami ludzkiemi w sposób widzialny. I tutaj zachodzi ten przypadek.

Wstała, bo usłyszała poryk zbliżającej się trzody. Dzwonki tętniły, rozbrzmiewały drewniane lury pasterzy, a krowy zstępowały zwolna na niżej położoną halę. Najedzone były, a przeto pokojowo i wesoło usposobione. Matka wezwała Synnöwe, by z nią poszła naprzeciwko trzody. Uczyniła to z ociąganiem i stąpała powoli, ze spuszczoną głową.

Karen Solbakken zajęła się powitaniem. Każda krowa poznawała ją po kolei, zbliżała się i ryczała z zadowolenia. Gładziła je, klepała po karkach i była uszczęśliwiona, widząc jak są dobrze odżywione.

— O tak... — powiedziała — Bóg nie opuszcza tego, kto w nim złożył wiarę swoją!

Pomogła Synnöwe zapędzić bydło, bo córka była dziś do niczego. Potem pomogła jej w dojeniu, mimo że ją to zatrzymało dłużej, niż postanowiła zostać. Gdy mleko było już przecedzone, a matka zabierała się do powrotu, Synnöwe chciała ją kawałek odprowadzić.

— Nie... nie! — powiedziała. — Jesteś znużona, połóż się spać!

Podała jej rękę, wzięła pusty koszyk i powiedziała na pożegnanie:

— Przyjdę niedługo zobaczyć, co słychać z tobą. Trzymaj się, dziecko, myśl o nas, rodzicach swych, a nie troszcz się o resztę!

Ledwie matka odeszła, zaczęła Synnöwe dumać, w jaki sposób mogłaby najszybciej otrzymać wieści z Grunlinden. Przywołała brata Torbjörna, ale gdy się zjawił, nie miała odwagi zwierzyć mu się i odesłała z powrotem. Postanowiła iść sama. Ingrid nie dawała znaku życia. Noc była jasna i pogodna, a osiedle nie było tak odległe, by to miało stanowić przeszkodę w tak ważnej dla niej sprawie. Chwilę jeszcze podumała nad słowami matki, popłakała trochę, a potem zarzuciła chustkę i poszła boczną drożyną, aby nie zwracać uwagi chłopców.

Im dłużej szła, tembardziej jej było spieszno, tak że w końcu biegła drożyną leśną, a małe kamyczki, oderwane od skał, biegły za nią i przed nią i przerażały ją hałasem. Wiedziała, że to tylko kamienie, a jednak zdawało jej się, że ktoś kroczy za nią. Przystawała tedy, nadsłuchując. Nie... nie było nikogo. I znów biegła jeszcze szybciej. Nagle skoczyła na głaz, utkwiony jednym końcem

w ziemi. Pod wstrząśnieniem oderwał się do reszty i ledwo miała czas uskoczyć. Głaz stoczył się wdół, czyniąc okrutny łomot, po krzakach i drzewach się obijając. Synnöwe drżała ze strachu, a przeraziła się jeszcze bardziej, spostrzegłszy w dole, na drodze jakąś postać. Zrazu myślała, że to dziki zwierz. Stanęła, wstrzymując oddech. Stwora owa przystanęła również.

— Oj! — krzyknął ktoś na widok pędzącego głazu.

Poznała matkę.

Uskoczyła w bok i skryła się za grubą sosnę. Czekała tam przez dobrą chwilę, by matka tymczasem mogła się oddalić. Potem szła powoli i niebawem ujrzała Grunlinden.

Czuła przygnębienie na jego widok, a uczucie to wzrastało w miarę zbliżania. Panowała cisza. Kilka narzędzi gospodarczych stało opartych o ściany, obok leżał stos zrąbanego drzewa opałowego, a siekiera tkwiła w klocu. Przeszła mimo niego ku drzwiom. Zatrzymała się, słuchając. Cicho było wszędzie. Stała, namyślając się, czy ma iść na górę do sypialni Ingrid, gdy nagle wspomniała, iż taką samą musiała być owa noc, kiedy Torbjörn przyszedł do jej ogrodu sadzić kwiatki. Szybko tedy zezuła trzewiki i wśliznęła się schodami na pięterko.

Ingrid przeraziła się na dobre, gdy ją Synnöwe zbudziła.

— Co z nim słychać? — spytała Synnöwe.

Dopiero teraz przyszła Ingrid do siebie i chcąc zwlec z odpowiedzią, sięgnęła po ubranie. Ale Synnöwe usiadła na łóżku, poprosiła, by leżała i powtórzyła pytanie.

— Już mu teraz lepiej! Droga Synnöwe, — mówiła — Niedługo przyjdę do ciebie na hale.

— Droga Ingrid! — prosiła Synnöwe — Nie taj przedemną niczego. Wszystko najgorsze przypuszczam, przeto się nie przerażę.

Ingrid jeszcze chciała się wykręcać, ale strach Synnöwe był tak wielki, że nie mogła się oprzeć. Szeptem padały pytania i szeptem brzmiały odpowiedzi. Wokół panowała uroczysta cisza, a powaga chwili pozwalała najsroższej prawdzie spojrzeć w oczy.

Przyszły obie do przekonania, że wina Torbjörna była bardzo mała i że nic nie przeszkadza Synnöwe współczuć jego nieszczęściu. Obie płakały rzewnie, a pocichu. Synnöwe rozpływała się poprostu we łzach.

Ingrid chciała ją rozweselić wspomnieniami szczęsnych, przeżytych razem chwil, ale jak często bywa, te szczegóły pogarszały jeno jej ból.

— Czy nie pytał o mnie? — szepnęła Synnöwe.

— Prawie nic nie mówi!

Ingriđ przypomniała sobie o kartce i ciężko jej się zrobiło na sercu.

— Czy nie może mówić? — pytała.

— Nie wiem... doprawdy nie wiem tego...— zaręczała Ingrid i dodała: — Ale pewnie tem więcej zato myśli.

— Czy czytuje?

— Matka czytuje mu czasem i to go cieszy.

— Cóż powiada?

— Widzisz... on wcale prawie nie mówi! Leży tylko nawznak i patrzy prosto przed siebie. Zresztą nic.

— Czy leży w świetlicy?

— Tak.

— Twarzą zwrócony ku oknu?

— Tak.

Zamilkły na chwilę. Potem rzekła Ingrid:

— Ten wiatraczek świętojański, który mu dałaś dawniej, wisi dotąd u okna i kręci się w wietrze.

— Tak... tak... teraz mi już wszystko jedno! — powiedziała Synnöwe z naciskiem — Nikt na świecie nie zdoła mnie z nim rozłączyć! Niech się dzieje, co chce!

Ingrid zakłopotała się.

— Doktór nie jest pewny, czy wróci do dawnych sił i zdrowia! — zauważyła.

Synnöwe stłumiła płacz, podniosła głowę i spojrzała w milczeniu na Ingrid. Potem znowu skuliła się i łzy popłynęły po policzkach. Złożyła ręce i uspokojona, siedziała chwilę bez ruchu. Nagle powzięła jakby postanowienie. Wstała, uśmiechnęła się, pochylona nad Ingrid ucałowała ją serdecznie.

— Jeśli zostanie kaleką, będę go pielęgnowała. Zaraz to powiem rodzicom.

To rozczuliło Ingrid. Ale, zanim zdołała odpowiedzieć, Synnöwe uścisnęła jej rękę.

— Żegnam cię, Ingrid! — powiedziała — Wracam na hale!

Obróciła się raźno, by odejść.

— Kartka dla ciebie! — szepnęła Ingrid.

— Kartka? — zdziwiła się Synnöwe.

Ingrid wstała i przyniosła kartkę. Lewą ręką wsunęła ją za gors Synnöwe, a prawą objęła ją za szyję i serdecznie ucałowała. Synnöwe uczuła na twarzy łzy przyjaciółki. Potem Ingrid pchnęła ją delikatnie ku drzwiom i zamknęła zaraz, bo nie miała odwagi patrzeć na to, co nastąpi.

Synnöwe zeszła pocichu, w pończochach po schodach, ale dużo myśli wirowało jej w głowie, przeto potrąciła jakiś przedmiot. Przeraziła się,

skoczyła prędko na próg, przebiegła z trzewikami w rękach koło zabudowań, dopadła bramy, tam stanęła, wdziała obuwie i szybkim krokiem pospieszyła ku górom. Krew jej tętniła w skroniach. Szła szybko, nucąc swoim zwyczajem jakąś piosenkę, zcicha, w takt kroków. Kroczyła coraz to prędzej, aż nareszcie zmęczenie zmusiło ją do odpoczynku. Wtedy przypomniała sobie o kartce.

— — — — — — — — — — — — — — —

O świcie pies zaczął szczekać, chłopcy pobudzili się, dojono krowy i wyganiano je na paszę, a Synnöwe dotąd nie było.

Chłopcy stali właśnie i dziwowali się, gdzie mogła zniknąć, bo spostrzegli, że łóżko jej było nietknięte, gdy zjawiła się niespodziewanie. Była blada i nie mówiła nic. Bez słowa przygotowała dla pasterzy śniadanie, włożyła im do puszek zapas pożywienia dla każdego, potem pomagała w doju.

Mgła ciężka leżała na niższych grzbietach gór, cała czerwonawo zielona hala lśniła od kropel rosy. Było zimno, a poszczek psa odbijał się echem od skalistych turni.

Wypuszczano krowy po jednej. Poczuwszy rzeźwy powiew ranka, ryczały i spieszyły ku wyjściu, ale tam siedział już pies i zatrzymywał

każdą z osobna, dopóki wszystkich nie podojono i nie spuszczono z łańcuchów. Potem pozwolił im wyjść swobodnie.

Rozdzwoniły się dzwonki, zawieszone u ich szyi, poszczekiwanie psa szło daleko, a chłopcy dęli w lury drewniane, zagłuszając się wzajemnie.

Synnöwe odwróciła się od tego obrazu pełnego życia i wesela i poszła na miejsce, gdzie zwykle przesiadywały obie z Ingrid. Nie płakała. Siedziała zamyślona, patrząc wdal i łowiąc uchem różne odgłosy, które w miarę oddalania stawały się coraz bardziej harmonijne.

Po chwili jęła śpiewać, zrazu cicho, potem pełnym głosem pieśń własnego utworu, przerobioną z dawnej, znanej w dzieciństwie.

W dziecięcych, szczęsnych latach
Snuliśmy marzeń nić,
A mnie się wciąż zdawało,
Że zawsze tak ma być.

Dom twój naprzeciw mego,
Za gajem brzózek stał,
Ach, ileż tam posłałam
Płomiennych serca strzał!

Tyś niemy był i głuchy
Przez tyle, tyle lat . . .
Lecz dałeś mi nakoniec
Czerwony serca kwiat.

Dziś znowu losy smutne
Upornie dzielą nas
I dni nam długie płyną,
Bez jasnych uczuć kras.

Lecz na dnie serca żyje
Nadziei barwny smug,
Że nas połączy kiedyś,
Niedługo może, Bóg!

VII.

W jakiś czas po tych wszystkich zajściach siedzieli Guttorm i Karen w świetlicy w Solbakken i czytali sobie wzajem ustępy z nowych książek, przywiezionych z miasta. Byli rano w kościele, albowiem była to właśnie niedziela. Potem zrobili mały spacer po polach, by zobaczyć, jak wyglądają zasiewy i rozważyć, które kawałki roli mają na rok przyszły ugorować, a które zasiać trzeba będzie. Szli od jednej działki do drugiej i stwierdzili z zadowoleniem, że posiadłość poprawiła się w ich rękach w stosunku tego, co objęli po ojcach.

— Bóg jeden wie, co się z tem stanie, gdy nas zabraknie! — rzekła Karen.

Wówczas zaproponował jej Guttorm, by wrócili do domu i poczytali trochę, gdyż czytanie to najlepsza rzecz na odpędzenie złych myśli.

Gdy jednak przejrzeli nowe książki, zauważyła Karen, że stare są lepsze.

— Ludzie odpisują ciągle wszystko ze starych książek i to coraz gorzej! — powiedziała.

— Jest w tem trochę prawdy! — odparł Guttorm — Sämund powiedział mi dziś w kościele, że w dzieciach odnaleźć można z łatwością rodziców.

— Tak, widziałam! — powiedziała Karen — Dużo mówiłeś dzisiaj z Sämundem.

— Sämund to człowiek rozsądny!

— Tylko za mało, zdaje mi się, dba o Pana Boga!

Guttorm nic na to nie odrzekł.

— Gdzie się podziała Synnöwe? — spytała.

— Jest w swojej izdebce.

— Byłeś przed chwilą u niej... cóż z nią słychać?

— Hm... tak sobie...

— Czemuś ją zostawił samą?

— Ktoś do niej przyszedł...

— Któż taki?

— Ingrid Grunlinden.

— Myślałam, że jest jeszcze na hali!

— Dzisiaj właśnie wróciła do domu, by matka mogła iść do kościoła.

— Tak... nareszcie się pokazała...

— Ma bardzo dużo zajęcia...

— Innym też roboty nie brak, a znajdują czas iść tam, dokąd należy!

Guttorm znowu nic na to nie odrzekł. Po chwili ozwała się Karen:

— Wszyscy z Grunlinden byli dziś w kościele, z wyjątkiem Ingrid.

— Towarzyszyli wszyscy Torbjörnowi, bo po raz pierwszy od czasu wyzdrowienia był w kościele.

— Nieszczególnie wygląda!

— Lepiej, niż się wszyscy spodziewali. Ja sam się dziwię, że z tego wyszedł cało.

— Drogo opłacił swój wybryk!

Guttorm patrzył przez chwilę przed siebie.

— Jeszcze taki młody... — zauważył.

— Więc to ma być wytłumaczeniem? — zawołała — Nie, on nie ma charakteru! Nie można mu zaufać!

Guttorm oparł łokcie o stół, wziął do ręki książkę i zaczął czytać. Ale udawał tylko, bo po chwili odezwał się:

— Mówią, że całkiem przyjdzie do zdrowia!

Teraz Karen wzięła również książkę.

— To bardzo dobrze! — odrzekła — Chłopak śliczny, coprawda. Niechże mu Bóg da opamiętanie!

Czytali przez czas jakiś, nakoniec Guttorm obrócił kartkę i powiedział:

— Uważałaś, że ani razu na nią nie spojrzał?

— Zauważyłam to. Siedział, jak trusia, póki nie wyszła.

Kilka minut trwało milczenie, potem ozwał się Guttorm:

— Myślisz, że o niej zapomni?

— Byłoby to najlepsze!

Guttorm czytał dalej, żona także, obracając kartkę po kartce.

— Nie podoba mi się, że Ingrid tak długo u niej wysiaduje! — ozwała się Karen.

— Synnöwe nie ma prócz niej innego towarzystwa!

— Ma nas!

Guttorm spojrzał na żonę.

— Nie trzeba być dla niej tak surowym!

Żona milczała chwilę, potem rzekła:

— Nie zabraniałam jej wcale przychodzić!

Guttorm zamknął książkę, wstał i wyjrzał oknem.

— O... Ingrid odchodzi właśnie.

Ledwo to posłyszała, Karen wyszła szybko ze stancji. Guttorm stał długo w oknie, potem obrócił się i zaczął chodzić po izbie. Gdy żona wróciła, zatrzymał się.

— Tak jest, jak myślałam! — powiedziała — Synnöwe siedziała i płakała. Gdym weszła, udała, że szuka czegoś w szufladzie. Nie chciała, bym widziała jej łzy!

Potem dodała, potrząsając głową:

— Do niczego ta cała przyjaźń z Ingrid.

Zaczęła przyrządzać wieczerzę, ustawicznie wchodząc i wychodząc. Właśnie, gdy jej nie było, weszła Synnöwe. Powieki miała czerwone od płaczu. Przeszła tuż obok ojca i spojrzała mu w oczy. Potem siadła przy stole i wzięła do rąk książkę. Po chwili położyła ją i spytała wchodzącej matki, czy może jej pomóc.

— I owszem! — odrzekła Karen — Praca jest najlepsza na wszystko.

Synnöwe nakryła stół, stojący blisko okna. Ojciec, który chodził dotąd po izbie, przystąpił właśnie do okna i wyjrzał:

— Owies, położony od deszczu podnosi się, jak widzę!

Synnöwe stanęła obok niego i wyjrzała. Zwrócił się ku niej, ale w tej chwili matka była obecną, przeto pogładził ją tylko zlekka po włosach i znów rozpoczął przerwaną wędrówkę.

Jedli w milczeniu.

Modlitwę przed i po posiłku odmawiała zawsze matka. Gdy skończyli, zaproponowała, by czytali i śpiewali hymny i uczynili tak.

— Słowo boże to wielkie błogosławieństwo! — powiedziała do córki, patrząc na nią, aż Synnöwe spuściła oczy ku ziemi.

— Teraz opowiem wam historyjkę! — oświadczyła Karen — Każde słowo jest w niej prawdą i może przysporzyć korzyści tym, którzy się zastanowią nad jej treścią.

Odchrząknęła i zaczęła:

— Za moich młodych lat żyła w Haugu dziewczyna, wnuczka pewnego uczonego, starego człowieka. Wziął ją do siebie, gdy była mała, by mu była osłodą i pociechą starości i oczywiście nauczył ją słowa bożego i wpoił dobre obyczaje. Pojmowała wszystko łatwo i uczyła się pilnie, tak że niebawem wyprzedziła wszystkie inne dzieci. W piętnastym roku życia umiała czytać, pisać i rachować, umiała też napamięć wszystkie swoje szkolne książki i dwadzieścia pięć rozdziałów Pisma Świętego. Pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj. Wolała siedzieć nad książką, niż tańczyć, przeto bardzo rzadko widziano ją w miejscach rozrywek, a najczęściej przebywała w pokoju dziadka, zastawionym do powały mądremi książkami. Zazwyczaj, gdy ją ktoś zagadnął znienacka, nie wiedziała o co idzie, bo myślami była daleko. Wszyscy mówiliśmy sobie: — O, gdyby to można posiadać choć połowę tego rozumu, co Karen Haugen!

Ponieważ miała odziedziczyć majątek dziadka, przeto zgłaszał się niejeden konkurent do jej ręki. Ale nie chciała żadnego. Właśnie w tym czasie

przybył do Haugu z uniwersytetu syn miejscowego pastora. Nie bardzo mu się wiodło z egzaminem, gdyż przepadał za wesołem życiem studenckiem, nie za nauką, a w czasie ostatnim zaczął nawet pić.

— Miej się przed nim na baczności! — powiedział jej dziadek. — Długo przestawałem z ludźmi inteligentnymi i zauważyłem, że mniej zasługują na zaufanie od naszych chłopów.

Karen powodowała się zawsze radami dziadka i gdy tylko spotkała syna pastora, schodziła mu zawsze z oczu. Ale nie dawał jej spokoju, tak że niebawem spotykała go na każdym kroku.

— Czego chcesz! — powiedziała mu raz — Nic ci z tego nie przyjdzie!

Ale on nie dawał za wygraną, tak że nakoniec musiała wysłuchać jego oświadczyn. Był to rzeczywiście przystojny chłopak. Ale kiedy jej powiedział, że żyć bez niej nie może i w łeb sobie strzeli, uciekła przerażona. Chodził koło domu, gdzie mieszkała, stał nocami pod jej oknem, ale nie chciała mu się nawet pokazać. Powtarzał ciągle, że się zabije, ale Karen pewną była, że to czyste gadanie. Nakoniec popadł w straszne pijaństwo.

— Wystrzegaj się, dziewczyno! — powtarzał dziadek — Wszystko to są sztuczki djabelskie!

Pewnego dnia zastała go w pokoju, a nikt nie wiedział, jak się to stać mogło.

— Przychodzę zabić cię! — powiedział.

— Dobrze! Uczyń to, jeśli ci nie brak odwagi! — powiedziała.

On zaczął płakać i rzekł, że w jej mocy jest uczynić zeń porządnego człowieka.

— Czy porzucisz trunek na pół roku? — spytała.

Przez sześć miesięcy nie tknął wódki.

— Czy wierzysz mi teraz? — spytał.

— Uwierzę ci, jeśli na pół roku wyrzekniesz się wszystkich rozrywek towarzyskich i gier.

Tak uczynił.

— Czy mi teraz wierzysz? — spytał znowu.

— Uwierzę ci, gdy wrócisz na uniwersytet i dokończysz swych nauk teologicznych!

Uczynił to i po roku wrócił, jako wyświęcony kapłan.

— Czy wierzysz mi teraz? — ponowił pytanie.

— Muszę słyszeć przedtem kilka twoich kazań.

Uczynił, jak chciała. Wygłosił wspaniałe kazanie, mówił o własnych występkach, wykazywał, że łatwo poprawić się każdemu, byle tylko chciał zrobić początek i dowodził, jak ogromną potęgą jest słowo boże.

Potem stanął znowu przed Karen.

— Teraz wierzę — powiedziała mu — że

będziesz żył wedle słów twoich. A ze swojej strony zawiadamiam cię, że jestem zaręczona z moim kuzynem, Andrzejem Haugenem i następnej niedzieli ogłosisz sam nasze zapowiedzi.

Na tem skończyła matka. Synnöwe z początku nie bardzo słuchała opowiadania, ale potem chwytała z ciekawością każde słowo.

— I na tem koniec? — spytała żywo.

— Koniec! — powiedziała matka.

Guttorm patrzył na żonę, ale ona unikała jego spojrzenia. Po chwili, wodząc palcem po stole, dodała z wahaniem:

— Może i nie koniec, zresztą... ale to już do rzeczy nie należy.

— Cóż jeszcze? — spytała Synnöwe ojca, któremu ta historja wydawała się znaną.

— Jeszcze jest coś... ale matka powiada, że to do rzeczy nie należy...

— Cóż się z nim stało? — pytała Synnöwe.

— Hm... to właśnie... w tem sęk... — powiedział ojciec i spojrzał na matkę. Siedziała oparta o poręcz krzesła i patrzyła zadumana na oboje.

— Czy był bardzo nieszczęśliwy? — szepnęła Synnöwe cichutko.

— Trzeba kończyć, gdy nadszedł koniec! — zawyrokowała matka i wstała od stołu. Ojciec i Synnöwe poszli za jej przykładem.

VIII.

W kilka tygodni potem, wczesnym rankiem sposobili się wszyscy mieszkańcy Solbakken, by iść do kościoła. Był to dzień konfirmacji. Tego roku wypadł nieco wcześniej, niż zazwyczaj. Przy takich okazjach zamykano szczelnie wszystkie domy w całej dolinie, bo każdy, kto jeno mógł chodzić, spieszył do kościoła. Nie chciano jechać, bo pogoda była, a chociaż wczesnym rankiem dął zimny wiatr, zapowiadał się dzień piękny, słoneczny.

Droga wiła się wężem po dolinie i wiodła tuż pod Grunlinden, koło którego skręcała w prawo. O dobre pół godziny dalej stał kościół. Żniwa pokończono. Wszędzie widniały sterty i półkopki, bydło także wróciło z hal i pasło się teraz po łąkach i miedzach, pokrytych długą, świeżą trawą. W miejscach piaszczystych i na jałowiznach przeświecała szara barwa kamieni i ziemi. Wokoło roztaczały się wielobarwne lasy. Brzozy miały już szarawe liście, jawory i klony błyszczały żółto,

a głogi nie miały prawie liści, za to czerwieniły się wspaniale jagodami. Przez kilka dni padał deszcz, to też przydrożne, zwykle zakurzone krzewy, były teraz czyste, wymyte i lśniące.

Ściany skalne przybrały wygląd surowy i ponuro patrzyły w dolinę. Jesień ogołociła je z przystroju liści i krzaków i obnażyła ich twarde oblicza. Potoki górskie wezbrały. Gdy w lecie czasem tylko objawiały swe istnienie, teraz szumiały wesoło i dążyły w podskokach ku dolinie. Potok grunlindeński toczył swe nurty z większą powagą, zwłaszcza w miejscu, gdzie pozostawił za sobą skały, które mu nie chciały dalej towarzyszyć.

Torbjörn, jego rodzice, rodzeństwo i wszyscy domownicy wyszli właśnie z domu i skierowali się w stronę kościoła. Torbjörn odzyskał zupełnie siły i mógł dzielnie pomagać ojcu w pracy. Byli ciągle ze sobą i nie rozłączali się ni na chwilę.

— Zdaje mi się — rzekł ojciec — że tuż za nami idą wszyscy mieszkańcy Solbakken.

Torbjörn obejrzał się, a matka powiedziała:

— Tak, to pewnie oni... ale nie widzę dobrze... tak, to oni...

Od tej chwili, nie wiadomo, czy Grunlindeny zaczęli iść sporzej, czy Solbakkeny zwolnili kroku, dosyć, że odległość dzieląca ich wzrastała ciągle

i po krótkim czasie ledwo się mogli wzajem dostrzec na dolinie.

Zapowiadało się na dziś nader liczne zebranie w kościele. Cała droga pełna była wędrowców... szli, jechali konno, lub na wozach. Konie, czasu jesieni dobrze żywione i nienawykłe do liczniejszego towarzystwa, były niespokojne i brykały, co utrudniało, ale zarazem urozmaicało jazdę.

Im bliżej kościoła, tem większy hałas czyniły konie. Każdy nowoprzybyły witał inne rżeniem, a one odpowiadały podobnie, szarpały trenzle i tupały tylnemi nogami. Wszystkie psy całej doliny, które przez tydzień ubiegły siedziały samotne po domach, obwąchując się, mrucząc na siebie i wyzywając do walki, sprowadzone pod kościołem, ruszały do zaciętego boju parami, lub całemi oddziałami, a bitwy te rozgrywały się na szerokiej arenie pól.

Ludzie stali spokojnie pod domami i wzdłuż muru kościelnego, rozmawiali półgłosem i spozierali na siebie zpodełba. Droga pod murem nie była zbyt szeroka, a domy przeciwległe przytykały do siebie. Kobiety stały z reguły pod murem, a mężczyzni naprzeciw nich, tuż pod domami. Dopiero, postawszy tak chwilkę, odważali się zbliżyć ku sobie, a nawet dobrzy znajomi, ujrzawszy się z pewnej odległości, nie szli z powi-

taniem odrazu i czekali na moment sposobny. Jeśli padło, że nowoprzybyły stanął tak blisko znajomego, iż pozdrowienia w żaden sposób uniknąć nie mógł, natenczas odwracał się odeń, witał bardzo krótko i wędrował na swoje stanowisko.

Za przybyciem Grunlindenów uczyniło się jeszcze ciszej, niż było przedtem. Sämund nie miał wielu znajomych, przeto przeszedł szybko wzdłuż szeregu. Ingeborga z córką zatrzymały się zaraz przy pierwszych osobach. Bywało, że gdy był czas iść do kościoła, mężczyzni musieli wędrować czasem znaczny kawałek, by odnaleźć swoje kobiety.

Wtem nadjechały znienacka trzy wozy i nie zatrzymały się prędzej, aż konie wpadły w tłum.

Sämund i Torbjörn, których omal nie przejechano, spojrzeli razem w górę. W pierwszym wozie siedział Knut Nordhaug i jakiś starzec, w drugim jego siostra ze swoim mężem, zaś w trzecim służba folwarczna.

Ojciec i syn spojrzeli po sobie. Sämund ani drgnął, Torbjörn był blady. Odwróciwszy głowy, ujrzeli Solbakkenów, którzy stali bardzo blisko i witali się z Ingeborgą i Ingrid. Ale wozy ich rozdzieliły, rozmowa się urwała, wszyscy patrzyli za odjeżdżającymi i potrwało czas jakiś, zanim wszystko wróciło do porządku. Wodząc tu i ow-

dzie oczyma, by tymczasem znaleźć dalszy wątek, spostrzegli Sämunda i Torbjörna, stojących teraz w pobliżu. Guttorm przyjętym obyczajem odwrócił głowę, ale żona jego wlepiła oczy w Torbjörna, by widzieć, czy patrzy na Synnöwe.

Synnöwe, dostrzegłszy go, zwróciła się do Ingrid i ścisnęła ją za rękę, mimo że to już uczyniła przedtem. Nagle obie strony zauważyły, że służba ich i znajomi patrzą na to co czynią, przeto Guttorm zbliżył się do Sämunda i odwracając twarz, powiedział:

— Tak for sidst!

— Tak for sidst! — odrzekł Sämund.

Potem zwrócił się Sämund do żony Guttorma i rzekł:

— Tak for sidst!

— Tak... — odpowiedziała krótko, nie podnosząc oczu.

Torbjörn, idąc za przykładem ojca, składał podobne pozdrowienia.

Sämund stanął z kolei przed Synnöwe i na nią pierwszą spojrzał. I ona patrzyła na niego tak ciekawie, że zapomniała nawet odpowiedzieć na pozdrowienie. Teraz zbliżył się do niej Torbjörn.

Nie powiedział nic i ona nic nie powiedziała, podali sobie ręce bez uścisku, żadne nie śmiało

podnieść oczu, ni było w stanie ruszyć się krokiem z miejsca.

— Dziś będziemy mieli pogodę! — zauważyła Karen Solbakken i spojrzała bystro na młodych.

— O tak! — odrzekł Sämund — Wiatr rozpędził chmury.

— To dobre dla zboża, które jeszcze leży w kopach i musi wyschnąć! — powiedziała Ingeborga Grunlinden i zaczęła gładzić surdut męża, jak gdyby ocierała pył.

— Bóg nam użyczył tego roku doskonałych zbiorów, ale niewiadomo, czy wszystko da się bezpiecznie zwieźć pod dach! — zauważyła Karen Solbakken, spozierając na Torbjörna i Synnöwe, którzy nie ruszyli się dotąd z miejsca.

— To zależy od liczby robotników! — powiedział Sämund i stanął w ten sposób, że jej zasłonił widok, na który właśnie patrzyła. — Zawsze byłem tego zdania, że dużoby było lepiej, gdyby kilku właścicieli połączyło w jedno swe siły!

— Ale przecież każdy z nich chce dla siebie przedewszystkiem wykorzystać pogodę! — odparła Karen i postąpiła krok na bok.

— To prawda! — przyświadczyła Ingeborga i stanęła przy swym mężu w ten sposób, że znowu zasłoniła Karen młodych. — To prawda — powtórzyła — ale w Solbakken dochodzi zboże

o całe dwa tygodnie wcześniej i tak bywa w różnych miejscach.

— A więc — rzekł Guttorm powoli, z naciskiem — moglibyśmy sobie wzajemnie pomagać! — Karen spojrzała nań, a on dodał — Niestety, często człowiek natrafia na przeszkody!

— O tak! — odrzekł Sämund — Przeszkód nie braknie temu, kto ich szuka! — Mimowoli usta złożyły mu się do uśmiechu.

— To prawda! — przyświadczył Guttorm.

Ale żona jego przerwała mu nagle:

— Siła ludzka nie sięga daleko. Wszystko w ręku Boga!

— Przecież — zauważył Sämund — Bóg nie może mieć nic przeciwko temu, byśmy sobie wzajem pomagali w żniwie w Solbakken i Grunlinden?

— O, nie! — zawołał Guttorm — Ręczę, że nic przeciw temu nie ma! — Tu spojrzał surowo na swą połowicę.

Zwróciła ona zaraz rozmowę na inne tory.

— Jakże dużo ludzi dziś przybyło do kościoła! To bardzo miły widok patrzeć na pełny dom boży!

Nikt nie miał jakoś ochoty podejmować tego tematu, przeto Guttorm sam odpowiedział:

— Wydaje mi się, że wiara i cześć boska wzrasta, za moich młodych lat mniej bywało ludzi po kościołach!

— Tak! — przyznał Sämund — Ludzi coraz to więcej przybywa na świecie!

— Jest pomiędzy nimi — podjęła Karen — dużo takich, co przychodzą jeno dla zwyczaju i z przyzwyczajenia!

— Zapewne młodzi! — odparła Ingeborga.

— Młodzi radzi się potkać! — odparł Sämund.

Karen po raz drugi zmieniła temat:

— Czy wiecie, że nasz pastor ogląda się za inną parafją?

— To szkoda! — zawołała Ingeborga — On chrzcił i konfirmował wszystkie moje dzieci!

— A chciałabyś może, — dodał mąż — by im dawał śluby?

— Dziwi mnie, — zauważył Karen — że dotąd nie zaczęło się nabożeństwo! — tu spojrzała na zegar kościelny.

— O tak! — odrzekł z uśmiechem Sämund — Tu, przed kościołem, zrobiło się dziwnie gorąco!

— Chodź, Synnöwe! — zawołała córki — Wejdziemy do środka!

Synnöwe, rozmawiająca z Torbjörnem, drgnęła na głos matki.

— Czyż nie lepiej poczekać, aż zadzwonią? — zdumiała się Ingrid i spojrzała z ukosa na Synnöwe.

— O tak! — potwierdziła Ingeborga — Wejdziemy razem!

Synnöwe nie wiedziała, co mówić. Sämund zwrócił się do niej.

— Czekaj! — rzekł — Niedługo ci zadzwonią!

Synnöwe zaczerwieniła się, matka rzuciła jej surowe spojrzenie, ale Sämund uśmiechnął się do niej.

— Wszystko będzie jak Bóg zechce! Wszak to słyszeliśmy przed chwilą! — powiedział Sämund i nie chcąc oponować dłużej, postąpił ku kościołowi.

U wnijścia był ścisk wielki, a gdy się lepiej rozejrzeli w sytuacji, spostrzegli, że kościół dotąd zamknięty. Właśnie w chwili, gdy rozpytywali o powód, otwarto drzwi i wszyscy weszli do wnętrza. Ale niektórzy zaraz zawrócili, przeto porozdzielano osoby stojące razem. Pod samą ścianą stało dwu ludzi, rozmawiając ze sobą. Jeden miał zwichrzone włosy i perkaty nos. Był to Knut Nordhaug. Spostrzegłszy Grunlindenów, przestał mówić i zmieszał się nieco, ale nie ustąpił z miejsca.

Sämund musiał go minąć pierwszy i spojrzał nań ostro. Ale Knut nie spuścił oczu, mimo że mu mina zrzedła. Po Sämundzie szła Synnöwe. Uj-

rzawszy nagle Knuta, zbladła. Spuściła oczy i uczyniła ruch, jakby chciała uciekać. Zaledwo postąpił krok, uczuł utkwione w siebie cztery pary oczu, Guttorma, Ingeborgi, Ingrid i Torbjörna. Chciał ujść na bok, ale ludzie cisnęli się, więc nie mógł tego dokazać. Stali wszyscy na kamiennej posadzce, Synnöwe na progu kruchty, gdzie składano zazwyczaj ciupagi przed nabożeństwem, a nieco w głębi przy niej Sämund. Wszyscy tedy stali wyżej niż tłum, byli widzialni dla innych i mogli wszystko objąć wzrokiem.

Synnöwe, zapominając o wszystkiem, wpatrzona była w Torbjörna, który to czuł i stał, jak skamieniały. Knut czuł, że coś uczynić wypada i wyciągnął rękę. Torbjörn również wyciągnął swoją, ale nie sięgnął ręki Knuta.

— Tak for...*) — zaczął Knut, ale spostrzegłszy, że pozdrowienie to nie jest wcale na miejscu, cofnął się.

Torbjörn spojrzał na Synnöwe, a widząc jej bladość, uczynił duży krok, chwycił mocno dłoń Knuta i powiedział głośno, tak że wszyscy wkoło słyszeli:

— Tak for sidst, Knucie! Dobrze, że możemy się pogodzić. To, co się stało, stało się z woli bożej!

*) Znaczy to: Dziękuję za miłe spotkanie.

Knut wydał głos podobny do łykania i otworzył kilka razy usta, by mówić, ale nie udało mu się. Torbjörn, nie mając już nic do powiedzenia, stał i czekał. Ale gdy Knut walczył ze słowami, wypadła Torbjörnowi z ręki książka do nabożeństwa. Knut pochylił się bez namysłu, podniósł i podał mu.

— Dziękuję! — powiedział Torbjörn, który również się schylił. Spojrzał nań, ale widząc, że spuścił oczy, aby go nie upokarzać dłużej, ruszył naprzód.

Wszyscy oddalili się również i zajęli miejsca. Gdy Torbjörn po chwili spojrzał ku ławce kobiet, dostrzegł nietylko wzrok matki i jej serdeczny uśmiech, ale co więcej zauważył, że Karen Solbakken czeka wyraźnie na to, by na nią popatrzył. Gdy to uczynił, wpadł w niezmierne zdumienie, bo oto Karen kiwnęła mu przyjaźnie głową aż trzy razy. Otworzył oczy szeroko, a ona, chcąc go upewnić, że to jego dotyczy, znowu skinęła mu trzy razy głową i to jeszcze uprzejmiej.

W tej chwili posłyszał głos Sämunda, który mu szepnął go ucha:

— Byłem pewny, że tak uczynisz!

Wstępna modlitwa została odmówiona, odśpiewano psalm, a konfirmanci ustawili się w szeregach. W tej chwili Sämund szepnął znowu synowi:

— Ale Knutowi trudno się będzie poprawić, przeto pamiętaj, że z Grunlinden do Nordhaugu dla ciebie daleka droga!

Uroczystość konfirmacji rozpoczęła się. Pastor wystąpił naprzód, dzieci zanuciły pieśń konfirmacyjną. Pełne, dźwięczne tony pieśni porwały wszystkich, zwłaszcza starszych, którzy tak daleko zaszli na drodze życia, że zapomnieli już dnia swojej konfirmacji.

Jeszcze większe wrażenie uczyniła przemowa pastora, starego pastora, który od kilkudziesięciu lat co rok dokonywał tego obrzędu, wiodąc pokolenia drogą cnoty i bojaźni bożej.

Torbjörn, któremu niedawno groziła śmierć, słysząc ślubowanie dzieci, złożył, wzruszony, również ślubowanie poprawy życia.

Ani raz nie spojrzał ku ławce kobiet, dopiero po skończonem nabożeństwie zbliżył się do Ingrid i coś jej szepnął do ucha. Potem przecisnął się szybko przez tłum i znikł. Mówili ludzie, że miast iść drogą, poszedł polami ku lesistym wzgórzom, ale nikt nie był pewny, czy tak jest w istocie.

Sämund szukał go, ale dał pokój, przekonawszy się, że Ingrid również znikła. Potem obejrzał się za Solbakkenami, którzy ze swej strony rozpytywali wszystkich sąsiadów, czy któryś

z nich nie wie, gdzie się podziała Synnöwe. Z konieczności musieli rodzice, każda para z osobna, udać się do domu.

Tymczasem Synnöwe i Ingrid wyprzedziły ich znacznie.

— Żałuję, żem poszła! — powiedziała Synnöwe.

— Cóż w tem może być złego! — odparła Ingrid — Wszakże ojciec wie o wszystkiem!

— Tak! — zauważyła Synnöwe — Ale w każdym razie nie mój ojciec!

— Któż wie, czy także nie twój! — zaśmiała się Ingrid i nie poruszano już tego tematu.

— Zdaje mi się, że tu miałyśmy zaczekać! — rzekła Ingrid, kiedy znalazły się na skręcie drogi, pośród gęstego lasu.

— On musi bardzo nadłożyć drogi! — zauważyła Synnöwe.

— Już zdążył! — ozwał się Torbjörn, wychodząc z poza dużego skalnego złomu.

Ułożył sobie dokładnie w głowie, co ma mówić, a to była sprawa niemała. Dzisiaj, jak mniemał, pójdzie to łatwiej, niż kiedyindziej. Wszakże ojciec był po jego stronie, widział to wyraźnie w kościele. Najoczywiściej życzył sobie tego. Przez całe lato marzył o tej rozmowie z Synnöwe. Tak, niezawodnie, jeśli kiedy, to właśnie dzisiaj zdobędzie się na odwagę.

— Chodźmy ścieżką przez las! — powiedział — To najbliższa droga do domu!

Dziewczęta nic nie odrzekły, ale usłuchały w milczeniu.

Torbjörn miał silne postanowienie rozpocząć rozmowę, ale chciał ją nieco opóźnić. Aż wyjdziemy na wzgórze, myślał. Potem chciał przystąpić do rzeczy, gdy miną bagno leśne. Ale dawno byli na wzgórzu i minęli bagno, a on milczał. Postanowił zaczekać, aż się znajdą głębiej w lesie.

Ingrid zauważyła, że sprawa postępuje dużo za wolno, przeto szła coraz to powolniej, zostawała w tyle i w końcu znikła im z oczu. Synnöwe nie zwróciła jakoś uwagi, że jej niema. Przystawała co kilka kroków i schylała się po jagodę.

— Dziwneby to było, gdybym się nie zdobył na gadanie! — pomyślał i zaczął zaraz:

— Piękna dzisiaj pogoda!

— To prawda! — odparła Synnöwe.

Znów uszli kawałek drogi, a ona zbierała wciąż jagody.

— Bardzo się cieszę, żeś się zgodziła na tę przechadzkę! — powiedział.

Szła w milczeniu.

— Mieliśmy tego roku długie lato...

Znowu nic nie odrzekła.

— Z tego nic! — pomyślał — Póki idziemy, nie da się mówić! — i dodał głośno: — Może zaczekamy tutaj na Ingrid?

— Zaczekajmy! — zgodziła się, przystając.

W tem miejscu nie było jagód, po któreby się mogła schylać, spostrzegł to dobrze. Mimo to pochyliła się, zerwała długie, cienkie źdźbło i zaczęła z wielką pilnością nawlekać na nie jagody.

— Przypomniał mi się dzisiaj w kościele żywo ów dzień, kiedyśmy razem odbywali naszą konfirmację.

— O, pamiętam to doskonale! — powiedziała.

— Od tego czasu zmieniło się wiele! — zauważył, a gdy milczała, dodał: — Przeważnie wszystko poszło inaczej, niżeśmy pragnęli!

Synnöwe nawlekała ciągle jagody na źdźbło i głowa jej była pochylona.

Zaszedł z boku, by spojrzeć jej w oczy, ale, jakby spostrzegła ten zamiar, odwróciła szybko głowę w drugą stronę.

Zaczął się bać, że do niczego nie doprowadzi i powiedział:

— Synnöwe! Miałaś mi coś powiedzieć!

Spojrzała nań i roześmiała się.

— Ja? Cóżbym ja miała powiedzieć?

Czuł, że powraca mu odwaga. Chciał ją objąć ramieniem, ale właśnie w chwili, kiedy się zbliżył, uczuł strach i odezwał się trwożnie:

— Wszakże Ingrid mówiła z tobą?

— Mówiła! — odrzekła Synnöwe.

— Więc masz mi coś do powiedzenia!

Milczała.

— Powiedz! — prosił i zbliżył się.

— Lepiej ty powiedz! — rzekła i odwróciła twarz.

— Dobrze! — chciał chwycić jej ręce, ale zajęła się znów gorliwie nawlekaniem jagód.

— Straszna to rzecz, — zawołał — że ty mnie tak onieśmielasz!

Zdawało mu się, że się uśmiechnęła i znowu nie wiedział co mówić dalej.

— Ostatecznie — wykrzyknął głośno, chociaż niepewnym głosem — powiedz, coś zrobiła z ową kartką?

Odwróciła się odeń w milczeniu. Przystąpił, otoczył ją ramieniem i prosił szeptem:

— Powiedz! —

— Spaliłam ją!

Pochwycił ją szybko, obrócił jej twarz ku sobie, ale widząc, że się zaraz rozpłacze, puścił ją.

— To dziwne, — pomyślał — że jej tak łzy na zawołanie przychodzą!

Stali chwilę obok siebie. Nagle spytała Synnöwe:

— Czemu napisałeś tę kartkę?

— Ingrid ci mówiła! — odparł.

— To było z twej strony okrucieństwo!

— Ojciec kazał.

— Mimo to...

— Myślał, że zostanę kaleką na całe życie. Odtąd, powiedział, ja będę na ciebie pracował!

Ingrid ukazała się w dali. Zaczęli tedy znowu iść.

— Nigdy cię bardziej nie kochałem, jak wówczas, gdym cię uważał za straconą!

— Najlepiej się człowiek poznaje, kiedy jest sam! — odparła.

— Tak! Wówczas poznajemy, kto ma nad nami największą władzę! — powiedział poważnie, głośno i kroczył śmiało obok niej.

Już nie zbierała jagód.

— Może chcesz jagód? — spytała, podając mu dłoń.

Chwycił tę dłoń, pełną jagód i powiedział drżącym głosem:

— A więc niech będzie, jak miało być przed napisaniem tej kartki?

— Niech będzie... — odparła szeptem i odwróciła się od niego.

Szli znów obok siebie, nic nie mówiąc i dziwna, póki milczała, nie miał odwagi dotknąć się jej, ani wyrzec słowa. Ale czuł się niezmiernie lekkim, wesołym, a nawet kręciło mu się w głowie. Drgały mu przed oczyma przedmioty, a kiedy dostali się na szczyt góry, skąd można było objąć wzrokiem całe Solbakken, wydało mu się, że spędził tam całe życie... ciągnęło go tam, jak do ojczyzny własnej.

— Pójdę tam z nią zaraz! — pomyślał, a odwaga jego wzrastała, im dłużej patrzył. Powziął postanowienie i krok jego stał się szybszy i pewniejszy. — Ojciec mi pomoże — myślał — Dłużej nie wytrzymam! Muszę tam iść, muszę! — Szedł coraz raźniej, a wszystko wkoło wydało mu się światłością i szczęściem. — Tak! To się stać musi dzisiaj! Szkoda każdej godziny! — Uczuł się tak silnym, że nie wiedział, jak wyładować nadmiar tej mocy.

— Uciekasz ode mnie? — zawołała nagle Synnöwe, nie mogąc mu dotrzymać kroku.

Spojrzał ku niej zawstydzony i wrócił z wyciągniętemi rękami, a czyniąc to, myślał:

— Podniosę ją do góry!

Ale gdy był blisko, nie zrobił tego.

— Czyż tak prędko idę? — spytał.

— Tak, — odrzekła — pędzisz bez zastanowienia!

Znaleźli się na drodze i nagle Ingrid, której nie widzieli wcale, zjawiła się tuż za nimi.

— Teraz nie możecie iść sami! — powiedziała. Torbjörn drgnął. Rozstanie zaskoczyło go zbyt nagle. I Synnöwe uczuła żal.

— Miałem ci jeszcze tyle powiedzieć! — zawołał.

Synnöwe uśmiechnęła się mimowoli.

— No, to innym razem! — zgodził się, ściskając jej rękę.

Spojrzała nań tak serdecznie, że uczyniło mu się gorąco w sercu i strzeliła mu znowu myśl: — Zaraz pójdę do niej! — Ale Synnöwe cofnęła delikatnie rękę, zwróciła się do Ingrid, pożegnała z nią i poszła zwolna drogą do domu. Torbjörn nie udał się za nią. . . . .

Szli teraz oboje z siostrą przez las, ku domowi.

— Nagadaliście się do syta? — spytała Ingrid.

— Nie... czasu nie stało! — odrzekł i kroczył żwawo, chcąc uniknąć pytań.

— No i cóż? — ozwał się Sämund, spozierając z ponad stołu, gdy weszli.

Torbjörn nie odpowiedział, tylko zbliżył się do ławy przeciwległej i zdjął kaftan. Ingrid szła za nim uśmiechnięta. Sämund jadł dalej, spozierając od czasu do czasu z uśmiechem na Torbjörna, który wydawał się bardzo zajętym.

— Chodź jeść! — powiedział — Zupa stygnie!

— Dziękuję! Nie jestem głodny! — odrzekł Torbjörn i siadł przy stole.

— Tak? — zdziwił się Sämund i jadł dalej. Po chwili zauważył:

— Uciekliście jak oparzeni z kościoła!

— Musieliśmy pomówić z kimś! — rzekł Torbjörn.

— No... i pomówiliście?

— Nie... tak, trochę!

— Trochę?... — powtórzył Sämund, jedząc.

Skończył, wstał, podszedł do okna i przez chwilę wyglądał. Potem obrócił się i powiedział:

— Słuchaj, chłopcze! Idźmy w pole zobaczyć co się tam dzieje!

Torbjörn zerwał się natychmiast.

— No... ale ubierz się przecież! — powiedział ojciec.

Torbjörn sięgnął po stary kaftan, wiszący nad jego siedzeniem, na ścianie.

— Widzisz przecież, że ja mam na sobie nowy kaftan!

Torbjörn usłuchał i wyszli. Ojciec przodem, syn za nim.

Poszli drogą ku dolinie.

— Cy nie lepiej zacząć od owsa? — spytał Torbjörn.

— Nie, zaczniemy od pszenicy! — zawyrokował Sämund.

Po chwili ujrzeli wóz, posuwający się zwolna.

— To ktoś z Nordhaugu! — zauważył Sämund.

— Nowożeńcy! — dodał Torbjörn.

Wóz przystanął, zrównawszy się z nimi.

— To dumna sztuka ta Marit! — szepnął Sämund, patrząc na kobietę, siedzącą na wozie. Miała na głowie chustkę, drugą na ramionach. Spoglądała spokojnie, a na twarzy jej nie było widać najlżejszego zmieszania. Mąż zato był blady, przygnębiony i rysy miał łagodne, jak zwykle u ludzi, których nęka jakaś tajona troska.

— Oglądacie zbiory? — spytał.

— Tak! — odparł Sämund.

— Dobrze wypadły tego roku.

— O tak! Mogło być gorzej!

— Późno wracacie z kościoła!

— Było dużo znajomych... musieliśmy się pożegnać.

— Jakto? Czy wyjeżdżacie?

— Ja wyjeżdżam... — rzekł nowożeniec.

— Daleko?

— O... dosyć!

— Dokądże to?

— Do Ameryki..

— Do Ameryki? — wykrzyknęli obaj.

— Dopiero co po ślubie...

Młody człowiek uśmiechnął się.

— Zda się, że będę musiał tu pozostać czas jakiś ze względu na nogę, powiedział lis, wpadłszy w samotrzask!

Marit spojrzała na męża, potem na Sämunda i Torbjörna, lekki rumieniec przebiegł jej twarz, ale ani jeden muskuł nie drgnął.

— Żona pewnie też jedzie? — rzekł Sämund.

— Nie... zostaje.

— W Ameryce łatwo zarobić... — zaczął Torbjörn, czując, że nie należy przerywać w tem miejscu rozmowy.

— Pewnie... — potwierdził nowożeniec.

— Ależ Nordhaug, to wspaniała posiadłość... — zauważył Sämund.

— Za dużo tam ludzi... — odrzekł i popatrzył na żonę.

— Jeden zawadza drugiemu! — dodał.

— Ano, to szczęśliwej drogi! — powiedział Sämund i podał mu rękę — Niech ci Bóg da to, czego pragniesz!

Torbjörn spojrzał bystro na dawnego kolegę szkolnego i powiedział:

— Nim pojedziesz, chciałbym z tobą pomówić!

— Bardzo to miło móc z kimś poczciwie pogadać! — odrzekł, rysując biczem jakieś znaki na piasku.

— Przyjdź do nas! — ozwała się Marit.

Obaj spojrzeli na nią zdumieni. Nie przypuszczali, że może przemawiać tak słodkim głosem.

Wóz ruszył w dalszą drogę. Nie spieszno im było, lekka chmurka kurzu szła za nimi. Słońce rozjaskrawiło jej jasną, jedwabną chustkę, odbijającą od ciemnej sukni. Za chwilę znikli za pagórkiem.

Ojciec i syn kroczyli długo w milczeniu.

— Zdaje mi się, że on nie prędko wróci! — ozwał się Torbjörn.

— Tak jest najlepiej! — odparł Sämund — Szczęścia musi szukać w obczyźnie, kto go nie ma w domu!

I znowu szli, nic nie mówiąc.

— Minęliśmy łan pszenicy! — rzekł Torbjörn.

— To nic! Obejrzymy za powrotem.

Szli dalej, a Torbjörn nie pytał dokąd idą, gdy minęli granicę Grunlinden.

IX.

Guttorm i Karen Solbakken skończyli właśnie jeść, gdy weszła zadyszana i zarumieniona Synnöwe.

— Gdzieżeś to była, drogie dziecko? — zawołała Karen.

— Rozmawiałam z Ingrid! — odrzekła Synnöwe i zdjęła z głowy chustkę. Ojciec tymczasem szukał książki w szafie.

— Cóż to takiego być mogło, że trwało tyle czasu?

— O... nic wielkiego!

— Lepiej było trzymać się nas! — mówiła matka, przynosząc jej jedzenie.

Synnöwe siadła przy stole, a matka naprzeciw niej i ciągnęła dalej.

— Czy był kto jeszcze przy tej rozmowie?

— Był! — przyznała Synnöwe.

— Nie zabraniajże jej rozmowy z ludźmi! — ozwał się w tej chwili ojciec.

— Nie zabraniam! — odrzekła matka nieco łagodniej. — Ale przecież powinna mieć wzgląd na rodziców.

Na to nie odpowiedział nikt.

— Ślicznie dziś było w kościele! — zaczęła znowu Karen — Jakże to miło widzieć te dzieciaki w białych sukienkach!

— Tak! — przyświadczył Guttorm — Przychodzą na myśl własne dzieci!

— Słusznie mówisz! — westchnęła Karen — Niewiadomo jeszcze co z nich będzie!

Nastało długie milczenie.

— Powinniśmy Bogu dziękować! — zaczął Guttorm — Mamy dobre dziecko!

Matka spuściła głowę i suwała palcem po stole.

— To nasza cała pociecha! — szepnęła — Dobra i poczciwa — dodała jeszcze ciszej.

Zamilkli znowu.

— Doznaliśmy z jej strony dużo radości! — ozwał się Guttorm — Niech jej Bóg da szczęście! — dodał po chwili ze wzruszeniem.

Matka suwała znowu palcem po stole. Nagle spadła z jej oczu łza, a Karen starła ją natychmiast.

— Czemuż nie jesz? — spytała po chwili, spojrzawszy na córkę.

— Dziękuję! Nie głodnam! — odrzekła Synnöwe.

— Ależ nic prawie nie jadłaś! A przecież odbyłaś taki kawał drogi.

— Nie mogę jeść! — powiedziała, skubiąc koniec chustki na szyi.

— Jedz... jedz... drogie dziecko! — zachęcał ojciec.

— Nie mogę! — powtórzyła i zaczęła płakać.

— Ależ kochanie, czemu płaczesz?

— Nie wiem... — zaszlochała.

— O byle co zaraz płacze! — powiedziała matka. Ojciec wstał i podszedł do okna.

— Idą w naszą stronę dwaj ludzie — powiedział.

— Doprawdy? Do nas? — spytała matka i zbliżyła się także.

Patrzyli przez chwilę w milczeniu.

— Któż to być może? — powiedziała Karen, ale w głosie jej nie brzmiało pytanie.

— Nie wiem! — odparł Guttorm, wyglądając dalej.

— Nie mogę pogodzić jednego z drugiem! — ozwała się Karen — Nie rozumiem...

— I ja nie!

Przybysze zbliżyli się.

— Tak, to pewnie oni! — powiedziała nakoniec Karen.

— I ja tak myślę! — przyświadczył mąż.

Przybysze zbliżali się coraz bardziej. Starszy przystanął i rozglądał się wokoło, młodszy uczynił to samo, potem ruszyli dalej.

— Czy masz wyobrażenie, czego mogą chcieć? — powiedziała Karen znowu tym samym tonem co poprzednio.

— Nie... pojęcia nie mam! — odparł Guttorm.

Karen podeszła do stołu, zebrała talerze i doprowadziła wszystko do porządku.

— Wdziej na głowę chustkę, Synnöwe! — powiedziała — Widzisz, że nadchodzą goście!

Ledwo wymówiła te słowa, drzwi otwarły się i Sämund wraz z Torbjörnem weszli do izby.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — powiedział głośno, stojąc przy drzwiach, potem zbliżył się i pozdrowił obecnych, to samo uczynił Torbjörn.

Na samym końcu zbliżyli się do Synnöwe, stojącej w kącie, z chustką w ręku. Nie wiedziała, czy ma ją zarzucić na głowę, czy nie, nie widziała jej może nawet wcale.

— Prosimy... siadajcież! — powiedziała matka do przybyłych.

— Dziękujemy! — odparł Sämund — Wprawdzie niedaleką mieliśmy drogę... Nie dokoń-

czywszy, zajął miejsce, a obok niego usiadł Torbjörn.

— Straciliśmy was dzisiaj całkiem z oczu w powrocie z kościoła! — powiedziała Karen.

— Tak! I ja oglądałem się za wami! — odrzekł Sämund.

— Tylu dziś było ludzi! — dodal Gottorm.

— Mnóstwo ludzi! — przytakiwał Sämund — Śliczna to była uroczystość!

— Właśnie dopiero co mówiliśmy o tem — odparła dobrotliwie Karen.

— Dziwnie się robi człowiekowi, gdy patrzy na te dzieci w kościele... — dodał Guttorm.

Karen usiadła na ławie.

— To prawda! — potwierdził Sämund — Człowiek zaczyna się wówczas zastanawiać poważnie nad własnemi dziećmi. I właśnie z tego powodu przybyłem tutaj dzisiejszego wieczora — dorzucił.

Spojrzał uroczyście wokoło, wyjął z ust prymkę tytoniu, złożył ją starannie do puszki i wziął nową.

Guttorm, Karen i Torbjörn poszukali oczami, na czemby wzrok oprzeć.

— Uważałem, — ciągnął dalej Sämund — że najlepiej będzie, gdy tutaj przyjdę z Torbjörnem, bo długoby pewnie potrwało, nimby się sam od-

ważył. Zresztą nie ufam mu na tyle, by potrafił rzecz wyłuszczyć.

Spojrzał ukradkiem na Synnöwe, która odczuła to spojrzenie.

- Rzecz się ma tak, że od chwili, kiedy się na tych rzeczach zna, skierował swe serce ku Synnöwe i nie ulega wątpliwości, że również i ona ku niemu czuje miłość, przeto, jak sądzę, najlepiej będzie, jeśli się pobiorą...

Nie byłem ja za tem w czasie, kiedy widziałem, iż sam ze sobą rady sobie dać nie może, więc jakże mu było wybierać żonę. Ale teraz, zdaje mi się, mogę za niego ręczyć, a jeśli nie mogę ja... to napewne może to zrobić ona sama. Bo teraz ma nad nim największą władzę... Cóż myślicie, drodzy sąsiedzi, o tej sprawie? Czy mamy ich połączyć? Coprawda, nic nie nagli, ale, jak sądzę, zwłóczyć także niema co. Ty, Guttormie, jesteś człek dostatni, ja, coprawda, nie tak dobrze się mam, ile że muszę dzielić to, co posiadam, ale zdaje mi się, że i tak da się to zrobić. Raczcież powiedzieć, co o tem wszystkiem myślicie... Jej spytam na samym końcu, bo, o ile mi się zdaje, wiem, czego ona pragnie.

Tak mówił Sämund. Guttorm siedział pochylony naprzód i przekładał jedną rękę na drugą. Raz po raz czynił wysiłki, by wstać z ławy, za

każdym razem oddychał głęboko. Ale dopiero za piątym razem udało mu się sprostować grzbiet. Wstał i gładził się po nogach, spoglądając na żonę i córkę.

Karen nie ruszyła się z miejsca. Nie można było widzieć wyrazu jej twarzy. Siedziała przy stole i wodziła po nim palcem, rysując rozmaite figury.

— Tak... zaprawdę... jest to piękny projekt... nie można powiedzieć... — zaczęła.

— I powinniśmy, mojem zdaniem, podziękować i przystać! — oświadczył Guttorm głośno i wyraźnie, poczem odetchnął, jakby mu kamień spadł z serca. Spoglądał teraz raz po raz na żonę i Synnöwe, która skrzyżowała ręce na piersiach i oparła się o ścianę.

— Mamy tylko tę jedną córkę! — powiedziała Karen — Musimy przeto mieć czas do namysłu.

— Jest na wszystko rada, powiedział niedźwiedź do chłopa, gdy go pytał, czy chce mu podarować porwaną jałówkę — rzekł Sämund.

— Zdaje mi się — powiedział Guttorm — że możemy dać zaraz odpowiedź!

Spojrzał na żonę.

— Jedna tylko rzecz — ozwała się, nie patrząc nań — mianowicie, że Torbjörn jest trochę awanturnikiem!

— Co do tego, — stanął w jego obronie Guttorm — to zmienił się bardzo! Samaś dziś mówiła...

Patrzyli na siebie długo, może z minutę, lub dłużej jeszcze.

— Gdyby mu można zaufać... — ozwała się wreszcie Karen.

— Tak! — zabrał głos Sämund — Co się tego punktu tyczy, to muszę powtórzyć, co już mówiłem. Jazda będzie dobra, jeśli ona będzie miała cugle w ręku. Posiada nad nim niepojętą władzę. Zauważyłem to, kiedy leżał chory i niewiadomo było, jak się skończy cała sprawa, czy wyjdzie, czy zemrze.

— Nie sprzeciwiaj się dłużej! — rzekł Guttorm do żony — Wiesz sama, że tego ona chce, a my przecież żyjemy dla niej! — Synnöwe po raz pierwszy podniosła głowę i spojrzała na ojca z niewysłowioną wdzięcznością.

— No tak... — odparła Karen po krótkiem milczeniu. Posunęła po stole palcem mocniej, niż poprzednio — No... tak... Ja opierałam się tak długo tylko dla jej dobra... Nie jestem może tak surową, jak moje słowa!

Spojrzała na męża i uśmiechnęła się, ale w tej chwili oczy jej napełniły łzy.

Guttorm rzekł:

— Tedy dzięki Bogu stało się to, czego oddawna najgoręcej pragnąłem na ziemi.

Podszedł do Synnöwe.

— Nigdy nie myślałem, by się miało inaczej skończyć! — oświadczył Sämund, wstając z ławy. — Co ma być... być musi!

I również podszedł do Synnöwe.

— Cóż ty na to, drogie dziecko? — spytała matka, zbliżając się do niej także.

Synnöwe nie ruszyła się ze swego miejsca. Obstąpili ją wszyscy, z wyjątkiem Torbjörna, który siedział ciągle tam, gdzie usiadł z początku.

— Wstań, Synnöwe! — szepnęła jej Karen.

Wstała, uśmiechnęła się, a potem odwrócona do ściany, zaczęła płakać.

— Niech cię Bóg ma w swojej opiece, drogie dziecko! — powiedziała Karen, objęła córkę za szyję i płakała razem z nią.

Mężczyźni oddalili się, każdy w inną stronę.

— Zbliż się do niego, Synnöwe! — powiedziała matka i popchnęła ją zlekka ku Torbjörnowi.

Synnöwe uczyniła jeden krok i stanęła. Nie była w stanie iść dalej. Wówczas Torbjörn zerwał się, przyskoczył i chwycił jej rękę, nie wiedział jednak, czy wypada mu uczynić coś więcej i stał tak chwilę, aż cofnęła swoją dłoń.

Stali obok siebie, milcząc.

W tej chwili otwarły się cicho drzwi i wyjrzała z nich głowa.

— Czy Synnöwe tu jest? — spytał nieśmiały głos.

Była to Ingrid Grunlinden.

— Tak! Jest tutaj! Chodźże, Ingrid! — powiedział Guttorm.

Ingrid wahała się.

— Chodź! Chodź! — zachęcał ją — Już wszystko w porządku!

Wszyscy patrzyli na nią. Wydawała się ciągle zmieszaną.

— Jest ktoś jeszcze w sieni! — powiedziała.

— Któż to? — spytał Guttorm.

— Mama! — powiedziała zcicha.

— Przyprowadźże ją! — krzyknęli wszyscy czworo, a Karen zbliżyła się do drzwi żwawo.

— Możesz, mamo, iść śmiało — powiedziała Ingrid. I zaraz weszła Ingeborga Grunlinden, ubrana w biały, świąteczny czepek.

— Domyślałam się, — powiedziała, — że się na coś zanosi, chociaż Sämund nic mi nie powiedział. I nie mogłyśmy obie z Ingrid wytrzymać, by tutaj nie przyjść.

— Właśnie się dobrze stało! — oświadczył Sämund, — bo sprawa poszła tak, jak sobie zawsze życzyłaś.

— Niech ci Bóg nagrodzi — zwróciła się do Synnöwe — żeś go podniosła do siebie!

Objęła ją ramieniem i gładziła po włosach.

— Przetrzymałaś wszystko i wygrałaś.

Pieściła się z nią i gładziła jej policzki. Łzy płynęły jej po twarzy, ale nie zważając na to, obcierała łzy Synnöwe.

— Dobrego dostajesz chłopca, Synnöwe, a to co w nim jest złego, to sama naprawisz. Już się o niego nie boję!

Przytuliła ją raz jeszcze do serca.

Po chwili płacz i wzruszenie ukoiły się i gospodyni domu pomyślała o posiłku. Poprosiła Ingrid, by jej była pomocną, bo Synnöwe, jak mowiła, dzisiaj zupełnie do niczego!

Za chwilę gotowały różne przysmaki, a mężczyźni rozpoczęli poważną rozmowę o zbiorach, cenach i sprawach publicznych.

Torbjörn usiadł zdala od wszystkich, przy oknie. Synnöwe zbliżyła się doń i położyła mu rękę na ramieniu.

— Na coś się tak zapatrzył? — spytała szeptem.

Zwrócił na nią oczy, patrzył długo, serdecznie, a potem znowu spojrzał w okno i powiedział:

— Patrzę na Grunlinden. Jakże dziwnie wygląda, jak całkiem inaczej, gdy nań patrzeć z Solbakken!...

II.

MARSZ WESELNY.

W zeszłym wieku mieszkał w jednej z największych roztok górskich Norwegji muzykant, który wszedł później do pewnego stopnia w zakres sag ludowych norweskich górali. Wedle podania był on autorem mnóstwa baśni i śpiewek, które nie zniknną już pewnie nigdy. Powiadają, że uczył się ich od krasnoludków i duchów podziemnych, jedną pieśń miał od samego djabła, drugą ułożył, by uratować własne życie. . ., słowem, żyje on w legendzie i żyć nie przestanie.

Z pośród wielu marszów, jakie ułożył, wsławił go jeden, albowiem historja ta nietylko nie skończyła się wraz z jego śmiercią, ale przeciwnie, wtenczas dopiero rozpoczęła się na dobre.

Biedny komornik, muzykant Ole Haugen, mieszkający wysoko w górach, miał córkę, imieniem Aslaug, która wzięła po nim w spadku niepospolity rozum, oraz zdolności muzyczne. Nietyle dotyczyło to samej gry, ile przenikało całą jej istotę. Miała w sobie coś lekkiego, powiewnego, śmiałego, zarówno w mowie jak śpiewie, w cho-

dzie i tańcu. Posiadała przecudny głos, miękki i czysty, który był właściwością całego rodu.

Pewnego dnia zjawił się młody chłopak, syn bogatego właściciela folwarku, Tingvoldu. Był to jego trzeci syn z kolei i wrócił do kraju po długiej podróży.

Dwaj bracia starsi ulegli tragicznej śmierci, utonęli podczas powodzi i on miał odziedziczyć ojcowskie mienie.

Spotkał Aslaug na jednem weselisku i odrazu się w niej zakochał. Było to wówczas rzeczą niesłychaną i niedopuszczalną, by syn wielkiego właściciela, pochodzący z tak starej i dostojnej rodziny, mógł się żenić z dziewczyną niskiego stanu i biedaczką, jaką była Aslaug.

Ale ten młodzieniec przebywał długo w szerokim świecie i oświadczył rodzicom, że da sobie radę, znajdzie środki do życia, więc jeśli nie otrzyma tego, czego pragnie, zrezygnuje z dziedzictwa.

Wszyscy mu odradzali i przepowiadali, że obojętność dla rodziny, oraz lekceważenie ziemi i dziedzictwa ojczystego zemścić się na nim niezawodnie musi. Powiadano również, że w tem wszystkiem była ręka Ole Haugena, którym kierowała istota, jaką się brzydzą i której boją się wszyscy porządni ludzie.

Przez cały czas, kiedy pomiędzy synem i rodzicami trwały spory i niesnaski, był Ole Haugen w wyśmienitym humorze. Gdy zaś nastąpiła wygrana, oświadczył, że skomponował dla młodej pary marsz weselny, o którym nie zapomną najdalsze pokolenia Tingvoldów! — Niech sam Pan Bóg raczy zmiłować się nad panną młodą, która przy jego dźwiękach nie pójdzie tak ochotnie do ołtarza, jak córka komornika, Aslaug Haugen.

Tak powiedział Ole, a ludzie widzieli w tem wszystkiem wpływ złego ducha.

Tak brzmi legenda. I zaprawdę potwierdza ją jeszcze niezaprzeczony fakt, że do dnia dzisiejszego, w całej tej okolicy istnieje powszechne zamiłowanie do muzyki i śpiewu, przeto w czasach dawnych musiało ono być nierównie większe. Nie mogłoby to trwać długo, gdyby nie zjawiał się od czasu do czasu ktoś, kto wzbogaca i utrwala ów skarb tradycyjny. Ole Haugen musiał na tem polu położyć zasługi niepoślednie.

Legenda powiada dalej, że marsz weselny Ole Haugena był najweselszym, jaki słyszano kiedykolwiek na świecie, to też para, która pierwsza przy jego dźwiękach pojechała do kościoła i nim powitaną została po powrocie do domu, była najszczęśliwszą pośród wszystkich, jakie od wieków dawnych zjawiły się na ziemi i chociaż mieszkańcy

Tingvoldu zdawien dawna byli piękni i dorodni, a od tego czasu jeszcze piękniejszymi się stali — to onej parze i pod tym względem pierwszeństwo przyznać należy.

Przechodzimy teraz z zakresu legendy na grunt pewniejszy, bowiem na Olem Haugenie kończy się podanie, a zaczyna rzeczywista historja. Wedle niej, ów marsz weselny stał się klejnotem rodzinnym, którego nie używano tak rzadko, jak to bywa z innemi klejnotami. Przeciwnie, używano go często, to znaczy marsz ów, w całym Tingvoldzie ciągle nucono, śpiewano, świstano, trąbiono, grano od paradnej komnaty aż do stajni, od stodół i gumien aż do lasu, a jedyne dziecko, jakie mieli szczęśliwi małżonkowie, było przez ojca, przez matkę, niańkę i resztę służby w takt owego marszu kołysane i huśtane na rękach i to samo dziecko, gdy tylko mogło wymówić czy wyśpiewać cokolwiek samo z siebie, zaczynało znowu od tegoż marsza weselnego.

Dziecko nosiło imię Astrid. Dar śpiewu był wrodzony każdemu członkowi rodziny, więc mała dziewczynka, od lat dziecięcych żywa i wesoła, niebawem po mistrzowsku wyśpiewała tę triumfalną pieśń rodziców, wieszczącą jej samej najlepsze nadzieje na przyszłość.

Nikogo zapewne nie zdziwi, jeśli powiemy, że

Astrid, doszedłszy do lat dojrzałych, sama zapragnęła wyszukać sobie męża. Może przesadą jest to, co powiadają o liczbie jej konkurentów, — prawdą jest atoli, że bogata i urodziwa dziewczyna doszła do dwudziestu trzech lat życia i nie miała narzeczonego.

Pewnego dnia wyszło na jaw, co było powodem tego dziwnego faktu. Przed wielu laty matka Astrid wzięła wprost z gościńca do siebie opuszczone dziecko cygańskie. Coprawda chłopak nie był cyganem, ale tak go wszyscy nazywali, a przedewszystkiem Aslaug sama.

Gdy się matka dowiedziała, że ta szalona Astrid — czy ktoś może sobie wyobrazić podobne głupstwo — zaręczyła się z nim pewnego dnia w polu, rumor się zrobił straszny. Teraz wiedziano, czemu oboje śpiewali i gwizdali ustawicznie marsz weselny, wszędzie gdzie byli tylko, czy to na strychu, czy w lamusie, czy w lesie, czy na furze siana... słowem wszędzie i ciągle, w dzień i w nocy.

Oczywiście chłopak został natychmiast wygnany z domu i okazało się, że nikt bardziej od córki komornika nie dba o przywileje rodu. A ojcu przyszły teraz na myśl owe proroctwa dawne, z owego czasu, kiedy on sam zaparł się swych tradycyj rodzinnych. Rodzina miała się

powiększyć o zięcia, wziętego z ulicy... straszne rzeczy!"

Wszyscy mieszkańcy doliny byli tegoż samego zdania.

Tymczasem „cygan“ Knut, bo takie było jego imię, zabrał się do handlu, zwłaszcza do handlu bydłem i zdobył powszechne uznanie. W całej okolicy on pierwszy jął się tej rzeczy na wielką skalę. Był pionierem nowej gałęzi zarobku i spowodował, że chłopi uzyskali teraz wyższe ceny, a wielu z nich doszło do znacznego majątku.

Obok tego, Knut bardzo ochotnie brał udział w pijatykach i bitkach wszelkiego rodzaju i o tem przedewszystkiem wszyscy mówili, bowiem nie byli w stanie poznać się na jego zdolnościach kupieckich i sprycie nadzwyczajnym.

Kiedy Astrid skończyła lat dwadzieścia trzy, sprawa stanęła na ostrzu miecza. Albo cały majątek miał przejść na boczną linję i wyjść z bezpośredniego ich posiadania, albo Knut musiał stać się członkiem rodu Tingvoldów. Rodzice przez swoje małżeństwo utracili moralny wpływ na córkę, która mogła się teraz skutecznie opierać ich woli.

I stało się, jak chciała. Piękny, wesoły Knut pojechał z nią pewnego dnia do kościoła, otoczony nieprzebranemi tłumami widzów i gości. Dzie-

dziczny marsz weselny, marsz dziadka, grzmiał i huczał po całej dolinie, a oni sami nucili go, siedząc w kolasie, i radowali się niesłychanie.

Wszyscy byli weseli, nawet rodzice, którzy tak długo stawiali opór, uśmiechali się teraz, aż się temu powszechnie dziwiono.

Po weselu objął Knut gospodarstwo, a rodzice poszli na łaskawy chleb. Ale posiadłość była tak rozległa, że wszyscy zachodzili w głowę, jak Knut i Astrid dadzą sobie radę. W dodatku ogromne te dobra były dotąd dosyć licho administrowane i skutkiem tego gospodarstwo szwankowało. Knut zaczął od tego, że najął potrójną ilość czeladzi i robotników, wszystko urządził inaczej i włożył w to sumę, przekraczającą wyobrażenie mieszkańców doliny. Przepowiadano mu też niechybną ruinę.

Ale „cygan," jak go i teraz jeszcze zwano, był wesoły i ta wesołość udzieliła się też jego żonie. Cicha dawniej, smukła dziewczynka rozrosła się i przemieniła w tęgą kobietę. Rodzice byli zadowoleni. Teraz dopiero zrozumieli wszyscy, że Knut wniósł do Tingvoldu coś, czego tu dotąd nie znano, mianowicie — kapitał obrotowy.

Zarazem wśród długich włóczęg swoich nabrał dużo doświadczenia. Umiał obchodzić się z towarem i utrzymywać robotników i służbę w do-

brem usposobieniu i zachęcać do pracy. Wszystko złożyło się na to, że po latach dwunastu nie można było poznać dawnego Tingvoldu.

Budynki były nowe, ilość bydła potroiła się i wszystko wyglądało wyśmienicie, a Knut w długim szlafroku i z piankową fajką w zębach spędzał wieczory przy szklance grogu z kapitanem, pastorem i wójtem.

Astrid podziwiała go jako najmędrszego, najdzielniejszego człowieka w całym świecie i sama opowiadała, że w młodych latach tylko dlatego popijał i brał udział w bijatykach, by o nim szeroko mówiono.

Szła za jego przykładem we wszystkiem, tylko nie chciała zmienić stroju i sposobu życia i zachowała swoje chłopskie ubranie i przyzwyczajenia. Knut godził się, by każdy żył, jak mu wygodniej, przeto i pod tym względem panowała między nimi zupełna zgoda.

Spraszał znajomych, a Astrid im usługiwała. Zresztą ubierał się dosyć niepokaźnie, gdyż był za mądrym, by paradować swym majątkiem i żyć na wielkiej stopie. Niektórzy twierdzili, że przez grę w karty, oraz skutkiem stosunków i wpływu, jakie mu to daje, zarabia bez porównania więcej, niż się wydaje z pozoru, ale były to zapewne jeno plotki.

Mieli kilkoro dzieci, których dzieje nas nie obchodzą. Jeden tylko najstarszy, Endrid, spadkobierca majątku, przeznaczony był na to, by świetność rodu dalszym okryć blaskiem. Odznaczał się, jak wszyscy w rodzie, wielką pięknością, ale w głowie miał jeno tyle, ile starczyło na „domowy użytek", co zdarza się nader często u dzieci bogatych rodziców.

Ojciec zauważył to zaraz i postanowił brakowi temu zapobiec przez wyśmienite wykształcenie. Z tego powodu wziął do domu nauczycieli i Endrid, zaledwo dorósł, musiał uczęszczać do szkoły rolniczej, która właśnie pod ten czas została znacznie ulepszona, a potem wysłany został do miasta.

Wrócił do domu, jako cichy, nieco naukami przemęczony chłopiec, ale nie przyswoił sobie tych nawyknień wielkomiejskich, jakich spodziewał się po nim ojciec. Nauka także nie bardzo mu szła do głowy.

Zarówno kapitan, jak i pastor posiadali mnóstwo córek, zaczęli tedy spekulować na bogatego młodzieńca i z coraz to większą uprzejmością traktowali Knuta i nadskakiwali mu. Ale się mocno przeliczyli, bowiem Knut ani myślał żenić syna z biedną córką kapitana, czy pastora, nie mając pojęcia o wielkiem gospodarstwie i tak

niewiele z tych zabiegów robił, że nawet nie uznał za stosowne przestrzec syna.

Nie było to zresztą potrzebne, bo Endrid wiedział dobrze zarówno, jak ojciec, że ich ród musi zostać w inny sposób podniesiony, że musi wchłonąć w siebie krew drugiego rodu, równego wiekiem i znaczeniem.

Na nieszczęście był ów młodzieniec nieco niezręczny i niezaradny w tych sprawach, tak, że wszyscy poczęli mu niedowierzać. Rozniosła się fama, że jeździ rozglądać się za dobremi partjami, a jeśli komuś raz taką łatkę przyczepią, to spotyka się z odmową, gdyż chłopi są płochliwi.

Endrid spostrzegł to odrazu, bo chociaż nie był bardzo sprytny, posiadał dużą zdolność odczuwania sytuacji. Zauważył też, że położenia jego nie poprawia zgoła to, iż się nosi po miejsku i paraduje ze swoją, jak ją zwano, ,,cygańską mądrością.'' Miał dużo szlachetności i charakteru, oraz subtelności, przeto przykrości doznane tu i owdzie skłoniły go do stanowczego kroku. Wyzbył się miejskiego stroju i miejskich obyczajów, oraz manier i zaczął pracować u swego ojca, jako zwyczajny parobek.

Ojciec zrozumiał to wszystko, ba... prędzej jeszcze od syna, i poprosił żony, by na nic, co

czyni, nie zważała i by udawała, że tego nie spostrzega wcale.

Nie mówiła przeto z synem o małżeństwie. Nikt nie dał mu poznać, iż dostrzega zmianę, jaka w nim zaszła. Przeciwnie, ojciec zaczął go coraz bardziej wtajemniczać w swe plany powiększenia zakresu gospodarstwa i jego udoskonalenia, wprowadzał go zwolna w szczegóły i dawał wskazówki tak, że powoli cały zarząd przeszedł w ręce Endrida.

I nie pożałował tego. Endrid pracował, lata mijały, zaczynał już teraz trzydziesty pierwszy rok życia, powiększył majątek ojcowski, a zarazem nabrał doświadczenia, pewności i śmiałości w interesach. Przez cały ten czas nie uczynił ani jednej próby starania się o jakąś dziewczynę, zarówno w sąsiedztwie, jak i innych okolicach i rodzice zaczęli obawiać się, że może całkiem sobie żeniaczkę wybił z głowy.

Ale tak nie było. W sąsiedztwie mieszkała pewna rodzina, dosyć zamożna, zaliczana do pierwszych rodów okolicy, której członkowie niejednokrotnie przedtem już wchodzili w związki małżeńskie z Tingvoldami.

Była tam dziewczyna, z którą Endrid znał się dobrze już za lat dziecięcych i którą nawet lubił serdecznie. Niezawodnie zdawna już ją sobie

upatrzył na żonę, gdyż w pół roku po jej konfirmacji zaczął się starać o jej rękę. Miała wówczas lat siedmnaście, a on trzydzieści jeden.

Randi — takie miała imię — nie wiedziała w pierwszej chwili, co ma uczynić. Zwróciła się do rodziców, a ci złożyli całą sprawę w jej własne ręce. Powiedzieli, że Endrid jest zacnym człowiekiem, co do majątku zaś, to nie może nigdzie znaleźć bogatszego męża. Coprawda różnica wieku jest znaczna i niewiadomo, czy podoła gospodarstwu na tak wielkim obszarze, oraz czy potrafi wżyć się w nieznane stosunki. Sama musi to rozstrzygnąć i zadecydować — mówili — wszakże o nią samą tutaj wyłącznie idzie.

Randi pojęła, że rodzicom nie zależy, by powiedziała: tak, a nie chcą też, by odmówiła. Sama zaś nie wiedziała, co ma począć.

Udała się przeto wprost do matki Endrida, wiedząc, że ją lubi. Była pewna, iż matka wie o zamiarach syna, spostrzegła jednak ze zdumieniem, że jest inaczej, że nic nie wie. Matka uradowała się bardzo i najgoręcej zaczęła ją namawiać, nalegać nawet, by się zgodziła.

— Pomogę ci! — powiedziała. — Ojciec nie chce brać w tem udziału, ma dosyć dla siebie i nie chce, by dzieci czekały na jego śmierć. Podzieli się zaraz cały majątek, nam przypadnie cząstka,

z której będziemy żyli, a po naszej śmierci i ona pójdzie do podziału. Widzisz przeto, że z naszej strony nie spotka cię żadna przeciwność.

Tak, Randi wiedziała, że Astrid i Knut są to ludzie dobrzy i mądrzy.

— I Endrid — dodała matka — jest mądry i dobry!

W istocie tak było i Randi nie obawiała się żadnych przykrości z jego strony. Nie była tylko pewna, czy zdoła wżyć się w stosunki.

W kilka dni później wszystko zostało ułożone. Endrid był zadowolony i rodzice również. Rodzina narzeczonej zażywała szacunku, dziewczyna była piękna i rozumna, tak, że pod tym względem stanowiła może najlepszą partję w całej okolicy.

Wesele, które rodzice stron obu ułożyli, miało odbyć się w jesieni, bo nie było powodu zwlekać z tem długo.

Ale ludzie nie wzięli tej sprawy w ten sposób, co sami zainteresowani. Osądzono powszechnie, że młoda, ładna dziewczyna „sprzedała się". Była tak młoda, że zaledwo wiedziała, co znaczy małżeństwo, i stary Knut pchnął syna w konkury przedtem, zanim inni spostrzegli się, że dziewczyna jest dojrzała. Wszystko przypisywano jego chytrości.

Coś niecoś z tej gadaniny doszło do uszu Randi,

ale Endrid okazywał jej tyle miłości i czynił to w sposób tak pokorny niemal, że nie chciała z nim zrywać. Mimo to stosunki ich się oziębiły nieco. Rodzice słyszeli oczywiście te plotki i zawistne uwagi, ale udawali, że nic nie wiedzą i uznali, że wszystko jest w porządku.

Wesele miało być szumne, dlatego nawet może, by zadać kłam pogłoskom i samej Randi było to na rękę. Zaproszono oczywiście także zwykłych towarzyszy Knuta, kapitana, pastora i wójta z rodzinami i mieli oni wziąć udział w pochodzie weselnym do kościoła.

Z tego powodu nie chciał Knut muzykantów. Uważał to za zwyczaj przestarzały i zanadto chłopski. Ale Astrid obstawała przy tem, by rodzinny marsz towarzyszył państwu młodym zarówno w pochodzie ślubnym jak i z powrotem. Zanadto kochała ten marsz, by miała go nie przypomnieć sobie na weselu własnego syna.

Knut nie zajmował się poezją i tym podobnemi rzeczami, przeto zostawił wolną wolę żonie, a Astrid dała znać rodzicom Randi, by zamówili muzykantów i kazali im grać dawny marsz, który długo spoczywał w zapomnieniu, bo pokolenie ostatnie pracowało w ciszy, bez muzyki i śpiewek. Przyszedł jednak czas właściwy i marsz wrócić musiał do swych praw.

W dniu wesela padał, niestety, zimny, jesienny deszcz i muzykanci, nie odegrawszy pod dachem marsza, w chwili wychodzenia orszaku, musieli pochować skrzypki. Wydobyli je z ukrycia dopiero w chwili, gdy usłyszano dzwony kościelne, a i tak musiał za każdym z nich stać chłopiec z parasolem. Skuleni pod tym nakryciem, trzęsąc się z zimna, rżnęli dzielnie starodawnego marsza.

Naturalnie w tych warunkach, w gęstem, mokrem powietrzu nie mógł rozbrzmiewać wesoło, to też orszak ślubny wcale nie miał radosnego nastroju. Pan młody siedział skulony z cylindrem na kolanach, w kapuzie na głowie. Miał na sobie kaftan z jałowiczej skóry i trzymał parasol nad panną młodą, spowitą w niezliczoną ilość chustek, osłaniających suknię ślubną i wianek mirtowy, oraz welon. Była ona w tem wszystkiem raczej podobna do kopy siana, niż do ludzkiej istoty.

Przybyli nakoniec. Podjeżdżał wóz za wozem. Mężczyzni ociekali od wody, kobiety okryte były chustkami, a cały orszak podobny był do maskarady tak, że nie widziano ani jednej znajomej twarzy, tylko same pochylone pałuby złożone ze szmat i skór.

Przed kościołem był wielki tłum. Wszyscy zbiegli się, by widzieć wspaniały orszak weselny. Na widok zajeżdżających rozległy się śmiechy,

zrazu ciche, potem coraz śmielsze i głośniejsze.

Przed udaniem się do kościoła musiano nieco uporządkować stroje. Wozy stanęły przeto przed wielkim budynkiem. Pod jego ścianą stał właśnie przekupień wędrowny, wesoły drapichrust, imieniem Aslak. Wlazł, by lepiej widzieć, na wóz siana, wsunięty pod przybudówkę dla ochrony przed deszczem. W chwili, kiedy pannę młodą zesadzano z wozu, roześmiał się Aslak i zawołał głośno:

— Niech mnie djabeł porwie, jeśli stary Ole dzisiaj za grosz ma radości, słysząc swój marsz weselny!

Ludzie roześmiali się. Przeważna liczba uczyniła to skrycie, ale tem lepiej zrozumieli wszyscy, o co idzie Aslakowi i co znaczy jego powiedzenie.

Kiedy rozebrano pannę młodą z całej masy chustek, spostrzeżono, że była blada. Płakała, próbowała się uśmiechać, znowu wybuchała płaczem i nakoniec oświadczyła krótko i węzłowato, że nie pójdzie do kościoła.

Nastało zamieszanie, a Randi musiano położyć do łóżka, gdyż dostała takiego ataku płaczu, że wszyscy zatrwożyli się o jej zdrowie. Rodzice stali u jej łoża i kiedy ich poprosiła, by jej

nie zmuszali do ślubu, oświadczyli, że może czynić, co jej się podoba i co uważa za stosowne.

Nagle ujrzała Endrida. Nie widziała w życiu nic podobnie nieszczęśliwego, wprost bezradnie zrozpaczonego, jak ten człowiek. Gdyby wykonała swój zamiar, zniszczyłaby całą jego przyszłość. Obok niego stała matka. Nie powiedziała nic i twarz jej nie drgnęła nawet. Ale łza jedna za drugą toczyła się po jej policzkach i patrzyła bez przerwy na Randi. Wówczas dziewczyna podniosła się na łokciach, przez chwilę patrzyła przed siebie, łkając cicho, a potem powiedziała:

— Nie... nie... pójdę... zaraz pójdę!

Padła znów na łóżko, płakała przez chwilę gorzko, potem jednak wstała. Prosiła tylko, by nie grano marsza i wogóle nic, a życzeniu jej stało się zadość. Odprawiono zaraz muzykantów, ale źle uczyniono, bo, wmieszawszy się w tłum, powiększyli tylko plotkowanie.

Bardzo ponuro wyglądał udający się do kościoła orszak weselny. Deszcz sprawił coprawda, że zarówno twarz panny młodej, jak i pana młodego nie były wystawione na ciekawość gawiedzi, aż do samych drzwi kościelnych, ale czuli, że idą przez pletnie i że sami nawet członkowie orszaku odczuwają wielką przykrość, iż muszą się tutaj znajdować.

Grób starego Ole, znanego ogólnie muzykusa, znajdował się w pobliżu drzwi kościelnych. Istniała cicha umowa wśród mieszkańców doliny, że ten grób winien być stale utrzymywany w porządku. To też ile razy zbutwiał krzyż, zaraz zjawiał się nowy. A każdy miał kształt koła, z którego wychodziły cztery ramiona, niby sprychy. Tak nakazał sam Ole. Grób mieścił się w pełnem słońcu i rosły na nim polne kwiaty.

Każdy, kto raz spojrzał na ten grób, wiedział od jednego, lub drugiego znajomego, że pewien botanik, który przybył tutaj na koszt państwa i zbierał wszystkie kwiaty, rosnące w całej dolinie dla zbadania, jakie się w niej mieszczą, znalazł na tym właśnie grobie takie gatunki, jakich niepodobna wykryć w obwodzie kilkunastu mil wokoło.

Miało to ten skutek, że chłopi, spoglądający dotąd z pewną pogardą na to, co zwali poprostu zielskiem, lub chwastem, teraz z pewnego rodzaju szacunkiem, a nawet zabobonną trwogą rzucali oczyma na kwiaty. Niektóre były rzeczywiście dziwnie piękne.

Kiedy młoda para przechodziła koło grobu, uczuł Endrid, że dłoń Randi silnie zadrżała w jego uścisku. Wydało jej się bowiem, że Ole Haugen dnia tego wstał z grobu i stoi tuż obok niej jako

duch. Rozpłakała się, płacząc weszła do kościoła i płakała jeszcze w chwili, gdy zajęła swoje miejsce.

W ten sposób, jak dawno pamiętali najstarsi, nie wchodziła do kościoła tego jeszcze żadna panna młoda.

Siedziała i czuła doskonale, że teraz potwierdza się głucha wieść, krążąca wszędzie, iż się „sprzedała". Niesłychany wstyd, jaki stąd spadał na rodziców, sprawił, że skamieniała na chwilę ze strachu i łzy przestały płynąć z jej oczu.

Ale przy ołtarzu jakieś słowo pastora, opacznie zrozumiane, wprawiło ją w straszne podniecenie i naraz przygnębiło ją wszystko to, czego doznała w ciągu tego dnia. Wydało jej się, że odtąd nie będzie śmiała spojrzeć ludziom w oczy, a zwłaszcza własnym rodzicom.

Pod tem wrażeniem zostawała przez całą resztę dnia i nie mogła też siedzieć przy stole podczas uczty weselnej, a gdy ją prośbami i pogróżkami zmuszono, by siadła wieczorem do stołu, zepsuła nastrój całego towarzystwa i musiano ją wkońcu położyć do łóżka.

Wesele, które miało trwać cały tydzień, skończyło się smutnie tego samego jeszcze wieczora.

— Panna młoda zasłabła! — tak powiedziano wszystkim.

Mimo, że nikt temu nie wierzył, było to jednak zupełną prawdą. Randi nie była zdrową i nigdy nie odzyskała zdrowia, a skutkiem tego dała życie chorowitemu dziecięciu.

Rodzice kochali je, oczywiście, bardzo, goręcej może nawet niż gdyby było zdrowe, bo uważali siebie samych za winowajców. Nie zajmowali się nikim i niczem poza dzieckiem. Nie chodzili nawet do kościoła, bojąc się ludzi. Przez dwa lata pozostawił im Bóg tę pociechę, a potem pozbawił ich i tego.

Pierwszą myślą, która im przyszła, gdy ocknęli się z oszołomienia bólu — było to, że zapewne nadmiernie kochali swe dziecko i dlatego je właśnie stracili. Gdy niedługo potem przyszło na świat drugie, obawiali się kochać je, unikali poprostu tej miłości, która zabija. Ale dziecko, zrazu słabowite, zmężniało potem i przyszło do siebie, tak, że przemogli strach i otoczyli je gorącą miłością. I znowu poweselało wszystko w ich domu i duszy. Gdy patrzyli na to drugie dziecko, zapominali na chwilę o pierwszem. Gdy doszło do dwu lat życia, — zmarło nagle.

Pierwszą ich myślą po tym ciosie było, że zanadto kochali swe dziecko i dlatego zostało im zabrane. To też nie śmieli już tak kochać następnego.

Są na świecie wybrańcy cierpienia, jak są wybrańcy szczęścia. Ci pierwsi żyją zazwyczaj samotni i nie potrzebują ludzi. Świadczą oni wymownie, że istnieje jeszcze w sercach wiara i rezygnacja. Teraz jeszcze bardziej, niż przedtem zwrócili się do Boga i obcowali wyłącznie z nim. Życie w Tingvoldzie płynęło cicho oddawna, teraz stało się tam tak uroczyście, jak w kościele przed ukazaniem się kapłana. Pracowali jednostajnie i bezgłośnie, a w godzinach odpoczynku modlili się i myśleli o pomarłych dzieciach swoich. Tej monotonji nie przerwał wcale fakt, że Randi niebawem urodziła znowu córkę. Dwaj poprzedni, chłopcy, zabrali z sobą całą miłość rodziców, trzecie dziecko było i z tego powodu mniej pożądanem, iż było córką. Zresztą nie wiedzieli, jak długo pożyje. Ale zdrowie i pogoda matki, jaką się cieszyła przez całe niemal ostatnie dwa lata, aż do śmierci drugiego chłopca, wyszły trzeciemu dziecku na dobre.

Okazało się, że była to dziewczynka niezmiernie wesoła, żywa i posiadała w pączku całą piękność matki. I znowu zakradła się pokusa do ich serc. Osamotnieni, zaczęli wahać się, czyby nie zbudować na nowej podstawie szczęścia i wesela. Czekali fatalnego drugiego roku życia córki, a gdy minął szczęśliwie, wydało im się, że uzyskali od

Boga jeno krótką zwłokę. Nie mieli odwagi uwierzyć.

Rodzice żyli zdała od nich, albowiem nastrój obojga nie znosił pociechy ze strony innych i cudzej wesołości. Pozatem Knut był światowcem, człowiekiem żywym, ruchliwym, nie mógł długo wytrzymać w domu żałoby, nie mógł też zmusić się do punktualnego uczęszczania na nabożeństwo i śpiewania nieskończonych psalmów. Przeniósł się tedy do innego folwarku, który posiadał i dotąd wypuszczał w dzierżawę. Objąwszy gospodarstwo, urządził wszystko tak wyśmienicie i pięknie dla swej umiłowanej Astrid, że, chociaż przywiązana była do Tingvoldu, została na nowem locum i śmiała się wraz z mężem, miast płakać z synem i synową.

Pewnego dnia przybyła Astrid w odwiedziny do synowej. Zobaczyła małą Mildrid i przekonała się, że dziecko pozostawione jest samemu sobie, gdyż matka boi się poprostu dotknąć córki. Podobnie, gdy się zjawił ojciec, zauważyła, że patrzy na nią ponuro i waha się, czy ma jej okazać przywiązanie, mimo że była jedynaczką i posiadała jego serce.

Nie powiedziała nic, ale, powróciwszy do swego ukochanego Knuta, przedstawiła mu szczegółowo cały stan rzeczy. Sprawy szły bardzo złym

torem wedle jej zdania i powzięła przekonanie, że — tam — jest jej miejsce. Mała Mildrid musi mieć kogoś, którzyby był jej radością i komuby mogła oddać swe serduszko, bo szkoda, by zmarniała dziewczynka taka śliczna i dobra.

Knut, nawykły szanować i cenić zdanie żony, spakował manatki i przeniósł się z powrotem do Tingvoldu, o którego całość zaczął się zresztą także obawiać.

Mildrid dostała się więc pod opiekę dziadków, którzy uczyli jej rodziców, jak należy kochać dzieci. Gdy Mildrid miała lat pięć, narodziła się jeszcze jedna córka, która otrzymała imię Beret i Mildrid pozostała na wyłącznej pieczy Astrid i Knuta.

Teraz odważyli się nieszczęśliwi rodzice znowu żyć i wierzyć. Przyczynił się bardzo do tego inny nastrój, jaki teraz zapanował w całym domu. Po stracie drugiego dziecka, widzieli wszyscy zapłakane oczy obojga, ale płaczu ich nie widział nikt, gdyż się z tem kryli.

Spokojne, bogobojne życie w Tingvoldzie utrzymywało służbę na folwarku w stosunku pełnym czci dla właścicieli i wszyscy chwalili swych chlebodawców. Czuli to oni sami. Zrazu rzadko, potem coraz częściej zaczęli ich odwiedzać krewni i przyjaciele i wizyty nie ustawały, mimo że ich nie oddawali.

Nie byli w kościele od dnia ślubu. Komunję przyjmowali u siebie w domu, sami też odprawiali nabożeństwo. Ale gdy przyszła na świat druga dziewczynka, zapragnęli trzymać ją sami do chrztu i odważyli się pójść do kościoła. Byli razem na grobach swych chłopców i nie sprawiło to na nich przygnębiającego wrażenia. Przystanęli też w milczeniu nad mogiła Ole Haugena, a wszyscy spotykani okazywali im szacunek.

Ale żyli dalej cicho i samotnie i święta cisza zaległa ich dom.

Mała Mildrid przebywała u babki. Pewnego dnia zaczęła niespodzianie śpiewać — marsz weselny. Astrid, przerażona, przerwała jej i spytała kto ją tego nauczył. Dziecko odparło, że nauczyło się od niej samej.

Stary Knut, będący właśnie w pokoju, wybuchnął serdecznym śmiechem. Słyszał on niejednokrotnie, jak żona nuciła sobie zcicha przy robocie ów marsz rodzinny. Ale prosili oboje małej, by nigdy nie śpiewala tej melodji przy rodzicach, gdyż sprawiłoby im to wielką przykrość. Dziecko spytało, jak zwykle lubią pytać dzieci:

— Dlaczego?

Ale nie otrzymało na to odpowiedzi.

Pewnego dnia usłyszała Mildrid, że nowo przybyły parobczak, rąbiąc drzewo w podwórzu, śpie-

wał zabronioną pieśń. Powiedziała to babce. Babka usłyszała to również i rzekła:

— Ten chłopak nie zagrzeje tu miejsca!

Nazajutrz parobczak został oddalony. Nie powiedziano mu dlaczego — otrzymał zapłatę i musiał się wynosić.

Ale rozciekawiło to małą Mildrid do tego stopnia, że nie dawała babce spokoju, póki jej nie opowiedziała historji owego marsza weselnego.

Ośmioletnia dziewczynka zrozumiała wszystko doskonale, a czego nie pojęła zrazu, wyjaśniło jej się potem. Marsz oddziałał tak na jej wiek dziecięcy, jak nic innego i siła ta przetrwała przez całe życie. Unormowało to jej stosunek do rodziców.

Dzieci odgadują wszystko instynktem w najmłodszych nawet latach i mają dużo współczucia dla nieszczęśliwych. Mildrid pojęła, że rodzice pragną ciszy. Nie przyszło jej to z trudnością. Byli oni tak łagodni, mówili ciągle przyciszonym głosem o wielkim przyjacielu dzieci, który mieszka w niebie, że czar jakiś kładł się na całym pokoju i całym domu.

Dzieje marsza weselnego pozwoliły jej wniknąć w cierpienia rodziców i przejścia ich życia. Tych bolesnych wspomnień nie tykała nigdy, omijała je troskliwie i stała się powściągliwą, bogobojną, prawdomówną i pracowitą. Delikatności tej wy-

uczyła także siostrę swą, Beret, gdy zaczęła podrastać — bo instynkt wychowawczy kobiecy budzi się nader wcześnie w dziewczętach.

Zato gdy była z dziadkami, wybuchała w niej radość życia i żądza ruchu, które musiała kryć przed rodzicami. Tutaj śpiewano, tańczono, grano i rozpowiadano sobie przeróżne bajki. Dorastające dziewczęta dzieliły swój czas między kochanych, cichych rozmodlonych rodziców, a wesołych, ochoczych, szczodrobliwych dziadków. Żadna strona nie była nigdy pokrzywdzoną. Często rodzice sami zachęcali córki, by szły poweselić się ze starymi, a ci znowu po zabawie odsyłali je rodzicom, napominając, by się zachowywały cicho i były „rozsądne" w pokojach rodzicielskich.

Dziewczyna kilkunastoletnia, biorąca w opiekę siedmioletnią siostrę i wtajemniczająca ją we wszystkie swe myśli i uczucia, może być pewną zupełnego przywiązania i oddania się młodszej. Ale ta młodsza dojrzewa przed czasem skutkiem tego stosunku. Mildrid pozyskała miłość Beret, a sama nauczyła się pobłażania, towarzyskości, nabyła zdolności odczuwania innych i umiejętności pocieszania, co jest sztuką bardzo trudną.

Nie mamy nic więcej do powiedzenia o tych czasach i wracamy do Mildrid dopiero, kiedy skończyła lat piętnaście. W onym to czasie zmarł

stary Knut. Stało się to prędko i śmierć miał lekką. Niemal nie było przejścia między życiem a śmiercią. Siedział w izbie, śmiał się i żartował, a za chwilę był już nieboszczykiem.

Od tej pory całą radością Astrid było widzieć siedzącą u stóp swych na małym stołeczku ukochaną Mildrid. Stołeczek był już dla niej za mały, ale nawykła doń z czasów dziecięcych. Siedziała tak godzinami, a babka opowiadała jej o dziadku, albo razem nuciły sławetny marsz weselny. Słysząc go, Astrid widziała wyraziste rysy twarzy i ciemne włosy Knuta. Śledziła go jak szedł z bydłem na hale, jak trąbił na lurze ów marsz, potem widziała się obok niego na wozie, jadącą do kościoła... słowem przy dźwiękach niezapomnianych tonów odżywała przed oczyma jej duszy cała długa, szczęsna przeszłość.

Inaczej oddziaływały te tony na duszę Mildrid. Siedząc pewnego dnia u stóp Astrid, dziewczyna spytała nagle samej siebie:

— Czy i mnie zagrają kiedyś tego marsza? — Od momentu, kiedy pytanie to zjawiło się w jej umyśle, z każdym dniem nabierało wyrazistości i przenikało głębiej. Marsz weselny stał się dla niej symbolem niepojętego, mieniącego się tęczowo, urocznego szczęścia. Widziała się przystrojoną w djadem ślubny, a od nieba

płynęło coś, niby welon, w nieprzejrzaną dal przyszłości, stało się długą drogą, na którą wstąpić miała.

Mildrid miała lat szesnaście i pytała:

— Czyż kiedyś przy dźwiękach tego marsza pojadę u boku jakiegoś pięknego młodzieńca?... Rodzice za mną postępują weseli... tłum ludzi śle pozdrowienia... wysiadamy... wychodzimy z owego domu, gdzie tak płakała matka... mijamy zarośnięty kwiatami grób Ole Haugena... idziemy do ołtarza szczęśliwi, upojeni... O, gdybym też kiedyś mogła ojcu i matce sprawić tyle radości! — Jej młodociane serduszko rozkoszowało się obrazami fantazji, dumą i miłością dla biednych, posmutniałych rodziców.

Tych wszystkich myśli nie zwierzyła siostrze. Potem przyszły nowe i coraz to nowe, a nie dzieliła ich z Beret, która zaczynała dwunasty rok życia. Beret spostrzegła niebawem, że jest osamotniona, że coś ją od siostry odsuwa. Nie wiedziała, że to były właśnie owe myśli, których w całej pełni odczuć nie mogła, a spostrzegła to dopiero, gdy ją wyparła — inna dziewczyna. Była to niedawno zaręczona krewna, ośmnastoletnia Inga, mieszkająca w sąsiedztwie.

Ile razy widziała Beret, jak Mildrid wędruje z Ingą po polach, objąwszy ją wpół, jak to czynić

lubią dziewczęta — tyle razy uczuwała taką zazdrość, że łzy spływały jej z oczu.

Mildrid zaczęła uczęszczać na naukę konfirmacyjną. Przy tej sposobności zapoznawała się z innemi dziewczętami swego wieku i nowe znajome zjawiały się w Tingvoldzie niemal każdej niedzieli. Spacerowały wówczas po polach, albo przesiadywały u babki. Tingvold było dla młodzieży nader pożądanem, ale zamkniętem i niedostępnem miejscem. Wpuszczano tam tylko niektóre dziewczęta, odznaczające się cichem, łagodnem usposobieniem, a Mildrid, sama będąc taką, dobierała pokrewne sobie duchem przyjaciółki.

W onym czasie młodzież lubiła śpiewać. Nie zawsze tak bywa i nie jest to wcale objaw przypadkowy. I zawsze w takim czasie ogólnego wesela zjawiają się przywódcy, którzy stoją na czele z chorągwią ochoty. Zdarzyło się, że ponad wszystkich wybił się właśnie potomek starego Ole Haugena.

Nigdy nie wygasa i wygasnąć nie może sztuka u ludu, u którego raz, choćby przed setkami lat, przejawiła się dążność ogólna, ogarniająca mężczyzn i kobiety, starych i młodych — wyrażania swych najistotniejszych, najbezpośredniejszych uczuć w śpiewie, czy poezji, rzuconej na podkład

muzyki, to jest w pieśni, której słowa powstały na rodzimym gruncie. Choćby pozornie przygasła, to tkwi tu, czy tam i zbudzić ją można łacno.

W dolinie Tingvoldu śpiewano i układano pieśni od niepamiętnych czasów, a Ole Haugen nie powstał z niczego i nie nadarmo urodził się tutaj. Wnuk jego, prawowity spadkobierca, był tym, który otrzymał dar pieśni. Syn Ole Haugena był dużo młodszy od córki, która wyszła za właściciela Tingvoldu, tak że trzymała go do chrztu już jako mężatka i matka.

Po różnych, zmiennych kolejach losu, jako stary już człowiek, otrzymał w spadku mały kawałek ojcowskiej ziemi u podnóża gór i — dziwna rzecz — dopiero wówczas pojął żonę. Miał kilkoro dzieci, a pośród nich syna, który na chrzcie otrzymał imię Jana. On odziedziczył zdolności dziada, ale nie grywał na skrzypcach jak on, tylko śpiewał stare i układał nowe piosenki.

Skłonność ową wrodzoną powiększyła jeszcze okoliczność, że chociaż żył wśród ludzi doliny, mało kto go znał osobiście. Byli tacy, którzy go nigdy nie oglądali na oczy, mimo że śpiewali jego pieśni. Ojciec Jana był zawołanym myśliwym i chłopcy nie dorośli jeszcze, a już brał ich ojciec ze sobą do lasu, w góry i tam, uczepiony do ja-

kiejś turni, uczył ich celować i strzelać, a największą radością malców było, gdy mogli ubić zwierzynę, którąby mogła pokryć wydatek na proch i śrut zużyty.

Tyle ich tylko zdołał wykształcić. Żona zmarła wkrótce po nim, a opuszczone i pozostawione samym sobie dzieci musiały własnym przemysłem zarabiać na chleb powszedni. I to czynili. Chłopcy polowali, dziewczęta uprawiały niewielki kawałek pola u stóp góry i do rzadkości wielkich zaliczano, kiedy któreś z nich pokazało się w dolinie.

Zdarzało się to zaledwo kilka razy do roku, bo w zimie ścieżki leśne były zasypane śniegiem, a zima trwała tam długo. Zadawalniali się wędrówkami do miasta, gdzie sprzedawali upolowaną zwierzynę i skóry, lub wysyłali dalej w świat, a w lecie zarobkowali jako przewodnicy, wędrując po górach z turystami, którzy coraz to napływali w te okolice.

Osiedle ich położone było najwyżej i słynęło szeroko z doskonałego górskiego powietrza, bardzo korzystnego dla cierpiących na piersi, a wiadomo, że niema lekarstwa na tę chorobę ponad powietrze. To też z roku na rok coraz to więcej kuracjuszów zarówno z doliny, jak i okolicy i miasta udawało się do Haugenów, a często trafiali się przybysze z zagranicy, ludzie majętni i nie liczący się z gro-

szem. Haugenowie urządzili dla nich kilka stancyj, ale wnet wszystkie się zapełniły.

Biedna do niedawna rodzina, żyjąca zaledwo, doszła w krótkim czasie do dobrobytu, a częste obcowanie z ludźmi światłymi i wykwintnymi wpłynęło bardzo dodatnio na ich zachowanie i podniosło wykształcenie. Umieli się nawet rozmówić od biedy w obcych językach. Przed kilku laty nabył Jan od rodzeństwa rodzinne osiedle, wyposażył siostry i spłacił braci, tak że całe gospodarstwo było teraz wyłączną jego własnością. W onym czasie miał dwadzieścia ośm lat.

Nigdy nie był w Tingvoldzie i noga jego tam nie postała. Ani Randi, ani Endrid nie zabraniali mu tego, ale nie mogli ścierpieć zarówno odwiedzin krewnych, jak marsza weselnego. Przy jakiejś sposobności dowiedział się o tem ojciec Jana, a Jan zabronił surowo rodzeństwu pokazywać się w Tingvoldzie.

Ale żądne śpiewek tingvoldzkie dziewczęta marzyły o tem ustawicznie, by go poznać i wstydziły się wprost za rodziców, że unikają stosunków z ubogą rodziną swoją. To też rozmawiano tam o Janie, jego braciach i jego pieśniach dużo, chętniej i częściej, niż o czemkolwiek innem. Śpiewano je bez końca, dobijano się o nowe, bębniono i wygrywano je z zapałem i dziewczęta

knuły bez końca fantastyczne, nieziszczalne plany, jak postąpić, by raz nakoniec zobaczyć wesołego górala Haugena.

Onego to rozśpiewanego, wesołego czasu, została Mildrid konfirmowaną i miała teraz około siedmnastu lat. Przedtem, a i jakiś czas potem także, życie jej płynęło cicho i spokojnie, ale z wiosną zmieniło się wszystko, bowiem miano posłać ją w lecie z bydłem na hale. Tak czyniły z reguły wszystkie dziewczęta po konfirmacji. Mildrid uradowała się bardzo, zwłaszcza że ukochana jej Inga miała udać się właśnie na halę sąsiednią.

Odtąd nie mogła znaleźć sobie miejsca w domu, pragnęła zaraz udać się w góry. Gdy tam przybyła wraz z Beret, na której nieznany świat uczynił wielkie wrażenie, ogarnął ją znagła dziwny niepokój. Zajęła się gorliwie bydłem, dojem i pracą w mleczarni, ale miała pozatem dużo wolnego czasu i nie wiedziała co z nim zrobić. Po całych godzinach przesiadywała z Ingą, która jej opowiadała o swoim narzeczonym. Słuchała czasem chętnie, to nowu przez kilka dni unikała przyjaciółki. Gdy się Inga pokazała, radość jej była wielką i zasypywała ją czułościami, jakby chciała nagrodzić oziębłość, ale po krótkim czasie miała jej dość.

Z siostrą mówiła teraz rzadko i gdy Beret zadawała jej pytania, odpowiadała krótko: tak, lub — nie! Biedna Beret płakała często, odchodziła do bydła i włóczyła się z pastuchami po halach. Mildrid czuła, że w tem wszystkiem coś tkwi i że stosunek jej do siostry zmienił się, ale mimo usiłowań nie mogła nawiązać serdecznych nici.

Pewnego dnia siedziała w pobliżu kamiennego wału, brzeżącego pastwisko. Kilku pastuszków korzystało z jakiejś okazji, by opuścić młode jałowice i pójść bąki zbijać, musiała je tedy paść sama. Było to już około południa i słońce dogrzewało. Siedziała w cieniu pod skałą, porosłą krzewiną. Zdjęła gorset i wzięła się do roboty na drutach. Czekała na Ingę. Nagle usłyszała za sobą szelest:

— Idzie! — powiedziała do siebie i obejrzała się.

Ale hałas był za silny, by go mogła sprawić Inga, gałęzie się rozsunęły, pękły grubsze konary i Mildrid zerwała się, pobladła i przerażona. Ujrzała coś kosmatego, wielkiego, z dwoma świecącemi punktami oczu...

— To niedźwiedź! — pomyślała.

Chciała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć głosu z gardła. Chciała uciekać, ale nie mogła się ruszyć z miejsca.

Nagle owa postać kosmata podniosła się, wyprostowała i Mildrid ujrzała przed sobą rosłego, krępego mężczyznę w futrzanej czapce na głowie i strzelbą w ręku.

Stał i patrzał na nią bystro, a oczy mu błyszczały. Potem oczy te przygasły, przeskoczył kilka złomów skalnych i stanął przed nią na łące.

Nagle coś dotknęło jej nogi. Krzyknęła i spojrzała. To był pies, którego nie zauważyła dotąd.

— O! — powiedziała. — Myślałam, że to niedźwiedź, idący przez haszcze, i przelękłam się strasznie!

Spróbowała uśmiechnąć się.

— Niczby to nie było dziwnego! — zauważył, a głos jego brzmiał miękko i melodyjnie. — Właśnie razem z Kwasem jesteśmy na tropie niedźwiedzia, to jest byliśmy, gdyż przepadł tutaj gdzieś w pobliżu, a jeśli prawdą jest, że i mnie towarzyszy jakaś potwora, to jest nią niezawodnie niedźwiedź.

Wśród ludu norweskiego utrzymuje się dotąd mniemanie, że każdemu człowiekowi towarzyszy niewidzialnie dzikie zwierzę, będące wyrazem jego charakteru.

Roześmiał się. Mildrid patrzyła nań. — Cóż to za człowiek? — myślała. — Wysoki, śmigły, o szerokich barach i oczach, tak zmiennych, że

nie można w nie patrzyć ni przez chwilę... I zjawił się przed nią tak nagle wraz z psem i strzelbą, jakby z pod ziemi wyrósł!

Była nieco przerażona i miała zamiar krzyknąć:

— Idź sobie!

Ale miast tego sama cofnęła się kilka kroków i spytała drżącym głosem:

— Któżeś ty?

— Jan Haugen! — odparł napół przytomny, bo spojrzeniem śledził właśnie psa, który, jak się zdało, odnalazł trop.

Zwrócił się żwawo ku niej, by się pożegnać, ale gdy na nią spojrzał, ujrzał, że zaczerwieniła się cała. Policzki, szyja, piersi... wszystko było czerwone, jak krew.

— Cóż ci to? — spytał zdumiony.

Nie wiedziała co począć, czy uciekać, czy się odwrócić, czy siąść.

— A ty kto jesteś? — spytał Jan.

Znowu oblala ją krew... Wszak powiedzieć kto jest, to znaczy wyznać wszystko!

— Któżeś ty? — spytał ponownie, jakby to całkiem naturalne pytanie koniecznie domagalo się odpowiedzi.

I nie mogła mu odmówić. Zawstydziła się bardzo za rodziców i siebie samą, że mogli wszyscy zaniedbać tak własną rodzinę. Musiała powiedzieć.

— Mildrid Tingvold! — szepnęła cicho i wybuchnęła płaczem.

Jan doznał dziwnego wrażenia.

Więc to — ona? Coprawda nie miał powodu żywić dla mieszkańców Tingvoldu zbyt przyjaznych uczuć i zapewne nie byłby się ukłonił nawet nikomu z nich, gdyby to od niego zależało, — ale to, co miał przed sobą, wyglądało zgoła inaczej.

Patrzył zdumiony. Przyszło mu na pamięć, jak przez mgłę, opowiadanie ojca o tem, jak to jej matka płakała przed ślubem...

— Może to już dziedziczne? — pomyślał i chciał odejść.

— Przebacz! — powiedział. — Nie chciałem cię przestraszyć — dodał i ruszył w ślad za psem. Szedł stromą ścieżyną bokiem hali.

W chwili, kiedy się odważyła spojrzeć, stanął właśnie na szczycie wzgórza i obejrzał się, chcąc ją raz jeszcze zobaczyć. Trwało to jeno moment, bo zaraz pies zaczął naszczekiwać po drugiej stronie, przeto drgnął, chwycił strzelbę i pobiegł spiesznie.

Mildrid stała jeszcze na tem samem miejscu i patrzyła w punkt, gdzie zniknął, gdy padł strzał.

— Czyż to niedźwiedź? — pomyślała. — Więc był tak blisko?

Wspięła się na wzgórze, gdzie on stał przed chwilą, przysłoniła oczy dłonią od słońca i spojrzała. Napoły zakryty krzakiem, klęczał pochylony nad wielkim niedźwiedziem.

Nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, przybiegła doń szybko. Uśmiechał się, widząc, że nadchodzi i głosem cichym, właściwym ludziom, którzy żyją samotnie, opowiadał jej jak się stało, że mógł stracić ślad niedźwiedzia, chociaż był tak blisko. Tłumaczył jej, dlaczego pies nie mógł zwęszyć zwierza, mimo że stał o kilka kroków od niego.

Słuchała, zapominając o swych głupich łzach, a on wyjął nóż, chcąc go zaraz sprawić. Mięso nie miało w tej porze roku żadnej wartości, umyślił je zakopać, a zabrać tylko skórę.

Pomagała mu w tej pracy jak mogła. Potem pobiegła do koleby, przyniosła siekierę i rydel i chociaż bała się niedźwiedzia i brzydki odór zapierał jej oddech, nie zaprzestała pomagać, aż wszystko było skończone.

Tymczasem nadeszło południe, a on sam zaprosił się do niej na obiad. Umył się sam, potem opłókał skórę, co nie było małą pracą, a ukończywszy całą tę operację, zaczął z kolei jej pomagać, gdyż ku wielkiemu wstydowi spostrzegła, że nie dokonała wszystkiego co trzeba.

Rozmawiali o tem i owem. Mówił z łatwością, lekko, przyjemnie, a głos jego był cichy, jak zawsze głos samotników. Mildrid odpowiadała krótko. Siedziała naprzeciwko niego przy stole i widok Jana sprawiał, że ani jeść, ani mówić nie mogła. Często też zapadało milczenie. Gdy się posilił, obrócił się na stołku, nabił fajkę tytoniem i zapalił. Teraz i on stal się małomówny, a po chwili wstał z miejsca.

— Mam daleką drogę do domu! — powiedział, wyciągając do niej rękę, i dodał:

— Czy codziennie siadujesz tam, gdziem cię dzisiaj spotkał?

Długo trzymał jej dłoń w swojej, jakby czekał odpowiedzi. Nie śmiała nań patrzeć, a tem mniej mówić. Naraz uczuła serdeczny uścisk.

— Dziękuję ci za dzień dzisiejszy! — rzekł łagodnym głosem i zanim mogła przyjść do siebie, odszedł. Po chwili widziała, jak kroczy przez halę ze skórą niedźwiedzia na ramieniu, strzelbą w ręku i psem przy boku. Postać jego rysowała się na horyzoncie, bo skały leżały pobok, a szybki krok niósł go żwawo wdal. Wyszła przed dom i śledziła go oczyma, aż zniknął za jakiemś drzewem.

Teraz dopiero zauważyła, że serce jej bije gwałtownie, tak gwałtownie, iż musiała przyciskać

je rękami. Po chwili leżała na trawie, a przez myśl jej zaczęły się przesuwać wszystkie wypadki onego dnia. Wspomniała, jak wynurzył się z krzaków, jak wyprostowany stanął przed nią. Czuła jego wyższość nad sobą, wstydem przejął ją jej strach, jej głupi płacz, widziała znów, jak stoi na szczycie wzgórza, oblany słońcem, słyszała bliski strzał, widziała jak klęczy przed nim, gdy zdejmował skórę — w uszach jej rozebrzmiało ponownie każde jego słowo, usłyszała miękki, cichy, śpiewny głos i serce jej na to wspomnienie zabiło znowu żywiej. Głos ten dolatał ją od strony ławki, gdzie siedział, kiedy gotowała i kiedy jadł. Czuła, że i teraz nie śmiałaby patrzeć nań, ni mówić i wprawiłaby go w takie samo zakłopotanie jak przedtem... że aż zamilkł. Wspomniała co mówił, żegnając się z nią, i odczuła na nowo uścisk jego dłoni. Zadrżała na to wspomnienie od stóp do głowy. Nakoniec widziała, jak odchodził...

Czy wróci? O nie! Zachowywała się niemożliwie! O jakże silne, męskie, wspaniałe było wszystko, co on czynił! Jakże marne, głupie, śmieszne to, co ona! Od pierwszego krzyku z powodu psa, aż do zaczerwienienia się i płaczu, od niezręczności, z jaką mu pomagała, aż do jedzenia, które nie było na czas gotowe!

Wszakże nie umiała nawet odpowiadać, choć czekał i patrzył na nią zdziwiony! A najgorsze było to milczenie, kiedy pytał, czy codziennie siaduje pod tą skałą! Przecież winna była powiedzieć, że — nie, że nie codziennie. Jej milczenie musiał wytłumaczyć sobie w ten sposób, że chce, że milcząco prosi go, by przyszedł i zobaczył! W ten sposób niewątpliwie wytłumaczył sobie całą jej niezaradność.

O, jakiż wstyd!

Paliło ją całe ciało, zwłaszcza twarz, to też kryła ją coraz głębiej w trawę. Leżała i raz jeszcze wywoływała sobie przed oczy poszczególne obrazy, wyobrażała sobie jego czyny i zestawiała je ze swoją niedołężnością, a uczucie zawstydzenia wzrastało coraz to bardziej.

Dzwonki, dolatujące zdala, oznajmiły powrót trzody, a Mildrid leżała ciągle jeszcze w tej samej pozycji. Na ich dźwięk zerwała się, by doprowadzić wszystko do porządku. Nadeszła Beret i spostrzegła zaraz, że coś zaszło. Mildrid stawiała niedorzeczne zapytania i dawała jeszcze głupsze odpowiedzi. Wogóle zachowywała się w ten sposób, że Beret zdumiewała się i patrzyła na nią przerażonemi oczyma. Przyszedł wieczór i siadły obie do jedzenia. Ale Mildrid powiedziała, że nie ma apetytu i wówczas Beret nastawiła

uszy, podobna do myśliwskiego psa, który coś węszy.

Beret zjadła kolację i rozebrała się. Spały w jednem łóżku. Mildrid się nie zjawiła, przeto Beret wstała, by zobaczyć, gdzie jest. Czyniła to kilkakrotnie, bo chciała się przekonać, czy Mildrid jeszcze siedzi przed domem i czy — sama siedzi! Siedziała jeszcze i ciągle sama.

Nastała godzina jedenasta, potem nadeszła północ, — pierwsza, a Mildrid siedziała dalej i Beret zasnąć nie mogła. Ale udała, że śpi, gdy siostra nakoniec wróciła, stąpając jak można najciszej...

Beret słyszała, że wzdycha ciężko, kładąc się do łóżka, że odmawia głosem głuchym modlitwę, z trudnością szepcąc wyrazy, nakoniec usłyszała wyraźnie, jak Mildrid powtarza kilka razy:

— Boże miłosierny, pomóż mi w tem! Pomóż mi, dobry Boże!

— W czemże to ma jej pomagać? — pomyślała Beret.

Nie mogła zasnąć. Mildrid przewracała się po pościeli z boku na bok, daremnie chcąc sobie znaleźć miejsce. Nakoniec, zwątpiwszy, by mogła spać, odrzuciła kołdrę, założyła ręce pod głowę i leżąc nawznak, wpatrywała się w ciemności. Więcej nie widziała ani nie słyszała Beret, gdyż sen ją zmorzył.

Gdy się rano zbudziła, nie było siostry w łóżku. Zerwała się. Słońce stało już wysoko, a bydło było dawno na paszy. Znalazła przyrządzone śniadanie, zjadła je więc pospiesznie, wyszła i zastała Mildrid przy pracy. Ale jakże mizernie wyglądała!

Beret powiedziała jej, by się pospieszyła i poszła z nią na halę, jeśli nie, to pójdzie sama. Mildrid nic nie odpowiedziała, ale Beret uczuła, że chce zostać sama, więc pokręciła się chwilę i poszła.

Mildrid odetchnęła z ulgą. Pospiesznie opłókała kadzie i skopki, resztę roboty zostawiając na potem. Umyła się potem, uczesała włosy, pobiegła do koleby, przebrała się, wzięła robotę i pospieszyła do skalnej ściany.

Nie przyniósł jej dzień nowy świeżych sił, gdyż niemal nie spała i dawno już nic nie jadła. Ciągle była w jakimś półśnie i wydało jej się, że nie poradzi sobie z tem, póki nie zajdzie na miejsce, gdzie się wszystko zaczęło.

Ale ledwo usiadła, zaczęła dumać, co on pomyśli, gdy ją tu spotka. Zerwała się na równe nogi. W tej samej jednak chwili ujrzała psa na skale. Zbiegł szybko i przybiegł w podskokach, machając ogonem.

Serce jej bić przestało. Tam, niedaleko, stał on, — jak wczoraj, oblany słońcem. Dziś przybył inną

drogą. Uśmiechnął się, skinął ręką i za chwilę był już przy niej.

Wydała lekki okrzyk i opadła na miejsce, skąd wstała, robota wypadła jej z ręki — odwróciła głowę.

Nie powiedział słowa. Usiadł obok niej w trawie, a pies ulokował się po drugiej stronie. Przyszło jej na myśl, że chociaż jest odwrócona, on widzi, że się rumieni. Oddychał ciężko i to jej się udzieliło. Miała wrażenie, że czuje oddech jego na swej ręce. Nie chciała, by mówił, ale strachem ją przejmowało jego milczenie. Wstydziła się okrutnie, iż ją tutaj zastał. Ale szkaradnie uczynił, że przyszedł i tak znienacka siadł przy niej.

Nagle pochwycił jej jedną rękę, potem drugą, tak że musiała się doń zwrócić, gdyż przyciągał ją coraz bliżej do siebie. Nie miała sił bronić się, opadła koło niego w trawę, a głowę złożyła na jego piersi. Czuła, że gładzi jej włosy, ale nie śmiała podnieść oczu. Uświadomiła sobie, że zachowanie jej jest niegodne i łzy jej zaczęły płynąć z oczu.

— Płaczesz — powiedział — a ja się będę śmiał, bo to, co nam się zdarzyło i płaczu i śmiechu godne! — Tak mówił, ale głos jego drżał.

Począł jej opowiadać szeptem, że kiedy wczoraj odszedł, wydało mu się, iż zbliża się do niej za

każdym krokiem. Przyszedł do domu, ale nie mógł się niczem zająć i Niemiec-turysta musiał sam gotować kolację, a on poszedł w góry. Przez całą noc wędrował, nad ranem wrócił na śniadanie i zaraz poszedł znowu. Ma — powiadał — lat dwadzieścia ośm, więc jest dorosły i uczuwa, że albo ją posiędzie, albo źle się z nim skończy.

Pędziło go coś na to miejsce, ale nie miał nadziei zastać jej tutaj. Zobaczywszy ją, zrozumiał, że podziela jego uczucia i postanowił rzecz rozstrzygnąć niezwłocznie.

Mówił jeszcze chwilę, potem podniósł jej głowę. Oczy jego połyskiwały, a ona musiała w nie patrzyć. Zarumieniła się i znowu złożyła głowę na jego piersi.

A on znowu mówił do niej szeptem. Słońce świeciło prostopadle po czubach drzew, wrzosy pachniały, brzozy drżały w lekkim powiewie wiatru, ptaki świegotały, a potok mruczał w pobliskich skałach.

Jak długo siedzieli, nie wiedziało żadne. Wreszcie spłoszył ich pies. Wędrował długo tu i tam, znowu wracał i kładł się na swoje miejsce. Teraz zerwał się i popędził, szczekając, wdół ku dolinie.

Wstali szybko i wytężyli słuch. Ale nie było nic widać. Spojrzeli po sobie i nagle Jan pochylił się i wziął ją na ręce.

Od czasu dzieciństwa nikt jej nie nosił. Było w tem coś, co ją przejęło poczuciem bezsiły. Spojrzała nań promiennie i otoczyła ramieniem jego szyję.

On był jej opiekunem, jej przyszłością, jej wieczystem szczęściem — musiała ulec temu uczuciu. Nie zamienili jednego słowa. On trzymał ją, ona jego. Zaniósł ją na poprzednie miejsce. Tam usiadł i przytulił ją do siebie. Odwróciła nieco głowę, by nie spostrzegł, że źle wygląda. Właśnie miał jej głowę zwrócić ku sobie, gdy tuż przed nimi rozległ się okrzyk pełen zdumienia:

— Mildrid!

Była to Inga. Przyszła tutaj śladem psa.

Mildrid zerwała się, podbiegła do przyjaciółki, otoczyła ramieniem jej szyję i położyła jej głowę na ramieniu. Inga ją objęła wpół.

— Któż on? — zapytała szeptem.

Ale Mildrid milczała.

Jan zbliżył się zwolna i wyciągnął do Ingi rękę.

— Myślałem, że mnie znasz, Ingo. Jestem Jan Haugen.

Mildrid położyła dłoń na jego ręku i spoglądała na przyjaciółkę napoły z zawstydzeniem i błogością.

Jan chwycił swą strzelbę i pożegnał się szybko. Na odchodnem szepnął Mildrid:

— Będę tu często przychodził!

Odprowadziły go obie nadół, na skłon hali i patrzyły, póki nie znikł w dali. Mildrid oparła się o Ingę, a ona zrozumiała, że o nic pytać nie powinna. Potwierdziła to Mildrid, mówiąc:

— Nie pytaj! Nie mogłabym mówić!

Po chwili wróciły do koleby. Tutaj przypomniała sobie Mildrid, że robota nietknięta. Zabrały się do niej obie żwawo. Przez cały czas nie mówiły prawie nic, chyba o tem, co dotyczyło samej pracy. Raz tylko zatrzymała się Mildrid i rzekła:

— Prawda, jaki on śliczny?

Zastawiła na stole obiad, ale sama jeść nie mogła, mimo że odczuwała potrzebę jadła i snu. Inga odeszła jak mogła najprędzej. Czuła, że Mildrid pragnie zostać sama ze sobą. Po jej odejściu rzuciła się na łóżko. Ale chciała odświeżyć sobie w pamięci wypadki dnia, chciała przypomnieć sobie wszystko, co mówił. Zamiast tego jednak zaczęła znowu badać swoje postępowanie i stwierdziła, że przez cały czas nie powiedziała jednego słowa... ani jednego!

Usiadła na łóżku. Cóż on sobie o niej pomyśli? Czyż nie co innego, jak to, że jest bezwolnem stworzeniem! Czyż przywiązanie jego wobec tego może długo potrwać?

Myśl ta nie dała jej spać. I znowu, jak wczoraj, usiadła przed domem.

Była przyzwyczajona zważać pilnie na swe postępowanie, a w tem, co uczyniła dziś i wczoraj, nie było za grosz zastanowienia, nawet przystojności! Wszakże należy trzymać swe uczucia w karbach. A cóż ona uczyniła? Oto oddała się bez gestu oporu człowiekowi, którego ujrzała wczoraj po raz pierwszy! On sam musi nią lada chwila pogardzić... Dlatego to nie śmiała powiedzieć ni słowa nawet przyjaciółce takiej, jak Inga!

Beret przybyła z pierwszym tonem dzwonka wracającej z pastwiska trzody. Zastała siostrę leżącą na ziemi. Kiedy po dobrej chwili Mildrid podniosła głowę, miała oczy zapłakane i wyraz cierpienia na twarzy. Natomiast Beret była czerwona, spocona i drżała od wzburzenia.

— Co ci jest? — zawołała Mildrid.

— Nic! — odparła Beret i patrzyła tak uporczywie w oczy siostry, że Mildrid musiała spuścić oczy. Wstała i zabrała się do roboty.

Znalazły się razem przy stole wieczorem. Mildrid przełknęła zaledwo parę łyżek, natomiast Beret jadła z wilczym apetytem. Połykała wszystko, jakby cały dzień nic nie jadła.

— Czyś dzisiaj nie jadła? — spytała Mildrid.

— Nie! — odparła Beret i jadła dalej.

— Czyś była z pastuchami? — spytała po chwili Mildrid.

— Nie! — odparła Beret.

— Nie! — odrzekli parobcy.

W ich obecności nie chciała pytać Mildrid, potem zaś wzburzone serce nie pozwoliło jej przesłuchiwać siostry. Zmilkła tedy i stało się to jeno dodatkowym wyrzutem i męką do mąk własnych, jakie przeżywała, siedząc nocą przed chatą.

Po kolacji położyła się Mildrid. Czuła jednak, że nie zaśnie i tej nocy. Biedna dziewczyna nigdy nie przeżywała nic podobnego. Modliła się tego wieczoru gorąco. Przerywała i zaczynała znowu. Odmawiała dawne modlitwy dziecięce, to znów modliła się swojemi słowami, a ustawicznie powracało na jej usta:

— Dopomóż mi, Boże miłosierny! Dopomóż mi!

Nagle Beret zerwała się na kolana i pochylona nad siostrą, szepnęła:

— Powiedz, jak on się nazywa?

Była podniecona, a oczy jej sypały iskry. Mildrid była tak znużona, że nie mogła odpowiadać.

— Jak się nazywa? — powtarzała Beret groźnie — Nie zapieraj się! Nic z tego! Śledziłam was dzisiaj przez cały czas.

Mildrid zasłoniła twarz rękami, ale Beret pochwyciła jej ręce i pochylając się niżej, pytała:

— Mów! Kto on?

— Beret! Beret! — prosiła Mildrid — Daj pokój! Wszak byłam zawsze dobra dla ciebie! Czemuż mnie dręczysz?

Beret puściła ją, ale nie mogla się uspokoić.

— Czy to Jan Haugen? — wyszeptała.

— Tak... — odparła po chwili Mildrid i zaczęła płakać.

— Czemu mi nic nie powiedziałaś? — spytała znów porywczo Beret.

— Sama nie wiedziałam, moja Beret! Nie widziałam go nigdy, aż do wczoraj! A gdym go tylko ujrzała, wziął mnie, jak swoją, bez oporu... To mnie właśnie gnębi, tak że chyba umrę!

— Nie widziałaś go nigdy przedtem? — zawołała Beret niezmiernie zdziwiona, a w głosie jej brzmiało niedowierzanie.

— Nigdy w życiu! Przysięgam ci!

Nagle objęła ją Beret za szyję i zawołała radośnie:

— O Mildrid... droga Mildrid... jakież to cudowne! Będę milczała, jak grób!

Przytuliła się do niej, ale zerwała się zaraz i powiedziała z wahaniem:

— Czy sądzisz, że nie potrafię milczeć, gdy o ciebie idzie, droga Mildrid?

Jęła płakać.

— Czemużto zaniedbałaś mnie w czasach ostatnich? Czemu wzięłaś miast mnie Ingę za przyjaciółkę? Ach, ileż się natrapiłam! Nie masz pojęcia jak cię kocham, Mildrid!

Ukryła twarz na piersiach siostry, a Mildrid objęła ją, ucałowała i zapewniła, że stało się to bez złego zamiaru, teraz jednak już jej nie będzie odsuwać, ale przeciwnie zwierzy się jej z wszystkiego. Gładziła jej włosy, a Beret odwzajemniała się siostrze, potem uklękła, spojrzała Mildrid w oczy przy mdłym brzasku letniego dnia i zawołała z zapałem:

— Mildrid! On jest prześliczny! Mów jak tu przyszedł? Kiedy ujrzałaś go po raz pierwszy? Jak się to wszystko stało?

Przed kilku godzinami nie byłaby Mildrid za żadne skarby świata otwarła ust, by rzec słowo. Teraz opowiedziała wszystko siostrze. Co chwila Beret, słuchająca z zapartym oddechem rzucała jej się na szyję, a Mildrid nabierała coraz to większej ochoty do opowiadania.

Przegadały całą noc, wstały, ubrały się i stanęły do zwykłej roboty. Potem przekąsiły coś niecoś i ubrały się, gdyż dzisiaj miały razem oczeki-

wać Jana. Siadły przed chatą, a przedtem pokazała Beret siostrze, gdzie wczoraj była schowana. Pies składał jej kilka razy wizytę i wracał na swoje miejsce. Mówiły naprzemian i zagadały się tak, że dawno minęła godzina spotkania, zanim się spostrzegły.

Dopiero gdy było za późno, Beret wyszła na najwyższą skałę i patrzyła wokoło. Ale nie było go nigdzie. Mildrid wpadła w taki rozstrój nerwowy, że Beret przeraziła się poprostu. Zaczęła ją uspakajać, tłumacząc, że przecież Jan ma turystów w domu i musi się nimi zajmować. Już przez dwa dni zaniedbał swego Niemca, więc dzisiaj musi to naprawić. Nie może go przecież zmuszać, by sobie sam gotował, sam chodził po górach i kark gdzieś jeszcze skręcił. To nieco uspokoiło Mildrid.

— Jak myślisz, — spytała nagle Beret — co na to powiedzą rodzice?

Zaledwo wymówiła te słowa, już ich pożałowała.

Mildrid zbladła, jak ściana, a Beret patrzyła na nią przerażona, nie wiedząc co począć. Czyż Mildrid nie pomyślała o tem dotąd? Tak. Ale jak o czemś dalekiem, na co jest mnóstwo czasu. Szło jej w pierwszej linji o to, co o niej myśli Jan. Naiwne kontrolowanie siebie samej usunęło na dalszy plan wszystko inne. Teraz wszystko się

zmieniło! Rodzice zajęli pierwsze miejsce w jej myślach. To była kwestj — najważniejsza!

Beret próbowała ją pocieszać. Gdy go tylko zobaczą, zgodzą się niezawodnie! Jakżeby mogli czynić ją nieszczęśliwą? Wszakże była dotąd ich pociechą... W każdym razie babka stanie niewątpliwie po jej stronie. Nikt na świecie nie może źle się wyrazić o Janie Haugenie, on zaś sam jest mężny i odstraszyć s ę nie da.

Mildrid słysza a piąte przez dziesiąte i chcąc zostać samą, wysłała Beret, aby gotowała obiad Teraz stanęło przed nią pytanie:

— Czy mam zaraz powiedzieć rodzicom?

Nie powinna była bez wiedzy rodziców dopuszczać do tego, co się stało! Ale czyż mogła to uczynić! Ponieważ się jednak stało — trzeba koniecznie wyznać i to natychmiast!

Wstała. Wiedziała teraz jasno, co ma czynić. Zanim zobaczy Jana, musi mieć zezwolenie rodziców.

Zerwała się, aby iść powiedzieć siostrze o tem postanowieniu i zlecić jej pieczę nad bydłem. Pobiegła. Ale Beret nie było w kuchni, nie było w całym domu, nie było nawet na hali.

— Beret! Beret! — wołała.

Ale daremnie. Echo jej tylko odpowiadało. Nagle przyszło jej do głowy:

— A może Beret, chcąc ją wyręczyć, udała się do rodziców? Tak, to leży w jej porywczej naturze! Ale właśnie dlatego niewątpliwie przedstawi całą sprawę fałszywie! Tak, chciała uspokoić co najrychlej siostrę i poszła do domu.

Nie wiele myśląc, Mildrid porwala z wieszadeł chustkę, zarzuciła ją na głowę i pobiegła najbliższą drogą ku dolinie. Znalazłszy się raz na ścieżce, zapomniała o wszystkiem i mając tylko jeden cel przed sobą, szła coraz to prędzej. Serce jej ściskało się na myśl, że przyjdzie za późno. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że bezsenność, łzy i wyczerpanie podkopały jej siły. Zaczęło jej się robić słabo, uczuła zawrót głowy.

— Spocznę! — pomyślała.

Usiadła na trawie, ale to jej nie sprawiło ulgi. Musiała się położyć. Legła przeto, podsunęła ramię pod głowę i... natychmiast zasnęła.

Od dwu dni i nocy nie spała i mało co jadła. Pojąć nie była w stanie, co za siła owładnęła nią, która dotąd w domu rodzicielskim sypiała i jadała tak regularnie.

Cóż się z nią stało? W obcowaniu z kochającymi ją, ale smutnymi rodzicami zgromadziła skarb miłości, do którego sięgała jeno ostrożnie, zaś w wesołem mieszkaniu babki nabrała nieokreślonych tęsknot, których w samotności nie

mogła opanować. Teraz zaś nastał zwrotny moment wiosny i kwiaty jęły się na nią sypać z rogu obfitości. Trapiona dziecinnemi wyrzutami sumienia, biegła sama ze sobą w zawody, aż padła i zasnęła, a wiatr wyżynny muskał jej twarz.

Beret nie poszła do rodziców, ale do Jana Haugena. Droga była daleka, a wielkiej jej części nie znała wcale. Musiała iść skrajem lasów, potem piąć się w górę po stromych skałach, gdzie niezbyt bezpiecznie było z powodu dzikich zwierząt. Ale szła śmiało. Jan musiał przyjść, inaczej źle będzie z Mildrid. To był pewnik, który ją skłonił do podjęcia tego niemałego trudu.

Beret była silna i zdrowa. To, co się przydarzyło siostrze, roznamiętniło ją samą. Jan był w jej oczach najpiękniejszym mężczyzną świata i Mildrid musi go dostać! Nie było to dla niej dziwne, że Mildrid oddała mu się natychmiast i że on zbliżył się do niej bez namysłu. Jeśli rodzice tego nie zrozumieją, to muszą swą wolę przeprowadzić w dobry, czy zły sposób, podobnie jak to uczynili pradziadek i dziadek. Myśląc o tem, zanuciła rodzinny marsz weselny.

Przybywszy na szczyt gór, krzyknęła z zachwytu. Miała przed sobą wspaniały widok. Dolina słała się w dal, a osiedla zmieniły się w maleńkie punkciki ledwo dostrzegalne, daleko w dole

leżały hale, a tu, gdzie stała, piętrzył się skalisty grunt ostremi linjami.

Wiedziała, że iść ma wprost na śnieżny szczyt wysokiej góry, która wznosiła się ponad inne na horyzoncie, gdyż na jej linji w odległości kilku stajań leży osiedle Janowe. I rzeczywiście, po chwili spostrzegła, że już nie daleko.

Ale widok znowu znikł jej z przed oczu. Aby się upewnić co do kierunku drogi, wspięła się na stromą skałę w pobliżu i ujrzała tuż przed sobą spore jezioro. Nad jeziorem stało coś, co mogło być skałą, a mogło być i domem. Wiedziała, że osiedle Janowe leży nad jeziorem i pewna była, że nad tem właśnie. Nagle spostrzegła łódź, a w niej dwu ludzi. To musiał być Jan ze swoim Niemcem.

Pospieszyła w kierunku jeziora. Ale to, co jej się wydawało bliskie, było jeszcze daleko, biegła tedy i biegła, a sił jej dodawała chęć zobaczenia Jana Haugena.

Jan tymczasem siedział sobie najspokojniej z Niemcem w łodzi, nie domyślając się nawet, jakich rzeczy stał się przyczyną. Dotąd nie znał co miłość i dopóki sprawa nie została załatwiona, trapił go niepokój. Teraz, kiedy wszystko zostało wyjaśnione, był spokojny, wesoły i układał właśnie nową pieśń weselną.

Stworzył właśnie coś wcale ładnego i użył dla zamknięcia każdej zwrotki motywu spotkania w lesie. Nucił tedy wesoło, był szczęśliwy i łapał ryby, a Niemiec także łapal ryby i nie przeszkadzał mu w śpiewaniu.

Nagle usłyszeli obaj wołanie z nad brzegu. Spojrzeli i zobaczyli dziewczynę, dającą znaki. Pogadali ze sobą i skierowali łódź do lądu. Jan wysiadł, przywiązał łódź, poczem obaj zabrali strzelby, ubranie, ryby i wędki i Niemiec udał się wprost do chaty, a Jan z całym tym ładunkiem skierował się wprost tam, gdzie stała Beret.

— Ktoś ty? — spytał.

— Beret, siostra Mildrid!

On się zarumienił, a ona także. Ale zaraz pobladł i spytał porywczo:

— Co się stało?

— Nic się nie stało, ale musisz zaraz przyjść! Ona nie może teraz w żaden sposób wytrzymać sama!

Stał chwilę i patrzył na nią. Potem skinął głową i poszedł ku chacie. Niemiec zatrzymał się pod domem i rozwieszał na ścianie przybory rybackie. Jan uczynił teraz to samo i podczas tego rozmawiali ze sobą. Gdy wchodzili, z domu wypadły, szczekając, dwa psy, jeden Jana, drugi Niemca, ale zawołano je zaraz i musiały wracać.

Trwało dosyć długo zanim się Jan ukazał z powrotem. Przebrał się w inne ubranie, miał na ramieniu strzelbę i psa przy boku. Niemiec wyszedł także. Podali sobie ręce, jakby się rozstawali na czas dłuższy, poczem Jan zbliżył się do Beret.

— Czy umiesz prędko chodzić? — spytał.

— Umiem... naturalnie! — zawołała.

Zaczął iść, ona biegła obok niego, a pies ich wyprzedzał.

Dotąd był pewny, że Mildrid jest równie spokojna, jak on. Teraz zaczął się domyślać, że jest inaczej. Naturalnie trapi się myślą, co powiedzą rodzice! A także przeraził ją ten pośpiech, z jakim się wszystko stało. Teraz wszystko rozumiał dobrze i dziwił się, że mu to przedtem nie wpadło do głowy. Wszakże jemu samemu to, co się stało z Mildrid, wydało się poprostu jakby napaścią. Tem więcej musiała to odczuć młoda, delikatna dziewczyna, która dotąd żyła w zaciszu domowem, przy rodzicach.

Szedł coraz to prędzej. Beret pospieszała, jak mogła, patrząc mu w twarz bez ustanku. Z początku widział te oczy wpatrzone w siebie i zarumienione policzki, potem zatonął w myślach i nie zwracał na nią uwagi.

Nagle spojrzał poza siebie i zobaczył, że Beret

została wtyle, ale spieszy, jak może, by go doścignąć. Stanął i czekał, aż nadeszła, nie mogąc tchu złapać, a w oczach jej były łzy.

— O, widzę, że idę za szybko! — powiedział.

Podał jej rękę. Ale była tak zadyszana, że nie mogła odpowiedzieć.

— Spocznijmy trochę! — powiedział i posadził ją koło siebie.

Twarz jej poczerwieniała jeszcze bardziej, nie śmiała nań patrzeć, a pierś jej falowała szybkim oddechem.

— Tak mi się chce pić! — wyrzekła nakoniec z trudem. Wstali. Jan rozejrzał się wokoło, ale nigdzie nie było wody.

— Tam niedaleko płynie strumyk! — powiedział. — Spocznij! I tak nie mogłabyś teraz pić wody, gdyż zaszkodziłoby ci to napewno.

Siadł znowu, a ona przykucnęła przed nim na kamieniu.

— Całą drogę biegłam! — powiedziała, by się usprawiedliwić. — Zresztą nie jadłam obiadu! — dodała po chwili. — I w nocy nie spałam! — uzupełniła.

Zamiast wyrazić jej współczucie, powodowany egoizmem zakochanych, spytał porywczo:

— To pewnie i Mildrid nie jadła obiadu i nie spała w nocy!

— Mildrid już od dwu dni wcale nie sypia i nie jada! Sama widziałam! — pomyślala chwilę — Jeszcze nigdy w życiu nie trafiło jej się nic podobnego — dodała z tragicznym wyrazem.

Wstał niezwłocznie.

— Czy możesz już iść? — spytał.

— Spróbuję... — powiedziała niepewnie.

Wziął ją za rękę i szalony marsz rozpoczął się na nowo. Ale zaraz spostrzegł, że w ten sposób rzecz się nie powiedzie, zdjął przeto kaftan, dał jej do trzymania, przerzucił strzelbę przez piersi i wziął ją na ręce. Nie chciała przystać na to, ale nie było rady, przeto zdecydowała się. Niósł ją lekko i bez wysiłku, jak piórko, a ona trzymała się jego kołnierza, gdyż za nic na świecie nie byłaby się zgodziła objąć go za szyję.

Po pewnym czasie powiedziała, że już odpoczęła i może iść sama. Postawił ją przeto na ziemi, wziął z jej rąk kaftan i zarzucił go na lufę strzelby.

Ruszyli dalej. Przy strumieniu zatrzymali się i wypoczęli jako tako, zanim jej pozwolił ugasić pragnienie. Gdy wstała, by iść dalej, uśmiechnął się do niej i powiedział:

— Śliczna dziewczynka z ciebie!

Zaczynało się zmierzchać, gdy znaleźli się na hali. Daremnie jednak szukali Mildrid na past-

wisku, w domu i pod skałą. Na wołanie nikt nie odpowiadał i zaczęli się oboje bać o nią.

Nagle spostrzegł Jan, że pies coś obwąchuje. Pobiegli i zobaczyli, że to była chusteczka Mildrid. Zaraz kazał Jan psu poszukać osoby, której własnością była ta chusteczka, a poczciwy i mądry Kwas rzucił się prosto drogą ku dolini.

Pospieszyli za nim i spostrzegli, że pędzi w kierunku Tingvoldu. Czyż więc udała się do domu? Beret zwierzyła mu się z nieoględnego pytania, jakie zadała siostrze i zaczęła płakać!

— Czy iść jej śladem? — spytał.

— Tak... tak, ona była niezmiernie wzburzona! Nie wiedziała poprostu, co się z nią dzieje!

Przedewszystkiem musieli udać się na halę sąsiednią i prosić o pomoc w pilnowaniu bydła. Szl śladem psa i naradzali się, jak tego dokonać, wtem spostrzegli, że Kwas stanął, ogląda się i macha ogonem. Pobiegli i ujrzeli Mildrid, leżącą na ziemi.

Zbliżyli się ostrożnie, pies polizał ją po twarzy i ręce, ale się nie zbudziła. Zmieniła tylko pozycję, otarła twarz wierzchem dłoni i spała dalej.

— Niech sobie śpi! — szepnął Jan. — Wracaj i zajmij się bydłem! Słyszę dzwonki.

Beret zabierała się do odwrotu.

— Przynieś z powrotem coś do jedzenia! — dodał Jan.

Usiadł w pewnej odległości, przywołał do siebie psa i ścisnął mu nos, aby nie węszył zwierzyny i nie szczekał, gdyby się coś zjawiło w pobliżu.

Cisza panowała wokół. Wieczór był chmurny, posępny, nawet ptaki nie świergotały na drzewach. Siedział, lub kładł się, nie puszczając psa. Rozmyślając nad tem, co robić, gdy się Mildrid zbudzi, powziął postanowienie i jasno sobie zdał z wszystkiego sprawę. Przyszłość była jasną. Owo spotkanie było niewątpliwie zrządzeniem Opatrzności. Sam Bóg postanowił, że mają razem iść drogą życia.

Snuł dalej wątek swej pieśni weselnej, był spokojny i szczęśliwy.

Około ósmej wróciła Beret i przyniosła jedzenie. Mildrid spała jeszcze. Beret postawiła naczynie i usiadła w pewnem od nich oddaleniu. Czekali blisko godzinę, a Beret wstawała raz po raz, by nie zasnąć.

Około dziewiątej zbudziła się Mildrid. Otworzyła oczy, zorjentowała się gdzie jest i spojrzała na nich. Nie rozumiała co się stało, gdy jednak Jan podszedł ku niej, wyciągnęła doń obie ręce.

Usiadł obok.

— Wyspałaś się, Mildrid? — spytał.

— Trochę... — odparła.

— Pewnieś głodna?

— O tak! Teraz jestem głodna!

Beret podała jej jedzenie.

Popatrzyła na nią, potem na Jana i spytała:

— Czy długo spałam?

— Dosyć! Jest już dziewiąta!

Dopiero teraz przypomniała sobie wszystko.

— Długo tu siedzicie?

— Dosyć! Ale teraz jedz! — zalecił jej.

Zabrała się do jedzenia.

— Pewnie chciałaś iść do domu? — spytał.

Zarumieniła się.

— Tak! — powiedziała zcicha.

— Jutro, kiedy się porządnie wyśpisz, pójdziemy oboje do twoich rodziców!

Spojrzała nań zrazu zdziwiona, potem z wielką wdzięcznością, ale nie powiedziała nic.

Spytała Beret gdzie była, a potem słuchała opowiadania siostry, jak znalazła i przyprowadziła Jana. Z wielką przyjemnością dowiedziała się, że ją pies znalazł i polizał po twarzy i ręce.

Poczciwy Kwas siedział właśnie przed nią i chciwym wzrokiem śledził każdy kęs, jaki brała w usta. Pogłaskała go i od tej chwili po przyjacielsku dzielili się posiłkiem.

Gdy skończyła, wrócili powoli do koleby, a Beret zaraz położyła się spać. Oni siedli pod domem. Zaczął mżyć drobny deszczyk, ale dach

wystawał daleko poza ściany, przeto nie odczuwali tego wcale. Mgła obległa chatę, a oni siedzieli pośrodku, jakby w czarodziejskim pierścieniu.

Mówili przyciszonym głosem poufnie, spokojnie, a każde słowo zbliżało ich do siebie. Wogóle po raz pierwszy rozmawiali. On prosił o przebaczenie za to, że zapomniał, iż przedewszystkiem musi się z tem liczyć, co powiedzą rodzice.

Ona zaś wyznała, iż bała się od samej chwili pierwszego spotkania tak bardzo, że zapomniała nawet o rodzicach. Potem wróciły jej na myśl wszystkie niepokojące tak dotąd skrupuły, więc pytała — czy nie spostrzegł, że wczoraj nie przemówiła ni słowa.

Odpowiedział, że tego nie zauważył.

Z wielkiem zażenowaniem zadała mu potem pytanie, czy nie wydaje mu się, że zbyt prędko i zgoła bez oporu ją posiadł.

Nie! Pamiętał jeno, że to było piękne.

Co sądzi o jej ciągłym płaczu?

Nie rozumiał tego dotąd, ale teraz pojmuje doskonale...

Wszystkie odpowiedzi napełniły ją ogromnem szczęściem, tak wielkiem, że nie chciała mu tego okazać i zapragnęła być sama ze sobą. Pożegnali się tedy.

Odeszła do stancji, a on do obory, gdzie miał przenocować.

Rozebrała się i rzuciła na kolana przed łóżkiem, chcąc podziękować Bogu. Dziękowała z całego serca za Jana, za jego miłość, pobłażliwość i męskie zachowanie. Nie mogąc znaleźć słów odpowiednich, dziękowała też za wszystko inne, za cierpienie dni ostatnich, które przemieniło się w tak wielką radość, dalej za samotność na hali... i prosiła, by jej towarzyszył w drodze do rodziców... w końcu wracając znowu myślą do Jana, jęła zań dziękować Bogu gorąco.

Nazajutrz Beret jeszcze spała, gdy Mildrid stanęła przed domem. Została Jana, strofującego psa za to, że narobił hałasu, goniąc przepiórkę.

Na jej widok pospieszył ku niej, a pies rzucał się na nich po kolei z radosnem szczekaniem, jakby czuł, że są szczęśliwi.

Jan pomagał pasterzom w porannych zajęciach, potem siedli do śniadania wraz z Beret, która się nakoniec wyspała do syta. Potem ruszyli w drogę.

— Słuchaj! — powiedział poważnie, gdy się oddalili znaczny kawałek — Rozmyślałem nad jedną rzeczą, o której ci wczoraj nie wspomniałem. Jeśli Bóg pozwoli, że się wszystko po naszej myśli zakończy, to pragnę, byś po ślubie zamieszkała

u mnie w domu, gdyż nie zamierzam przenosić się do Tingvoldu.

Zarumieniła się i powiedziała wymijająco:

— Cóż na to powiedzą rodzice?

— Czyż rodzice stoją tu na pierwszym planie? — spytał po chwili. — Czyż nie idzie głównie o... nasze... szczęście?

Dotknęło ją to trochę, ale on dodał po pauzie:

— Wszakże musimy się poznać... zżyć się razem ze sobą.

Teraz go pojmowała lepiej, ale nie dawała jeszcze odpowiedzi.

Szli, milcząc... Wydało jej się, że mu milczeniem sprawia przykrość, więc rzekła:

— Janie...

Jakby mu bardzo na odpowiedzi zależało, stanął, oparł strzelbę o ziemię i powtórzył:

— Czy pójdziesz ze mną do Haugu?

— Pójdę! — szepnęła szybko i zarumieniła się...

Stanął, wyciągnął dłoń i rzekł poważnie:

— Dziękuję ci!

Szli dalej; a ona myślała teraz o rodzicach.

— Nie znasz mych rodziców! — powiedziała.

— Nie! — odparł. — Ale poznam, gdy będziesz u mnie.

— Oni tacy dobrzy! — zawołała.

— Słyszałem o tem! — potwierdził zimno.

Potem zaczął jej opowiadać o swem osiedlu, o rodzeństwie, o biedzie, z którą długo walczyli, o wzajemnem przywiązaniu, o turystach, których ciągle przybywa, o obszernym domu, który dla nich wybudować zamierza, o tem, że ona będzie wszystkiego dozorować i wszystkiem rządzić. Rozochocił się, rozweselił i szli żwawo ręka w rękę.

Słuchała z zajęciem i pociągało ją to nowe życie, ale nie mogła zapomnieć o domu i swych bliskich, przeto ozwała się znowu:

— Rodzice są już starzy, wiele przecierpieli.. potrzebują pomocy...

Popatrzył na nią z uśmiechem i rzekł:

— Sądzisz, Mildrid, że rodzice tobie przeznaczyli swoje gospodarstwo?

Milczała.

— No więc... — ciągnął dalej — na wszystko przyjdzie czas! Jeśli... oni... chcą się nami wyręczyć w pracy... to niechże... oni nas sami o to poproszą!

Powiedział to życzliwie, ale odczuła, że mówi z rozmysłem i... nawykła wnikać w myśli innych... przyznała mu słuszność.

Za chwilę ujrzeli Tingvold. Przedstawiał się wspaniale. Stanęła, by mu się przyjrzał. Rozległe, jasne łąki otoczone kręgiem lasu, ciche, ale

duże i silnie zbudowane domy wyglądały prześlicznie w rannem słońcu. Dolina leżała w cieniu, po niej zaś płynął strumień. Rozłożyły się nad nim rozliczne osiedla, po obu brzegach, ale żadne nie dorównywało Tingvoldowi dobrobytem, wspaniałością i uprawą pól. Widząc, że uczynił na nim wrażenie, uradowała się.

— Tak! — rzekł, jakby jej odpowiadał. — Tak, to piękna posiadłość... ale...

Uśmiechnął się.

— Ale... ty, Mildrid, więcej warta dla mnie jesteś, niż całe Tingvold... a myślę, że także i dla ciebie... ja więcej wart jestem!

Trudno było na to znaleźć odpowiedź.

— Zaśpiewam ci coś! — szepnął.

Uradowało ją to i powiedziała:

— Nie słyszałam dotąd śpiewu twego.

— W istocie. Mówią o tem różności, ale w gruncie rzeczy całą zaletą jest, iż śpiewam tylko to, co śpiewać muszę.

Posiedział chwilę w zadumie, potem zaś jął śpiewać ich gody ślubne, na nutę starego rodzinnego marsza weselnego. Nucił zcicha, ale nigdy nie słyszała tyle radości w głosie czyimkolwiek. Przed nimi leżało osiedle, z którego mieli jechać do kościoła. Mildrid śledziła spojrzeniem drogę aż do mostu na potoku, potem dalej, aż do kościoła,

otoczonego gajem brzozowym i wieńcem zagród włościańskich. Nie był to obraz błyskotliwy, gdyż niebo przysłoniły chmury, ale odpowiadał tem lepiej nastrojowi duszy. Ileż razy odbyła w myśli tę drogę, nie wiedząc z kim pojedzie! Czarowały ją słowa i tony, łzy napełniły oczy, gdy zaś dym wzleciał ponad dach domu rodzinnego, bezwiednie pokazała go Janowi. Skończył on właśnie śpiewać i siedział przez chwilę zadumany.

Po chwili znaleźli się w lasku brzozowym i Mildrid czuła, że jej serce bije mocno. Umówili się, że sama wejdzie do domu, a on zaczeka w pobliżu.

— Nie myśl o tem, co masz powiedzieć! — doradzał jej. — Mów, co ci przyjdzie na myśl.

Wyszli z lasku i znaleźli się na łąkach, przytykających bezpośrednio do dworku. Teraz zamilkł i on, a Mildrid spozierała nań ze strachem. Nie miał teraz dla niej pocieszających słów. Sprawa ta była jej osobistą sprawą i musiała walczyć o zwycięstwo.

Byli niemal pod samym domem, przeto gwizdnął na psa, a ona zrozumiała, że to jest znak rozłąki. Stanęła i miała tak nieszczęśliwą minę, iż szepnął:

— Idź, Mildrid! Ja będę się modlił tutaj za ciebie, a w chwili stosownej pospieszę ci z pomocą.

Podziękowała mu spojrzeniem i poszła.

Teraz mogła patrzeć wprost w świetlicę głównego budynku, a nawet widziała wszystko na przestrzał, bo izba ta miała po obu stronach okna, zwrócone zarówno ku lasowi, jak i ku wsi.

Jan usiadł z psem poza jakimś drzewem w ten sposób, że mógł widzieć wszystko, co się wewnątrz dzieje. Ale teraz świetlica była jeszcze pusta. Mildrid, doszedłszy do stodół, obejrzała się raz jeszcze. Skinął jej ręką. Skręciła koło stodoły i zniknęła w podwórzu.

Znalazła wszystko po dawnemu i wszędzie panowała cisza. Chciała skręcić w prawo i udać się naprzód do babki, by uzyskać małą zwłokę przed zobaczeniem się z rodzicami. Nagle ujrzała w podwórzu ojca, robiącego nową rękojeść do siekiery. Stał, ubrany we włóczkowy kaftanik z szelkami po wierzchu. Miał odkrytą głowę, a rzadkie, siwe jego włosy poruszał zlekka wiatr. Wyglądał zdrowo i widocznie robota sprawiała mu zadowolenie. Nie spostrzegł jej, bo szła cicho po kamiennym chodniku. Nabrała odwagi i powiedziała:

— Dzień dobry!

Spojrzał na nią zdziwiony.

— To ty, Mildrid... czy się co stało? — dorzucił szybko i popatrzył jej badawczo w oczy.

— Nie! — odrzekła i zarumieniła się.

Patrzył dalej, a ona spuściła wzrok ku ziemi. Po chwili ojciec oparł siekierę o kloc.

— Chodźmy do matki! — powiedział.

Po drodze pytał, co słychać z bydłem, dowiadywał się o różne rzeczy, a ona dawała zadawalające odpowiedzi.

Teraz, myślała, Jan widzi nas. Obeszli stodołę i skręcili do domu. Przybywszy do świetlicy, ojciec otworzył drzwi do kuchni i powiedział:

— Chodźno matko! Mildrid przyszła.

— Czy się co stało? — spytała matka.

— Nic! — odparła Mildrid i weszła za ojcem do kuchni, gdzie matka siedziała przy ognisku, skrobiąc ziemniaki.

Matka spojrzała Mildrid w oczy, podobnie jak ojciec i spojrzenie to miało ten sam skutek. Randi wstała, odstawiła miskę, otworzyła drzwi przeciwległe, powiedziała coś służącej, potem odpasała fartuch, umyła sobie ręce i wszyscy troje weszli do świetlicy.

Mildrid znała rodziców i wiedziała, iż te przygotowania oznaczają, że się spodziewają usłyszeć coś niezwykłego.

To jej odjęło tę odrobinę odwagi, której zaczerpnęła po spotkaniu z ojcem. Ojciec siadł twarzą wprost ku lasowi naprzeciw okna, matka na ławie przy dłuższej ścianie, a Mildrid tuż przy

oknie tak, że była zwrócona bokiem do Jana, który mógł widzieć twarz ojca i ją, natomiast prawie nie dostrzegał matki.

Teraz matka zapytała o bydło i gospodarstwo i otrzymała tę samą odpowiedź, tylko bardziej szczegółową, bo pytała dokładniej. Mimo, że obie przeciągały umyślnie rozmowę, temat wyczerpał się bardzo prędko.

Nastało milczenie. Rodzice patrzyli na córkę uważnie. Mildrid chciała uzyskać zwłokę i spytała, co słychać w dolinie. Mimo, że i ten temat rozciągano możliwie długo, nareszcie nie było nic do gadania. Znowu nastała ta sama cisza i te same spojrzenia utkwiły w twarzy Mildrid.

Nie mając o co pytać, siedziała, gładząc dłonią ławę, na której siedziała.

— Czy byłaś u babki? — spytała matka.

— Nie! — odparła córka.

To znaczyło, że ma ona sprawę wyłącznie z rodzicami i teraz niepodobna było dłużej zwlekać.

— Mam wam, kochani rodzice, coś powiedzieć! — zaczęła, spuszczając oczy i blednąc, to znów rumieniąc się mocno.

Patrzyli na sobie zaniepokojeni, a Mildrid spojrzała błagalnie na oboje.

— Cóż to takiego, drogie dziecko? — spytała matka trwożnie.

— Zaręczyłam się! — powiedziała Mildrid i łzy napełniły jej oczy.

Piorun nie wywołałby silniejszego wrażenia, niż te dwa słowa. Pobledli, spoglądali rodzice wzajem na siebie. Spokojna, cicha Mildrid, posłuszna do ostatnich granic, za co nieraz dziękowali Bogu... Naraz, bez pytania, bez ich wiedzy nawet, uczyniła tak ważny krok, tak ważny na całą przyszłość, zarazem własną, jak i na przyszłość rodziny...

Mildrid znieruchomiała, a strach powstrzymał jej łzy.

— Z kimżeto dziecko... powiedz! — ozwał się ojciec.

Po chwili milczenia wyszeptała:

— Z Janem Haugen!

Od dwudziestu lat przeszło nazwiska tego nie wymówiono w Tingvoldzie, ani nie wspomniano o tem, że żyją Haugenowie. Rodzice im przypisywali wszystko zło i wszystkie swe cierpienia. Mildrid teraz dopiero zrozumiała, co się stało. Siedziała skamieniała, czekając wyroku.

Po dobrej chwili powiedział ojciec łagodnym głosem:

— Ani ja, ani matka nie znamy tego człowieka i nie wiedzieliśmy, że ty go znasz!

— Nie znałam go i ja! — odrzekła.

Zdziwili się i patrzyli na siebie szeroko otwartemi oczyma.

— Więc jakże się to stało? — spytała matka.

— Ja sama nie wiem! — odparła.

— Ależ, drogie dziecko! Trzeba przecież panować nad sobą.

Mildrid nie odpowiadała.

— Sądziliśmy — dodał ojciec łagodnie, — że chyba... tobie... zaufać można!

Mildrid milczała dalej.

— Ale jakże się to stało? — nalegała matka. — Musisz przecież wiedzieć!

— Nie... właśnie, że nie wiem! Wiem tylko, żem się nie mogła opierać... Nie... nie mogłam!

Musiała się rękami chwycić ławy, by nie spaść na ziemię.

— Niech cię Bóg weźmie w swą opiekę... Cóż ci się stało?

Mildrid milczała.

Ojciec powstrzymał porywczość matki i spytał:

— Czemuż nie pomówiłaś z nami o tem, drogie dziecko?

Matka przejęła łagodny ton ojca i dodała:

— Wiesz, jak nam zależy na dzieciach... na was... jak żyjemy samotnie... Zwłaszcza w tobie złożyliśmy całe zaufanie, Mildrid, bo ty nam

byłaś najbliższa... Nie myśleliśmy, że... ty... nas opuścisz!

— Nie opuszczę was! — zawołała.

— Nie mów tak! — rzekł ojciec głosem surowszym. — Tyś nas już opuściła!

Mildrid uczuła, że to... prawda... a jednocześnie... nieprawda, ale nie mogła tej sprawy rozwikłać.

Matka zaczęła:

— I nacóż się tedy zdało, żeśmy żyli w miłości i bojaźni bożej z naszemi dziećmi... Przy pierwszej pokusie...

Nie chciała mówić więcej przy córce, ale Mildrid nie mogła się teraz powstrzymać.

— Nie opuszczę was... nie chcę wam sprawiać zmartwienia!... Ale nie mogłam uczynić inaczej... nie, wierzcie mi... nie mogłam!

Rzuciła się na stół, oparła głowę na ramieniu i zaczęła płakać.

Żadne z rodziców nie śmiało dorzucać słowa do owej skruchy, jaką Mildrid odczuwała w tej chwili. Nastało milczenie. I mogłoby trwać, nie wiedzieć jak długo, gdyby nie to, że Jan, patrząc ze swego stanowiska, na widok Mildrid, opierającej o stół głowę, poznał, iż teraz czas pospieszyć z pomocą.

Za chwilę rozległy się jego kroki w sieni. Zapukał, ale nikt nie zaprosił go, by wszedł. Mildrid

wstała zarumieniona, drzwi się otwarły i ukazał się Jan że strzelbą w ręku, blady, ale spokojny. Wszedł, zamknął za sobą drzwi, a pies przybiegł do Mildrid, machając wesoło ogonem. Jan był zbyt poruszony, by zauważyć że pies wszedł również do izby.

— Dzień dobry! — powiedział.

Mildrid padła z powrotem na siedzenie i odetchnęła z głębi piersi. Uczuła ogromną ulgę. Strach, wyrzuty sumienia... wszystko się gdzieś podziało. Wiedziała teraz, że uczyniła dobrze, że tak się stać... musiało! Teraz niech będzie co chce!

Nikt nie oddał pozdrowienia, nikt też nie prosił Jana by usiadł.

— Jestem Jan Haugen! — powiedział spokojnie. Oparł kolbę strzelby na podłodze i położył dłoń na lufie.

Rodzice rzucali na siebie spojrzenia.

Jan, walcząc widocznie ze sobą, powiedział:

— Przyszedłem tutaj za Mildrid, wyłącznie dlatego, że, o ile uczyniła źle, to winę tego ponoszę wyłącznie... ja!

Należało koniecznie coś odpowiedzieć. Ojciec rzekł przeto, że to, co się stało, stało się całkiem bez ich wiedzy, a Mildrid nie może dać im wyjaśnienia jak... i dlaczego się to stało.

Jan oświadczył, że on sam także objaśnienia tego dać nie może.

— Nie jestem smarkaczem! — powiedział. — Mam lat dwadzieścia ośm, ale stało się, że dotąd na żadną dziewczynę nie zwróciłem żywszej uwagi. A jednak od chwili, kiedy ją ujrzałem, nie mogłem myśleć o niczem innem. Gdyby była odmówiła, nie wiem poprostu, coby się było ze mną stało!

To szczere, proste wyznanie uczyniło doskonałe wrażenie. Mildrid podskoczyła na ławie z radości, gdyż uczuła, że to stawia rzecz w całkiem odmiennem świetle. Jan miał czapkę na głowie, nie było bowiem w zwyczaju zdejmować jej w pokoju, zanim nie zaproszono, by usiąść. Ale Jan mimowoli zdjął czapkę, zawiesił ją na strzelbie i położył na niej rękę. W całem jego wzięciu było coś, co zmuszało do uprzejmości.

— Mildrid jeszcze taka młoda! — powiedziała matka. — Nie sądziliśmy wcale, że uczyni coś podobnego.

— To może prawda! — odrzekł. — Za to ja jestem dużo starszy i moje gospodarstwo nie jest wielkie. Nie sprawi jej dużo trudu. Przytem znajdzie zawsze chętną pomoc!

Rodzice spojrzeli po sobie, potem na Mildrid, a wkońcu na niego.

— Więc myślisz, że pójdzie z tobą... do

twego domu? — spytał ojciec podejrzliwie, niemał szyderczo.

— Tak! — odrzekł Jan. — Nie staram się o Tingvold, jeno o nią samą!

Gdyby się w tej chwili całe Tingvold zapadło pod ziemię, rodzice nie zdziwiliby się bardziej tem, niż tym niesłychanym faktem, że ktoś mógł pogardzić takiem bogactwem.

Mildrid milczała, więc znaczyło to, że się godziła, a cała rzecz zostala już między nimi ułożona, Postanowienie młodych sprawilo jednocześnie, że rodzice zostali niejako pozbawieni decyzji i uczuli się upokorzeni.

— Mówiłaś, że nas nie opuścisz! — powiedziała matka do córki z wyrzutem i to poskutkowalo.

Ale Jan pospieszył z pomocą.

— Że was nie opuści? Każde dziecko, wchodzące w związki małżeńskie, opuszcza poniekąd swych rodziców.

Uśmiechnął się i dodał:

— Droga niedaleka, z Tingvoldu do Haugu niema więcej, niż trzy ćwierci mili!

Ale w gruncie rzeczy nie na słowach polega cała rzecz w tak ważnych sprawach. Myśli, bez względu na słowa, idą swoją własną drogą. Rodzice uczuli się opuszczeni... zdradzeni poprostu postanowieniem młodej pary. Wiedzieli dobrze, że

w Haugu dostatnio żyć teraz można. Turyści uczynili tę miejscowość słynną, tak że od czasu do czasu nawet w gazetach były o tem wzmianki. Ale nie mogło im się pomieścić w głowie, że to właśnie Mildrid, ich umiłowane dziecko, ma wracać tam, skąd wyszedł cały ród, że ma zniknąć stąd, gdzie oni żyli i ich rodzice. Inni ludzie na ich miejscu byliby wpadli w gniew. Oni postanowili jednak w spokoju uwolnić się od rzeczy, która nie była po ich myśli. Zamienili więc spojrzenie porozumiewawcze i ojciec rzekł łagodnie:

— Za dużo naraz tego! Nie możemy dać odpowiedzi. Musimy się zastanowić.

— Nie spodziewaliśmy się tak doniosłej nowiny i nie przypuszczaliśmy, że dowiedzieć się nam o niej wypadnie... w ten sposób!

Jan zawahał się z odpowiedzią, a potem rzekł:

— To prawda. Mildrid winna była przedtem spytać się rodziców. Ale żadne z nas nie wiedziało nic... aż było już zapóźno! Wszystko stało się w jednej chwili. Cóż mogliśmy zrobić innego, jak niezwłocznie przyjść i powiedzieć, że stało się? Proszę, nie sądźcie Mildrid zbyt surowo.

Po tem oświadczeniu nie można było ich postępowaniu ostatecznie nic zarzucić. Spokojne zachowanie Jana świadczyło o prawdzie jego słów. Ojciec dawno już zauważył, że mu sam sprostać

nie potrafi, a im mniej miał do siebie zaufania, tem szybciej chciał całą sprawę poniechać.

— Nie znamy cię wcale, chłopcze! — powiedział i spojrzal na żonę. — Musimy mieć czas na rozwagę.

— Tak, to najlepsze! — potwierdziła Randi. — Przecież musimy poznać człowieka, któremu mamy oddać naszą córkę!

Mildrid odczuła, jak przykre są dla Jana te słowa i spojrzała nań błagalnie.

— To prawda! — powiedział, kręcąc strzelbą. — Nie znacie mnie wy jedyni, choć wszyscy znają mnie w całej dolinie. Ale może ktoś mówił o mnie coś złego? — spytał.

Uczuli w jego słowach gorzki wyrzut i matka odparła pospiesznie:

— Nie! Nie słyszeliśmy nic a nic złego o tobie. Ale w samej rzeczy nie znamy ciebie, gdyż nie troszczyliśmy się nigdy o mieszkańców Haugu!

Nie miała zamiaru powiedzieć nic złego, spostrzegła dopiero, że się fatalnie wyraziła, gdy było już zapóźno.

Jan milczał dosyć długo.

— Jeśli rodzina z Tingvoldu nie troszczyła się o mieszkańców Haugu, nie nasza w tem wina. Byliśmy coprawda aż po ostatnie lata biedakami!

Leżał w tych słowach wyrzut słuszny. Wszyscy troje odczuli dobrze, że był słuszny. Ale, zajęci swemi cierpieniami, nie przypuszczali ani na chwilę, że zaniedbują ciążącego na nich obowiązku. Nie byli zresztą sprawcami niedoli Haugenów. Mimo to, zawstydzeni, spuścili oboje oczy.

Jan mówił spokojnie, chociaż słowa Randi dotknąć go bardzo musiały. Rodzice odczuli, że mają przed sobą zacnego i dzielnego człowieka i że winni uczynić coś, coby mu było nagrodą za doznaną krzywdę.

Ojciec rzekł tedy:

— Zostaw nam, chłopcze, trochę czasu do namysłu. Wszakże możesz zostać i zjeść z nami obiad? Pomówimy o wszystkiem spokojnie...

— Prosimy — dodała matka — chodź bliżej i usiądź!

Oboje wstali, jak przystało gospodarzom wobec gościa, a Jan odstawił strzelbę wraz z czapką i usiadł na ławie obok Mildrid. Ona zerwała się zaraz, niewiadomo dlaczego. Matka powiedziała, że musi iść do kuchni, a ojciec miał taką minę, jakby też chciał odchodzić. Ale Mildrid nie chciała zostać sama z Janem, póki rodzice nie dadzą zezwolenia, zwróciła się tedy ku drzwiom bocznym i udała się do mieszkania babki. Ojciec nie mógł wobec tego opuścić Jana, przeto usiadł z powro-

tem. Zaczęli rozmawiać o rzeczach ubocznych, o polowaniu, gospodarstwie, turystach, zarobkach i ojciec nabierał coraz lepszego wyobrażenia o dobrobycie Jana. Matka, wchodząc od czasu do czasu, słyszała także to i owo. Oboje pozbyli się pierwszego strachu i zadawali pytania, a Jan odpowiadał szczegółowo i poprostu.

Wytworne zachowanie się Jana wystąpiło wyraźniej podczas obiadu. Byli sami. Parobcy zazwyczaj jadali razem z gospodarstwem, dzisiaj ojciec nie chciał im jeszcze pokazywać Jana, przeto zastawiono jedzenie w świetlicy. Wszystko co Jan czynił i mówił, składało się na bardzo dodatnie wrażenie ogólne i Mildrid była uszczęśliwiona, ale wysokie napięcie, panujące przez cały czas, stało jej się wkońcu niemożliwem do zniesienia i po obiedzie poszła znowu do babki.

Mężczyźni przeszli się potem po ogrodzie, ale ojciec manewrował tak, by ani parobcy, ani babka nie mogli Jana zobaczyć. Wrócili znów do izby. Matka ułatwiła się z robotą i przyszła także. Rozmowa stawała się z każdą chwilą poufniejszą, a wkońcu, już o zmierzchu, zdobyła się matka na odwagę i zapytała — jak się... to... stało. Mildrid nie umiała nic powiedzieć. Może powodowała nią czysto kobieca ciekawość, ale Janowi pytanie to było bardzo na rękę.

Nie opowiedział o pierwszem spotkaniu, gdyż nie był w stanie, natomiast szeroko rozwodził się nad dniem wczorajszym. Dowiedzieli się tedy, że Mildrid trapiły straszne wyrzuty; że nie jadła i nie spała; dalej, że Beret poszła po niego aż do Haugu, opisywał forsowny marsz, wyprawę Mildrid, jej odnalezienie, gdy znużona legła na trawie i zasnęła, powtarzał z naciskiem, jak bardzo zależało dziewczynie na zezwoleniu rodziców...

Słuchali wzruszeni, poznając w tem, co czyniła, swoją ukochaną córkę i nabrali przekonania, że byli dla niej zbyt surowi.

Opowiadając o Mildrid, mimowoli opowiadał Jan także i o sobie, a z każdego słowa wynikało, iż ją bardzo kocha. To uradowało bardzo rodziców. Odczuł to i radość ich sprawiła mu wielką uciechę, a oni, zaskoczeni wprost tą śmiałością i prostotą, zaczęli nań spoglądać tak życzliwie, jakby już przyjęli jego konkury i dali swe zezwolenie.

— Pewnie już, nie pytając nas wcale — rzekła żartobliwie matka — poczyniliście wszystkie przygotowania do wesela!

Ojciec roześmiał się serdecznie, a Jan, miast odpowiedzi, zanucił pierwsze takty rodzinnego marsza weselnego.

„Grajże, graj, grajże, graj, spieszno bowiem nam...“

Ale w tej chwili spojrzał przypadkowo na matkę i spostrzegł ze zdziwieniem, że zbladła, jak ściana. Zrozumiał zaraz, że uczynił coś niestosownego. Przeraził się na dobre, gdy Randi, coraz to bardziej niespokojna, wyszła nakoniec z izby. Wstał również i chciał iść za nią prosić o przebaczenie.

— Coś widać złego uczyniłem? — spytał ojca.

Nie zaraz odpowiedział.

— Nie znasz jej dobrze, chłopcze!

— Może lepiej pójdę zaraz i załagodzę niewłaściwy postępek? — spytał.

Endrid nabrał doń takiego zaufania, że bez wahania zwrócił się i rzekł:

— Nie, chłopcze drogi! Zostaw ją w spokoju! Musi to sama ze sobą przewalczyć! Znam ja ją dobrze!

Jan, czując, że tonie u samego portu, posmutniał bardzo i siedział jak na szpilkach, mimo że Endrid starał się usilnie usunąć z jego pamięci niefortunne zajście. Zaczęli szeroko rozmawiać o psie Jana i jego zaletach.

A Randi siedziała na kamiennych schodach.

Postępek córki poruszył w jej sercu na nowo bolesne wspomnienia, związane z marszem we-

selnym. Nie oddała się, jak Mildrid, człowiekowi kochanemu. Jadąc do ślubu, nie czuła dlań nic i słusznie ją dotknęła hańba. Utrata dzieci i troski późniejsze przyszły jej też na pamięć. Na nic były tedy wszelkie modły, skoro i to jeszcze stać się mogło. Czyniła sobie gorzkie wyrzuty. Znowu będą z niej szydzić ludzie. Owe fatalne zaślubiny mścić się dalej miały. Jęła płakać, rozpamiętywując, jak to z własnej winy w złem świetle postawiła rodziców swoich, zniweczyła własne zdrowie i zabiła w ten sposób dzieci. Przy tem wszystkiem udawała obłudnie pobożność, której nie posiadała. Doszło tedy do ostateczności. Uczuła się tak nędzną, że nie śmiała spojrzeć w niebo. Oszukała Boga i samą siebie. Czemuż jednak w tej właśnie chwili jawiły się maszkary śpiące na dnie jej duszy? Czyż zazdrościła Mildrid, córce własnej? Uczuła, że tak nie jest i to jej dodało otuchy. Córka naprawiła błąd matki. Czyż mogą to uczynić dzieci? Tak i właśnie skłonność do prawdy, stanowiąca grunt duszy Mildrid, wyrównała braki charakteru matki. Odniosła stąd wielką korzyść, a przeto winną była Bogu skruchę i dziękczynienie.

Teraz była dopiero w stanie modlić się, korzyć w skrusze i pokorze przed Bogiem, który jej pokazał, że niczem jest bez niego. Błagała o łaskę,

jak o życie własne, gdyż uczuła, że ożyje na nowo. Dług został zmazany, spłacony został doszczętnie! Wstała, a chociaż łzy spływały jej po policzkach, czuła, że Bóg zdjął z jej ramion cierpienie. Odniosła zwycięstwo, a co więcej, odnalazła samą siebie. Pękły więzy, była wolną na duszy i ciele... Poza Bogiem, zawdzięczała to córce swojej, przeto szczęście Mildrid należało ziścić w całej pełni.

Podeszła do drzwi pokoju babki, ale nikt nie poznał jej kroku. Chwyciła klamkę i rozwarła drzwi, jakby to uczynił ktoś zgoła inny.

— Mildrid! Chodź tu, dziecko! — zawołała obcym głosem.

A gdy zaniepokojona córka wybiegła, pochwyciła ją w objęcia, zamknęła drzwi, przytuliła do piersi i powiedziała, łkając:

— Niech cię Bóg błogosławi i nagrodzi... boś dobrze uczyniła!

Mężczyźni zobaczyli je, idące razem ku świetlicy. Szły tak spiesznie, że odrazu przeczuli, iż coś ważnego zaszło. Drzwi się rozwarły... weszły, a Randi, zamiast zwrócić się do Jana i oddać mu córkę, przyciągnęła ją raz jeszcze do siebie i wyszeptała:

— Niech cię Bóg błogosławi i nagrodzi... gdyż dobrze uczyniłaś!

W chwilę potem znaleźli się wszyscy czworo w mieszkaniu babki, która była w jaknajlepszem usposobieniu. Od samego początku wiedziała przez służące, kim jest Jan Haugen, i uznała ten związek za zrządzenie Opatrzności, oraz łaskę boską, okazaną synowi i jego żonie. Odrazu powiedziała Janowi w oczy, że jest ślicznym chłopcem i radość zapanowała niezmącona, a dzień skończył się odczytaniem rozdziału Biblji, zaczynającego się od słów:

— Oto Pan był dzisiaj w domostwie naszem...

* * *

Jeszcze tylko dwa momenty z życia Mildrid zaznaczyć musimy. Pierwszym było weselisko młodej pary.

Zjawiła się, zamężna już, Inga i ona to podjęła się ubrania przyjaciółki do ślubu. Odbyło się to w lamusie. Otwarto starą skrzynię dębową, gdzie przechowywano z pokolenia w pokolenie klejnoty rodzinne, więc djadem, pas, chusty, sprzączki i pierścienie. Babka dała klucz, który spoczywał w jej rękach i sama była obecną przy akcie otwierania, a Beret zamianowała swoim adjutantem.

Brano do ręki sztukę po sztuce. Czyszczono wszystko ślicznie i wkładano na Mildrid, a Beret

trzymała przed nią lustro. Babka rozpowiadała o wszystkich członkiniach rodu, które nosiły owe klejnoty w uroczystych chwilach życia, a najszczęśliwszą z nich była zaprawdę matka jej, Aslaug Haugen.

W tej chwili zabrzmiały huczne tony familijnego marsza weselnego na podwórzu, a kobiety wybiegły zobaczyć, co to takiego.

Pierwszym, którego zobaczyły, był ojciec panny młodej, Endrid. Ujrzawszy zajeżdżający na podwórze wóz z Janem i jego rodzeństwem, zdobył się na pomysł. Rzadko miewał pomysły, ale dziś uznał, że trzeba koniecznie powitać gości-krewniaków familijnym marszem.

Kazał tedy grać muzyce i, stojąc na jej czele u wrót, trzymał w ręku srebrny puhar, napełniony tradycyjnem piwem weselnem.

Jan był wzruszony tem przyjęciem, a siostra jego i bracia mieli łzy w oczach.

W godzinę potem zabrzmiał powtórnie marsz weselny w chwili, kiedy orszak wyszedł z progów domu.

Dzień był śliczny, pogodny, wiosenny, a ścisk pod kościołem taki, że najstarsi ludzie nie pamiętali nic podobnego. Każdy z obecnych znał dzieje rodu i wiedział, w jak dziwny sposób wplecione

w nie były owe dźwięki marsza weselnego, który teraz rozbrzmiewał donośnie wokoło.

Myśli wszystkich obecnych spotykały się tutaj, przeto pastor wziął ten temat za treść przemowy, wywodząc, że dzieci są koroną naszego życia, która błyszczy naszą chwałą, naszym rozwojem i naszą pracą.

Przy wyjściu z kościoła Jan przystanął u grobu Ole Haugena, a wszyscy krewni otoczyli go kołem. Zarośnięty był kwiatami, cichy, dostojny i wydawało się, że dziś promieniuje zeń błogosławieństwo.

— — — — — — — — — — — — — — —

Drugi moment, to odwiedziny, złożone w Haugu młodej parze przez Endrida i Randi. Oboje byli już wonczas... dziadkami. Jan postawił na swojem i zabrał żonę do siebie, musiał jednak przyrzec, że obejmie Tingvold, gdy rodzice się tak postarzeją, że nie będą już w stanie pracować, a staruszeczka babka zemrze.

W odwiedzinach tych była jedna wzruszająca chwila. Kiedy Randi po sutem przyjęciu i ugoszczeniu siedziała przed domem z małą córeczką swej Mildrid na kolanach, zaczęła naraz zlekka kołysać dziecko i nucić.

Mildrid klasnęła z zadziwienia w dłonie, ale zamilkła.

Jan poprosił ojca, by napił się jeszcze szklankę piwa, ale stary uczynił gest odmowy, przysłonił ucho dłonią i słuchał, a uśmiech szczęścia opromienił twarz jego, albowiem to, co nuciła żona jego, to był ów stary, dawny, rodzinny — marsz weselny!

KONIEC

WYDAWNICTWO POLSKIE

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

POZNAŃ — ULICA ZWIERZYNIECKA L. 6 | LWÓW — ULICA ZYBLIKIEWICZA L. 15

PROSPEKT

BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ DR^A STAN. LAMA

PO RAZ pierwszy w Polsce ujęto w tem wydawnictwie literaturę przekładów w pewien system, dając dzieła o wysokiej wartości artystycznej z wszystkich piśmiennictw zagranicznych. Każdy z laureatów fundacji Nobla będzie tu reprezentowany szeregiem swych dzieł, tak iż z czasem cała bibljoteka obejmie kwiat dorobku kulturalnego wszystkich narodów. Że zaś zarząd fundacji przy rozdawaniu nagród bierze pod uwagę nietylko stronę estetyczną utworów ale także ich wartość społeczną i moralną — przeto wydawnictwo skupiając w jedną całość te wszystkie prace — posiadać będzie również pewien podkład ideowy.

„BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ jest pierwszem tego rodzaju przedsiębiorstwem wydawniczem w Europie i dla tego też redakcja dołoży wszelkich starań, aby całe to przedsięwzięcie stanęło na wysokim poziomie. Główną więc troską jest dobór przekładów, któreby mogły godnie oddawać w słowie polskiem arcydzieła nowszej i najnowszej literatury zagra-

nicznej. Nie o poprawność tylko — do której zresztą daleko było dorywczym i przygodnym tłumaczeniom polskim — ale o artystyczne walory, odpowiadające wysokiej mierze oryginałów w tych przekładach iść będzie. Słowo bowiem jako wyraz treści jest z nią ściśle związane, a takie lub inne jego użycie obojętnem być nie może. Tłumacz, przyswajający piśmiennictwu ojczystemu obce dzieło — musi być jego współtwórcą. I o tę współtwórczą pracę zabiegać będziemy jak najusilniej.

Dotychczas wyszły następujące utwory:

Tom I. ROMAIN ROLLAND — COLAS BREUGNON — POWIEŚĆ
„ II. RABINDRANATH TAGORE — OPOWIADANIA.
„ III. MAURYCY MAETERLINCK — ŻYCIE PSZCZÓŁ
„ IV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON SYNNÖVE SOLBAKKEN — [MARSZ WESELNY
„ V. RUDYARD KIPLING — KSIĘGA DŻUNGLI
„ VI. RABINDRANATH TAGORE — ROZBICIE — POWIEŚĆ
„ VII. SELMA LAGERLÖF — TĘTNIĄCE SERCE — POWIEŚĆ
„ VIII. ANATOL FRANCE — POGLĄDY KSIĘDZA HIERONIMA COI- [GNARDA
„ IX. RABINDRANATH TAGORE — SADHANA — SZEPT DU- [SZY — ZBŁĄKANE PTAKI
„ X. KAROL SPITTELER — IMAGO — ROMANS
„ XI. HENRYK PONTOPPIDAN — DJABEŁ DOMOWEGO OGNISKA
„ XII. KNUT HAMSUN — BŁOGOSŁAWIEŃSTWO ZIEMI — POWIEŚĆ
„ XIII. MAURYCY MAETERLINCK — INTELIGENCJA KWIATÓW
„ XIV. KAROL GJELLERUP — PIELGRZYM KAMANITA — ROMANS
„ XV. RUDYARD KIPLING — DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI
„ XVI. RABINDRANATH TAGORE — WSPOMNIENIA — BŁYSKI [BENGALU.
„ XVII. MAURYCY MAETERLINCK — WIELKA TAJEMNICA.
„ XVIII. PAWEŁ HEYSE — L'ARRABBIATA — NOWELE WŁOSKIE.
„ XIX. RUDYARD KIPLING — STALKY I SP. — POWIEŚĆ.
„ XX. KAROL GJELLERUP — DOJRZALI DO ŻYCIA — POWIEŚĆ.
„ XXI. KNUT HAMSUN — GŁÓD — POWIEŚĆ.

Tom XXII. HENRYK PONTOPPIDAN — ZIEMIA OBIECANA — POWIEŚĆ.

„ XXIII. KAROL GJELLERUP — WĘDROWCY ŚWIATA — ROMANS POETYCZNY.

„ XXIV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON — TOMASZ RENDALEN — POWIEŚĆ.

„ XXV. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA I. ANETKA I SYLWJA — POWIEŚĆ.

„ XXVI. VERNER v. HEIDENSTAM — HANS ALIENUS — POWIEŚĆ.

„ XXVII. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA II. LATO — POWIEŚĆ.

„ XXVIII PAWEŁ HEYSE — WESELE NA KAPRI — NOWELE WŁOSKIE.

„ XXIX. SELMA LAGERLÖF — GÖSTA BERLING — POWIEŚĆ.

„ XXX. WŁADYSŁAW ST. REYMONT — PĘKNIĘTY DZWON.

„ XXXI. GERHARD HAUPTMANN — GŁUPIEC — POWIEŚĆ.

„ XXXII. MAURYCY MAETERLINCK — GOŚĆ NIEZNANY.

W dalszym ciągu pojawią się następujące tomy:

KNUT HAMSUN — KOBIETY U STUDNI.

KAROL SPITTELER — KONRAD PORUCZNIK — POWIEŚĆ.

ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF. — POWIEŚĆ.

MAURYCY MAETERLINCK — MĄDROŚĆ I PRZEZNACZENIE.

RUDOLF EUCKEN — WIELCY MYŚLICIELE.

JACINTO BENAVENTE — ŹLE KOCHANA.

„BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ wychodzi w odstępach mniejwięcej miesięcznych i każdy tom obejmuje od 15 do 35 arkuszy druku.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach; gdzie takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy.

WYDAWNICTWO POLSKIE
Sp. z ogr. por.
w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.